

Do Ewentualnego, Czytelnika

Nie jestem winien powstania tej książki. W każdym razie nie jestem winien sam. Rozliczni znajomi dokuczali mi stale: „Dlaczego nie zbierzesz w jedną całość teatralnych i filmowych swoich felietonów rozsianych po gazetach, Przekrojach i wyczerpanych przeważnie książkach? Wydał Boy «Flirt z Melpomeną», wydaj ty, jak przystało na Wiecha, ksiuty z tąże boginią! Będzie to kawalek historii teatru w Polsce Ludowej, widzianego oczami pana Piecyka, państwa Wątróbków, pana Krówki, pani Balon et consortes, jak się dawniej mawiało z tak zwanym przekazem.”

Długo się nad tym namyślałem, marudziłem, wzdrygała się dusza przed kradzieżą wielkiemu Boyowi połowy tytułu, jednak wreszcie zaniósłem materiał wydawcom.

Muszę przyznać lojalnie, że zrobili wszystko, by opóźnić wyjście w świat tego dzieła. Lecz w końcu wbrew naszej woli plan, harmonogram, poślizg i inne raz rozpiętane moce piekielne poniosły nas z sobą i książka jest. Kto chce, niech czyta.

AUTOR

LILIA WENECJA

Do znakomicie przewietrzanych autokarów „teatralnych”, odwożących widzów z Teatru Polskiego do różnych dzielnic Warszawy, wsiada się po sosnowej drabinie.

Tej okoliczności zawdzięczam znajomość z panem Euzebiuszem Krówką i przekazaną mi garść jego ciekawych wrażeń z przedstawienia „Lilli Wenedy”.

Zaczął się od tego, że kiedy wspinałem się rozważnie po rzeczonyj drabinie do autokaru, ktoś trącił mnie w nogę i rzekł:

- No, włącz pan żywo pod blandekie, bo mróz jak wielkie nieszczęście. Co pan mendel jajek masz po kieszeniach, że się pan tak guzdrzesz?

Obejrzałem się i sfrunąłem w ramiona indagatora, gdyż drabinę w tej chwili szarpnął z boku jakiś inny śpieszący do domu teatroman.

Po krótkiej wymianie wzajemnych przeproszeń pan Krówka przedstawił mi się, wspólnymi siłami wdarliśmy się do samochodu i wkrótce dla zabicia czasu rozpoczęliśmy pogawędkę o teatrze.

- Jakże się panu podobało?

- Owszem, na sali ciepło i odnowione, faktycznie, wszystko formalnie.

- Ależ, panie, ja mówię o tym, co się działo na scenie.

- Jeżeli o tem, to nerw publiki się nie szanuje. Przez trzy godziny nagła krew człowieka zalewa, jak się patrzy, co się tam wyprawia. O co oni tam te wojnę prowadzili? O muzyczny instrument, o staroświeckie bałabajkie tyle trupa nakładli?

A wszystko przez dwie cholery bab: starsze córki jednego króla i żone drugiego. Po mojemu król czy prezydent powinien do śmierci w kawalerskim stanie się znajdować.

- Tyż by nic nie pomogło. Weź pan takiego Hitlera, kawaler, a jak na świecie zamięszał - wtrącił swoje zdanie w tym miejscu przysłuchujący się naszej rozmowie konduktor.

- Bo nietronkowy - bronił swej tezy pan Krówka - marchew surowe wtrajał i wodą popijał. Zresztą teraz się pokazało, że miał kochankie, która go napuszczała na całe Europe.

- Ale pies z niem tańcował i z tem Hitlerem, zaznacz pan lepiej parę słów na konto tej wojny w teatrze o te bałabajkie, boś mnie pan zaciekawił, a kurs dopiero się zaczął, do Targowej mam parę minut czasu i mogię posłuchać.

- To uważasz pan, było tak. Jeden król, wdowiec z czworgiem dzieci, pasjamy lubiał muzykie. Nie tylko że rżnięte orkiestre trzymał, ale sam za kapelmajstra był i na bałabajce nie najgorzej podgrywał. Ta bałabajka podobnież miała być srebrna.

- Ależ, panie, to była harfa! - usiłowałem sprostować.

- Wszystko jedno, jak się zwała - dosyć na tem, że palcamy się przebierało.

No i, uważasz pan, dowiedziała się o tem żona tego drugiego króla, zakapior baba, podstawna, otczajna i tak zaczęła swojego męża szpontować, tak oliwy do ognia dolewać, że dał się koniec końców zbajerować i wojne temu muzykantowi wymówił.

Rzecz jasna, że dał mu ciężkie knoty, bo żołdatów miał z pikamy i pałaszamy, a tamten drugi bez wojska, tylko na czele orkiestry się bronił. I żebyś pan widział te orkiestry - siedmiu dziadów w komżach, z temy... harfamy.

Nic dziwnego, że muzykant razem z tą swoją harfą do niewoli się dostał i wtenczas się pokazało, jakie dzieci bywają.

Młodsza córka, ta właśnie Lilia Wenecja, dobry dzieciak, w nocnej koszuli przyleciała do pałatki tego drugiego króla za tatusiem prosić.

A starsza, Rózia, kawał cholery, jak ojciec z obozu bez harfy wrócił, bo mu ta szantrapa królowa ją zaszabrowała, zaczęłam się cieszyć, że tatuś jest, niemożliwie sztorcować go zaczęła i nazad wysyłać, żeby instrument przytargał albo się jej na oczy nie pokazywał.

- Co pan mówisz? To faktycznie zgaga.

- I o co? O głupie harfe! To co by ona zrobiła bywszy na mojem miejscu, jak mnie szwagier sześciolampowe radio z siódmą prostowniczą przepił? Zabić go miałem? Powiedziałem: „Trudno, rodzina miała, rodzina przepiła”.

- Kaźden by tak samo postąpił.

- A ta wydra Rozalia nie... i gadaj pan z nią! Tylko wejść na scene, za kok złapać...

- Daj pan spokój, przecież to wszystko artyści - do pucu tylko tak odgrywają.

- No, faktycznie, ale nerwy się z tem nie liczą. A w ogólności z tem graniem tyż jest granda i puszczanie roboty na fuche. Weź pan na przykład takie rzecz: ta wredna królowa, zaczęłam wypuścić z niewoli tego muzykanta, za włosy na chojaku kazała go powiesić i zaznaczyła, że w tem przypadku przepustkie do domu może mu wydać, o wiele jego rodowity syn tak rzuci toporem, że go od gałęzi odetnie.

Kiedyś, jeszcze przed tamtą wojną, widziałem w cyrku Cynzelego kowboja, którego swojej narzeczonej jabłko, papierówkie na głowie położył i jak strzelił z dubeltówki, to z jabłka tylko pestki się pasypali, a narzeczona cała stoi i tylko perskie oko do frajerów w łóżach zasuwu.

Myślałam, że tu będzie tak samo. A wiesz pan, jak było? Ten syn z bliźniaków - co imiona do śmiechu mieli: Lelum i Polelum - na jury, niby tyż to tem toporem się zamierza, ważne miny robi i pomalutku, pomalutku, lelum-polelum chodu za firankie. Niby tyż tam będzie rzucał. Taką sztukie to kaźden odegrać potrafi. To nie jest granda?

- Jest. Ale licz się pan z tem, że wojna była, artyści dla szkopów nie chcieli przedstawiać i za kielnerów, się zatrudniali, to i z drygu wyszli. Chciałbyś pan, żeby starszego koleżkie skaleczył i do mamra się dostał? Jak już mamy fest budenek teatralny w Warszawie, że podobnie nawet ładniejszy jak przed wojną, to i oni po trochu do swojego fachu się włożą i kowboj za frajera dla nich będzie. Na razie musiem być cierpliwi. No, a jak się skończyło?

- Fatalnie, ogólna gimza - same nieboszczyki, tylko na Rozalie śmierci nie ma. Ale za dużo byłoby detalicznie opowiadać. Wybierz się pan z żoną. Nerwy nerwamy, ale warto.

- Wiadomo, że się wybierę. Warszawski rodak jestem z dziada pradiada.

„Lilla Weneda” Juliusza Słowackiego.
Teatr Polski. Warszawa, 1948r.

Tak, pamiętam doskonale tę „Lillę Wenedę” wystawioną na otwarcie odbudowanego Teatru Polskiego w powstającej z gruzów Warszawie. Wracało się z teatrów ciężarowymi budami, grającymi rolę autobusów miejskich. Oczekiwały na gości pod teatrami, gdyż inaczej rzadko kto ryzykowałby powrót do domu przez

czarne wypalone wąwozy ruin. Dzięki ciężarówkom „Lilla Weneda” szła kompletami... Dzięki nim powstała pierwsza moja wyżej przytoczona teatralna „recenzja”, pierwsze moje powojenne ksiuty z Melpomeną.

Bawili się nią szczególnie aktorzy, wykonawcy Wenedy. Osterwa grający jedną z głównych ról a zarazem reżyser przedstawienia, po spontanicznych brawach, kiedy aktorzy wychodzili przed kurtynę się kłaniać, mawiał półgłosem do kolegów:

- No, dość tego, chodu, panowie, za firankie.

Elżbieta Barszczewska, kreująca Lillę Wenedę w długiej białej szacie, była nazywana za kulisami dobrym dzieciakiem w nocnej koszuli. Że znakomitą Leokadię Pancewiczową w związku z interpretowaną przez nią Rozą Wenedą nazywano „Różka Zakapior”, serdecznie ją na tym miejscu przepraszam.

Następną premierą, która podpadła mi pod pióro, była grana świetnie w Teatrze Klasycznym, dziś noszącym nazwę Współczesnego, sztuka Michała Rusinka:

KOBIETA WE MGLE

Bardzo nie lubię pisywać recenzji ze współczesnych sztuk teatralnych, specjalizuję się raczej w wielkim klasycznym repertuarze. Tak się jednak złożyło, że stały nasz sprawozdawca wyjechał i musiałem się podjąć nagłego zastępstwa, chodziło o pośpiech w informowaniu czytelnika o naszym życiu teatralnym. Chcąc jednak, aby recenzja z „Kobiety we mgle” nie była głosem zblazowanego krytyka, żeby miała za podstawę opinię bezpośredniego odbiorcy z tak zwanych mas, zwróciłem się o pomoc do pana Walerego Wątróbki, który ze względu na tytuł sztuki scedował swoje pełnomocnictwo na panią Gienię.

Wybrała się do teatru z sąsiadką i oto jej obserwacje poczynione z redakcyjnego fotela w czwartym rzędzie.

- Owszem, nie powiem, sztuka życiowa i do płaczu, o jednej doktorawej, co ją Niemcy do obozu zabrali.

Tam podobnież umrzeć miała, a koło doktora jedna blondyna w różowej sukni zaczęła się kręcić i na konto cywilnego ślubu go trajlować.

Ten wypłosz, świński kolorek, już przed wojną znał doktorowe i lekcje śpiewu u niej miał pobierać.

- Przepraszam, bo nie zrozumiałem, o kim pani mówi? - ośmieliłem się przerwać.

- No, o tem rudem tłomoku w różowej sukni. Taka zła jestem na nią, że cała się trzęsę... Bo wyobraź pan sobie, nie tylko do gotowego chciała wejść, za doktorowe się zostać, ale jeszcze branzoletkie, którą nieboszczka przed Niemcami w ogródku zakopała pod gruszą, wygrzebała, na rękie założyła, meble w mieszkaniu poprzestawiała i chodzi.

A doktor, jak to chłop, dał się zbajerować i jeszcze żółte róże tej cholerze kupił. I w ogólności ma być ślub.

Nieboszczka, jak się o tem dowiedziała, w pociąg i do Warszawy.

- Chwileczkę, zaraz, jak to nieboszczka się o tem dowiedziała?

- Zwyczajnie, ktoś jej musiał parę słów napisać, bo, uważasz pan, z tą śmiercią to był zwyczajny puc. Niby tyż to umarła, a właściwie żyła pod Amerykanami. Jak się spod tych Amerykanów wydostała, spomknęła się z jednym Nowakiem i razem na Ziemię Odzyskane pojechali.

Trzy lata przesiedzieli na szabrze i dopiero, jak słyszą, co się święci - do Warszawy.

Doktorowa umysłowo chorą wariatkie, sparaliżowaną na lewe ręce, zaczęła strugać, a ten ów Nowak za doktora z Tworek się podawał.

Przyjechali i dawaj rozrabiać.

Doktor na razie, jak nieboszczkie w ciemnym pokoju zobaczył, chodu, bo myślał, że to dusza pokutująca, bo Zaduszki za pasem, ale później się przyzwyczaił. A doktorowa nic, tylko w czarne pluszowe suknie się przebrała, po mieszkaniu chodzi, ręce do pucu bezwładne trzyma i stale, i wciąż powtarza:

- Wiedziałam, wszystko wiedziałam...

Rzecz jasna, że musiała wiedzieć, że o wiele doktor z rudą się spomknął, która jeszcze przed wojną na lekcjach śpiewu perskie oko do niego zaiwaniała, to rzadkiewek w ogródku nie rwią, tylko całkiem coś innego skuteczniają. Ale nic nie mówi.

Ja tylko patrzę, jak się zapomni i tą sparaliżowaną ręką zacznie wszystkim łomot dawać. Ale się na siłę wstrzymywała.

A ten Nowak w doktorskim fartuchu za nią chodził i co i raz z notesu jej czytał, co i jak ma robić, żeby te wariatkie jak się należy odstawiała, żeby się wszystko za wcześnie nie wydało, zaczęłam doktorowa branzoletki nie odkopie, bo po większej części o to się jej rozchodziło. Potem się jeszcze trula i pompowanie żołądka miała robione. W ogólności szpitalna sztuka, z życia doktorów i obłożnie chorych. Tylko się siedzi i patrzy, czy czasem operacji ślepej kiszki nie zaczną komu na tej scenie robić. Ale mgły nie było.

- No, a jak się pani podobała Gorczyńska?

- Jaka Gorczyńska? Ta burmistrzowa z mężem ankołikiem? Straszne rokoko!

- Nie, Maria Gorczyńska, znakomita artystka, wykonawczyni roli doktorowej.

- Aha, nieboszczka! Owszem, ładna, cielesna kobieta, ale odgrywa te doktorowe nie zanadto.

- Jak to, więc pani inaczej ujęłaby tę rolę?

- Rzecz jasna, że inaczej, od samego początku inaczej bym ujęła. Owszem, czarne pluszowe suknie bym założyła, nie powiem, ale nikomu bym się nie pokazała, tylko schowałam się za drzwi i zniemacka wyskoczyła ze szczotką na kiju w rękę.

Potem rudego tłomoka szczotką w łeb i... dawaj branzoletkie! Stół przesunęłabym na środek, tak jak stał za mojego życia.

- A następnie?

- Następnie róże z wazonika bym wyjęła, wodą chlusnęła w ślipie doktorowi i w te odezwała się słowa:

- Ty stary łajdaku, rudej zgagi ci się zachciało, róże po pięćset złotych sztuka jej kupujesz, a mnie rumianek po złotówce pęczek przynosiłeś?!

I jeszcze raz bym go oblała resztą wody spod kwiatków. Róże wręczyłabym kuchcie, żeby odniosła do kwaciarni, musieliby wziąć nazad za pół ceny. Nowaka, wont, bo mąż przede wszystkim.

I dopiero bym zaczęła na rudem wypłoszu z mieszkania wyjeżdżać.

W ondulacje ją wazonem, w ondulacje, aż by się jej mgło zrobiło.

To by dopiero była, jak się należy, kobieta we mgle!

- Czy jednak nie za ostro formułuje pani swoją opinię o blondynce? Uroczej pani Pachonńskiej, kreującej tę rolę, byłoby przykro... - wtrąciłem pojednawczo.

- Nie za ostro, nie za ostro, bo nóż w sercu noszę. Mój Walerek w swoim czasie do jednej maglarki uderzał - ruda była jak wiewiórka.

„Kobieta we mgle”.

Sztuka Michała Rusinka.

Teatr Klasyczny. Warszawa, 1948 r.

Jak widać, pani Gienia była mi bardzo pomocną w recenzowaniu tej sztuki. Ale co to pomocną? Sama wykonała za mnie cały ten trudny obowiązek, ja ograniczyłem się jedynie do wzięcia honorarium. Muszę powiedzieć z góry, że nie jest to w tym zbiorze jedyny jej głos krytyczny, o naszej sztuce teatralnej. Oświadczała się na te tematy jeszcze kilkakrotnie. Ale oczywiście nie może się mierzyć ze swym małżonkiem, panem Walerym, na którego opinii opiera się większość zamieszczonych tu krytyk.

Jednak i panu Piecykowi z Targówka zawdzięczam wiele wnikliwych i pełnych znawstwa uwag o warszawskich i prowincjonalnych premierach.

Weźmy choćby taką rozmowę o Szekspirowskim Otellu:

HOTELLO

Pan Piecyk jest zapalonym teatromanem. Wiedziałem o tym od dawna, toteż spotkawszy go w bufecie na „Ladacznicy z zasadami”, przywitałem bez zdziwienia szablonowym pytaniem:

- Jak się panu podoba ta sztuka?

- Murzyni modne! - odrzekł pan Teoś zaciągając się papierosem.

- Co?

- Nic, mówię, że Murzyni w obecnym czasie w modzie. Do jakiego teatru się pan nie wybierzesz, dwóch, trzech ich przedstawia, a już najmarniej jeden. Podobnie artyści, co ich podgrywiają, nie myją się z czarnej farby już po parę miesięcy - nie opłaci się jem, bo wiedzą, że w następnej sztuce znowuż za Murzynów będą. Żony jem w domu raban podnoszą, do pościeli nie chcą puszczać, ale żaden się nie myje. Bo faktycznie za dużo by mieli roboty szorować się i znowuż mazać. A tak wsadzi jeden, drugi łeb w piec, sadzamy się przypudruje i gotów na scene.

I to nie tylko w Warszawie, na prowincji masz pan to samo. Parę dni temu nazad byłem interesownie w mieście Łodzi. Koleżka wyciągnął mnie do teatru, troszkieśmy się spóźnili, weszliśmy na salę po ciemku. Blandeka już była podniesiona, rozglądam się po scenie, patrzę - jest Murzyn! Jeden, ale za to grubszy, w starszym wieku i jęk się pokazało później, gienierał!

Stał na środku i mowe zawałał, insze artyści za księży byli poprzebierane, a jeden na biało za Ojca Świętego.

Rozchodziło się o to, że Turki wojne jemu wypowiedzieli, a że duchowieństwu nie wypada się napażać, wynajęli księza tego Murzyna, żeby się za nich z Turkami obleciał.

A nazywał się on, uważasz pan, Hotello, dlatego że Murzyni w hotelach najczęściej służą za dzwońców, czyli szwajcarów.

- Ależ, panie Teosiu, nie Hotello, tylko Otello nazywał się Szekspirowski bohater, którego pan widział, i nie żadne duchowieństwo to było, tylko wenecki senat z ubranym na białą dożą.

- Możliwe, ale tu nie o to się rozchodzi, tylko o to, że cham.

- Kto?

- No, ten Murzyn. Tak nasz z koleżką zgniwał, żeśmy chcieli się do niego podnieść i na scenę wejść, towarzyskiego alibi go nauczyć. Jego szczęście, że na galerii siedzieliśmy, bo przypuszczam, że derekcja musiałaby publicznie pieniądze za bileta zwrócić, jakby główny artysta w szpitalu się znajdował, ale o tem potem.

Dosyć na tem, że ten ów Murzyn mówi:

„Owszem, proszę duchownych osób, mogię knoty Turkom spuścić, ale pod waronkiem, że katolickie kobiety pod tytułem Desdymona za małżonkie mnie dacie.”

„Owszem, proszę bardzo - mówiom księża - załatwione” - i dali jem ślub. Ale nadleciał ojciec tej kobiety i mówi, że mowy o tem być nie może, boby się nie mógł z czarnem zięciem w towarzystwie pakazać. Ale ponieważ że ona się zgadzała, Murzyn zaczął się do teścia stawiać.

„Odskoocz, tatuś, od nowożeńców, bo będzie niedobrze. Widziałem mętrykie - Desdymona jest pełnoletnia i pozwoleństwa rodziców nie potrzebuje. Chodź, Mondzia, do domu noc poślubne uskutecznić!”

I poszli. Pokazało się potem, że stary Desdymony miał rację. Murzyn okazał się skończonem żłobem i niemożebny w pożyciu.

Tak się złożyło, że sąsiadka, cholera, ukradła Murzynowej chustkie do nosa, którą on jej dał w prezencie... Co ten lebiega o te chustkie za grandy toczył, to pan pojęcia nie masz. Trzy godziny nas wszystkich męczył, a najwięcej żonę.

Na wojne nie chciał jechać, tylko tam i nazad ganiał, i „gdzie chustka” się ciągle pytał.

Żona szuka wszędzie, nie może znaleźć, to koniec końców dla świętego spokoju mówi, na jury, że w praniu.

Jak oparzony wyleciał, za chwilę jest nazad, widocznie na górze był, przejrzał na sznurach całe pranie, i wiesz pan, co zrobił?... w morde jej dał przy ludziach.

Wtenczas to właśnie chcieliśmy z koleżką iść do niego na te scene. „Kobiety, łobuzie, bijesz o głupie chustkie za sto złotych?!”

Ale na tem nie koniec. Jeden oficer, któren na posadę gienierała lefrektował i chciał Hotella z niej wyslizgać, do pucu mu natrajlował, że jeden podporucznik do Desdymony uderza. Myślał, że Murzyn podporucznika zimnem trupem położy i do mamra go za to zamkną.

Detalicznie wszystko mu streszczał, jak podporucznik się z jego żoną podbawiał. Ten niby tyż to słucha, ale furt powtarza: „gdzie chustka” i „gdzie chustka”?

Wiesz pan, jak się skończyło - przeliczył jeszcze raz bieliznę z magla i udusił żonę, ponieważ że chustki nie było!

W tym miejscu przerwał nam rozmowę dzwonek na zaczęcie ostatniego aktu „Ladaczniczy”.

Kiedy wychodziłem z teatru, przejęty do żywego losem nieszczęsnego Negra, zlinczowanego w sztuce, którą właśnie obejrzałem, dogonił mnie na schodach pan Piecyk, ujął pod rękę i rzekł:

- Zanadto nie trzeba się znowuż nad Murzynamy rozczulać, bo i między niemy dranie się trafiają. Jedź pan do Łodzi, to się pan przekonasz!

„Otello” Williama Szekspira.
Teatr Polski, Łódź, 1948 r.

TYLKO NIE ROZALINDA

Zamiarowaliśmy z Gienią szafę kupić. Chodziliśmy po tych różnych składach, ale nie było. To jest szafy owszem byli, tylko nie do sprzedania, bo albo nie wycenione, albo rachunek nie nadszedł, albo kierownik wyszedł. Jak nie remont, to renament, jak nie renament, to inwentarz czyli też jakieś insze uspołecznione święto handlowe - dosyć na tem, że sprzedaż chwilowo wstrzymana. Zgniewało nasz to koniec końców i zaczęliśmy się rozglądać za jaką używaną sztuką.

Znalazła Gienia w Expressiaku ogłoszenie w te słowa:

„Szafa trzydrzwiowa, mahoń, na nóżkach, do sprzedania. Tamże mało używany kontrabas. Trębacka 10 w podwórzu na lewo 1 piętro.”

Poszliśmy wieczorową porą na te Trębackie, wchodzę w podwórze na lewo, potem do jakiejś sieni i walczę się na pierwsze piętro. Patrę basetla czyli kontrabas stoi w rogu - to widocznie tu! Ale szafy nie było widać. Z pół godziny po różnych piętrach żeśmy ganiali, aż koniec końców wyszliśmy na jakieś podwórko - nie podwórko, ogródek - nie ogródek, Mariensztat - nie Mariensztat... Widno jak w dzień, pełno ludzi się kręci, w altance jakieś dwie facetki siedzą, ale wszystko jakieś takie dracznie ubrane. Faceci w pluszowych garniturkach, nelsonach na nogach, jeden w damskim berecie z plerezą, drugi znowuż ma czapkę z rogami, jak auguści w cyrku dawniej nosili, Gienia się cała za jakiś winkiel, mnie tam wciągnęła i nadmienia:

- Walerek, niedobrze, to zdaje się będą wariaci!

- A coś ty chciała - mądry szafę ci sprzeda? Zresztą mylisz się. Te ubrania to ostatnia moda letnia MHD - tak nazwane wdzianka, tylko że ciut-ciut za ciasne, dziecinne numera. bo innych się nie robi.

- A te kapelusze?

- Spróbuj, kochanie ty moje, kupić męski kapelusz numer 57 - nie dostaniesz, to sprawiają sobie ludzie bereciki, włóczkowe pilotki i temuż podobnie. Muszą to być lokatorzy tego domu, tylko gorzej, żeśmy na jakieś większe nieporozumienie towarzyskie trafili.

Faktycznie jeden młodziak niejaki, podobnie Orlando, pokłócił się zęb za zęb ze starszym facetem w żalobnej damskiej perelince i krzyczał, że tatuś coś mu tam zostawił w spadku, a braciszek drań go wykantował i te rzecz dla siebie przyuważył, a on teraz się żeni i zamiaruje te szczególnie odebrać.

- Gieniuchna, gorzej - mówię do żony - tu zdaje się cała chwestia o te szafę się rozchodzi. Idziem do domu - Orlandoszczak nie sprzeda.

- Nie wiadomo, a zresztą może mu nie oddadzą. Patrz, prezes dozorcego zawołał.

Gienia uważała, że ten czarny w perelinie to prezes blokowego komitetu. Faktycznie przyszedł gruby, nabity w sobie mężczyzna, w średnim wieku, troszkie na dozorcego pasował. Spojrzał się ten dozorca na młodziaka i mówi:

„Rozejdź się pan, nie rób pan publiki, bo będzie niedobrze.”

I zaczyna tego młodziaka w dalszym ciągu straszyć:

„Taką mam krepę - mówi - że jakbym cię, szczeniaku, palcem ruszył - ręka, noga, mózg na ścianie - mówi. - Dziesięciu takich jak ty na kilo u mnie wchodzi, kto ze mną zacznie, zaniem się obejrzy, już kwiatki na niem rosną” - mówi.

A Orlandoszczak nie drefi nic a nic, tylko spokojnie do niego:

„Odsuń się, dzwońcu, nie wtrącaj się do rodziny.”

A dozorca go za klapy, a Orlandoszczak, jak się nie odwinie, jak nie zaprawi ciecica między oczy, tamten fajt na ziemię i leży bez przytomności. Facetki w altanie w krzyk.

- Gieniuchna, zmiatajmy, stróża zabił, za świadków będziemy, Ja już nie lefrektuję na tę szafę. Nie marn zamiaru z tem młodziakiem się sprzeczać, to bokser, chociaż piórkowej wagi. Ale Gieniuchna nie chciała zrezygnować, wyszła na środek tego podwórka i zaznacza:

- Wszystko, wszystkim, ale gdzie tu jest ta szafa do sprzedania?

A prezes w czarnej perelinie jak nie krzyknie w tem trakcie:

„Idź precz, Rozalindo!”

W Gienie jakby pieron trzasł:

- Co, coś pan powiedział? Kto Rozalinda? Kto Rozalinda?

Walerek, słyszysz i nie upominasz się za swoją ślubną małżonkie zhańbioną!

Wtenczas ja wychodzę zza winkla i nadmieniam:

- Panie szanowny, szafy możesz pan nie sprzedać, ale nie masz pan dania racji żonie ubliżyć. Ona dla pana nie Rozalinda!

I od razu słyszę ze wszystkich stron krzyk, śmiech i jakieś klepanie. Przyglądam się, a tu z jednej strony po ciemku z tysiąc ludzi siedzi i bis nam bije.

Zmiarkowałem od razu, żeśmy niechcący do teatru na tak zwaną scenę się wtranzolili. Łapię żonę za rękę i krzyczę:

- Gienia, chodu - pomyłka w druku!

Faktycznie zaszła pomyłka - szafa była na Brackiej, zaś na Trębackiej kuchenne wejście do teatru się znajduje.

Więc jak wynika z opowiadania pana Wątróbki, w poszukiwaniu szafy weszli oni oboje z Gienią na scenę Teatru Narodowego podczas przedstawienia „Rozalindy”. Oczywiście takiego wypadku nie było. Był natomiast bardzo podobny. Właśnie podczas tej sztuki, w drugim, zdaje się, akcie wśród aktorów odzianych w szesnastowieczne stroje, zjawili się dwaj panowie w modnych garniturach współczesnych, tak zajęci jakąś pusjonującą rozmową, że nie zauważyli, gdzie się znajdują.

Dopiero śmiechy na widowni i wielkie brawo wywołały na ich twarzach zdumienie i przerażenie. Dali oczywiście drapaka. Jednym z nich był dyrektor naczelny teatru, a drugim scenograf. Omawiali dekoracje do następnej sztuki.

Ten zabawny, autentyczny najzupełniej fakt, posłużył mi jako pretekst do wprowadzenia na scenę pana Walerego z panią Gienią i skłonienia ich do wynurzeń na temat Rozalindy.

Następną premierę przeżywał również z małżonką pan Piecyk. Tym razem chodziło o Teatr Polski.

HEL CIA, CHODU!

- Panie Teosiu, jak się panu podobał „Zakon Krzyżowy”? Przypuszczam, że pan, jako miłośnik i znawca naszych dziejów, był już z pewnością na tej sztuce - zagadnąłem wczoraj w tramwaju pana Piecyka.

- Rzecz jasna, że byłem, zaraz pierwszego dnia. Jak mnie się spodobało? Owszem. Jest to, jak panu szanownemu zapewne wiadomo, osiem obrazów z życia duchowieństwa, z udziałem straży ogniowej miasta stołecznego Warszawy, streszczone przez bywłego hrabiego.

- Nie bardzo pana rozumiem. Dlaczego duchowieństwa? Gdzie pan tam widział straż?

- Zaraz, czekaj pan. Po kolei. Duchowieństwa dlatego, że tak zwane Krzyżaki to byli szkopy przebrane w komże. To jest raz. Po drugie - w tej sztuce figuruje jeden biskup z Płocka, który się później ożenił z niejaką Ryngałą, ale z początku także samo musi być przez nasz uważan za osobę duchowną. To jest dwa.

- No dobrze, a gdzie ta straż?

- Zaraz dojdziem i do straży. Zaczęło się od tego, że Witold, braciszek króla Jagiełły, przyjechał w goście do Krzyżaków, które zamieszkiwali wtenczas w drewnianym bunkrze w Białowiejskiej Puszczy. Zanosilo się na większy kawalerski ochłaj z politycznym kongresem, bo Krzyżakom, uważasz pan, rozchodziło się o to, żeby Witolda na starszego braciszka napuścić, czyli że wojne Polsce wydać. Ale przez Ryngałę cały ten kant nie przeszedł. Ryngała to, uważasz pan, była siostra Jagiełły i Witolda, jednym słowem, z królewskiej rodziny. Ale że czasy byli niespokojne, w wojsku z poboru służyła w charakterze, zdaje się, tajnego podporucznika. Bo na wierzchu, uważasz pan, damską jedwabną suknie z koronkami nosiła, a pod spodem żelazne staroświeckie umundurowanie wojskowe. Nawet nylony na nogach ze szwejsowanej blachy posiadała. A biusthalter podobnie ręcznie kuty przez przodowników pracy w Państwowej Fabryce Parowozów, dawniej „Cegielski” w Poznaniu.

A ikre w ręku takie posiadała, że Breitbart nieboszczyk - frajer. Nóż kuchenny półlokciowy, na trzy palce szeroki, w rogalik zginała rękami i nawet się nie szcerwieniła. Tą, uważasz pan, Ryngałę przywiózł ze sobą Witold na ten kawalerski wieczorek do Krzyżaków. A jeszcze zmuszony jestem nadmienić, że była to kobieta twarzowa jak rzadko, swoja, równa, jednym słowem, taaka kobieta! - tu pan Piecyk wzniósł symbolicznie oba łokcie w górę. - Totyż Krzyżaki, jak sobie małowiele podgazowali, w bajer ją zaczęli brać na konto wolnej miłości.

I to nie tylko oni, bo byli tam jeszcze na tej rozróbce w gościach u Krzyżaków różne zagraniczne ambasadorzy. Ale przeważnie tak zwane marszałowskie: Anglik, Francuz, Hiszpan i zdaje się, że Italianiec. Faktycznie, trzeba przyznać, że żadnego przedstawiciela demokracji ludowej nie przyuważyłem. Ambasadorszczaki jeden przez drugiego ją trajlowali i dziwić się nie można - wiedzieli, z kim mają okoliczność. A Ryngała, panie szanowny, nic, niby tyż to parle franse z niemy zasuwa, a niemożebne oko zaiwania do biskupa z Płocka, bo rozchodziło się o to, żeby go z Witoldem spomknąć i razem Krzyżakom manto spuścić.

I tak tyż się stało - pokazało się, że Witold do pucu blat z Krzyżakami trzymał, a naprawdę chciał ich niemożebnie wykołować. Wszystko się działo w drugim akcie, który śmiało możem nazwać mrozącem krew w żyłach.

- Pod jakim względem?

- Pod względem niebezpieczeństwa zaproszenia ognia, bo Witold, jak się Krzyżaki naoliwili w drobne kaszkie, kazał scenę podpalić. Z początku, uważasz pan, nie wiedziałem, o co się rozchodzi. Patrę, z prawej strony się dymi, i swąd czuję. „Ale nic - myślę sobie - to pewnie z teatralnej stołówki. Kucharka, cholera, na sztukie się zapatrzyła i kotleta dla derekcji się przypalili. - Myślę sobie - odstawi patelnie i będzie spokój.” Ale nie. Dym się ładuje na scenę coraz większy, aż mnie na galerii w gardle zaczyna drapać. Troszkie niewyraźnie mnie się zrobiło, ale nic, patrę, co będzie dalej. A tu na scenę wlatują jakieś osobnicy i zaczynają filary podpalać. Z miejsca się uspokoiłem: „Tu cię boli - myślę sobie - sztuczny pożar robią, zimne ognie z Bożego Narodzenia jem się zostały i chcą ich wykorzystać”.

I od razu, uważasz pan, widzę, że belka na suficie w tym krzyżackim bunkrze żywym ogniem się zapala. A Krzyżaki nie Krzyżaki - wszystko ze sceny najeżdża. Myślę sobie: „Tu nie masz, Teoś, na co czekać, jest wypadek z ogniem!” Bo mnie się nie raz, nie dwa choinka od zimnych ogni zajęła. Ale jeszcze paniki nie robię, bo myślę sobie, że jak się wszyscy do wyjścia rzuca, jesionki z szatni nie odbiere, kopłem tylko żonę dwuznacznie w kostki i mówię: „Hielcia, chodu!”

Podnieśliśmy się i gazu. Ale od razu widno się zrobiło, ktoś tam przytomny blandekie kazał spuścić i pożar został, jak to mówią, zlokalizowany na scenie. Krzyk tam tylko było słycać i łomot. To strażaki te belkie rąbali. I tu muszę przyznać, że warszawska straż ogniowa, jak przed wojną, tak i teraz fason trzyma - pierwsza klasa z przybudówką. W parę minut swędu nawet po pożarze w teatrze nie było.

- No i co było dalej z Ryngałą?

- Wyszła za biskupa z Płocka, ale nie zaznała szczęścia w tem pożyciu. Biskup był sercowy, zanadto się za mandolistkami oglądał. Zresztą, co będę panu szanownemu opowiadał? Warto to zobaczyć. Dla samego pażaru.

- No, a jakże tam premiera, gładko szła, nie było żadnych usterek?

- Owszem, jedna była. Biskup z prędkości perugie z wałeczkiem, przeznaczoną dla królowej Jadwigi, na głowę założył i tak całe rolę odstawał. On wyglądał dosyć podejrzliwie, a królowa Jadwiga w ciemnej ondulacji na tronie figurowała, chociaż historia nasz poucza, że była jasną blondyną.

Teatr Polski. Warszawa.

„Zakon Krzyżowy” Ludwika Morstina. 1948r.

Istotnie pirotechniczne efekty zastosowane przez reżysera w „Zakonie Krzyżowym” Morstina mogły budzić lekkie zaniepokojenie na widowni. Żywy ogień trawił dekoracje, gęsty dym słał się aż po widowni. Swąd stąd powstały mógł się łączyć z zapaszkami płynącymi z aktorskiej stołówki.

Nie tylko zresztą w teatrze unosiły się kuchenne wonie, witały na nas one w owym czasie we wszystkich gmachach użyteczności publicznej. Stołówki działały wszędzie.

Oczywiście skala zapachów była bardzo zróżnicowana, w zależności od powagi i zamożności instytucji. W takim na przykład Banku Polskim czuło się na klatce schodowej zupę pomidorową i zrazy z grzybkami, w redakcjach przeważnie barszcz na dudkach, w gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki - bigos. W teatrach najczęściej klopsiki siekane z kaszą perlową i grochówkę.

Nie przeszkadzało to jednak widzom w kontemplacji dobrych przeważnie widowisk, do jakich pan Piecyk zaliczał także „Zakon Krzyżowy”, chociaż pewne szczegóły wystawy nie zgadzały się z jego znajomością historycznych realiów polskich.

Niejaki pan Krówka znowu w rozmowie z przyjacielem obrabia historię Anglii i rolę, jaką odgrywa w niej od wieków ród Churchillów. A wszystko na tle komedii Scribe'a „Szlanka wody” widzianej w Teatrze Klasycznym.

CIOTKA CHURCHILLA

- Patrz pan, panie Krówka, jak te Churchillle tyle lat w Anglii rozrabiają.

- W jakim charakterze?

- W charakterze podżegaczy. Czy pan wiesz, że ciotka babki tego Churchilla, w dęciaku i z cygarem, tyż za wojenną podżegaczołą była.

- To widocznie u nich rodzinne. Ale skąd pan wiesz?

- Sztukie o tem grają w teatrze. „Szkłanka wody” się nazywa.

- Szkłanka czego?

- Wody.

- Dlaczego?!

- Bo w ostatnim akcie na tacy wnoszą.

- W jakim celu?

- W celu, żeby kapitan na randkie z królową się jawił.

- Co za kapitan?

- Jeden tam z chęci szczerzej. Detalicznie za długo by trzeba objaśniać, co i jak było, ale parę słów mogię panu szanownemu na te konto nadmienić. Otóż, uważasz mnie pan, ta ciotka babki Churchilla u angielskiej królowej w charakterze gospodyni służyła.

Ale zaczem pilnować, żeby służba cukru z kredensu nie podwędzała, polityką się zajmowała i stale, i wciąż królową napuszczała na Francję. Trzy godziny przedstawienie się ciągnie, a ta, co jednemi drzwiami wyjdzie, drugimi wchodzi i krugom podżega.

Królowa ta to była, uważasz pan, panna na wydaniu, z pieskiem japończykiem, i czy wojna będzie, czy nie, było jej „sześć dwadzieścia”, czyli że obojętne, rozchodziło jej się tylko o to, żeby tego kapitana sobie przygruchać.

A ciotka babki Churchilla także samo tylko o tem kapitanie w marzeniu się znajdowała.

I Bogiem a prawdą dlatego tylko na wojnie jej zależało, żeby z tem kapitanem się podbawiać.

- Tego nie rozumie.

- Zaraz pan zrozumiesz. Mąż tej ciotki był za gienierała i jak wojna była, na froncie musiał się znajdować, a jakby się skończyła, do domu by przyjechał i mógłby ciotkie na miłosnem .pitigrilu z kapitanem nakryć i pod oczami fijołków jej nasadzić, tego się najwięcej bojała.

- I patrz pan, przez taką romansową ciotkie Francja z Anglią musiała się naparzać.

- No tak jest i nie wiadomo, do czego by doszło, czyby się Anglicy z Francuzami co do sztuki nie wyrznęli, żeby nie jeden lordziak, któren znowuż pasjami spokój lubiał i ciotkie na szaro zrobił. Jej list miłosny nakrył, w którym czarno na białem pisało, że ciotka tego młodziaka z chorążego kapitanem zrabiała, że obsprawiła go od butów do gwiazdek, żeby tylko chciał z nią, co pan wiesz, a ja rozumie.

Lordziak schował ten list w kieszeń i smaruje do ciotki.

- Pani szanowna - mówi do niej - przestańże pani, do wielkiej grypy, Anglię na Francję napuszczać, bo może być nieprzyjemność towarzyska.

A ciotka na niego z pyskiem, że jej się tak spodoba i że wojna musi być.

Wtenczas ten lordziak zaznacza:

- Podżegaczowa, nie bądźcie dzieckiem, o wiele nie przestaniesz pani grandy wojennej skutecznie, to widzisz pani ten liścik? W kopertę się go wsadzi, adres małżonka wypisze i na pocztę go. To się pytam, leżysz pani u mnie czy nie?

- I wtenczas wnoszą te szklanki wody.

- Dlaczego wtenczas?

- Bo przypuszczam, że ciotka mgleje ze strachu.

- Nie znasz pan tej cholery. Troszkie, owszem, zdrefiła, ale podżegała dalej. I wody jeszcze nie podają, wnoszą ją dopiero w końcu, kiedy królowa w zechcyka z różnymi ambasadorami podgrywa i mówi: „Zaraz, chwileczkie, niemożliwe pragnienie odczuwam i poproszę o szklanki wody”.

Wtenczas dopiry zamieszanie się robi, wszyscy się niemożliwie obrażają.

- Dlaczego?

- Dlatego, że osoba z królewskiej rodziny nie może magistrackiej wachy popijać. Prawa nie ma. Królewski przepis salonowy zmusza królową zażądać szampana, w najgorszym razie wody sodowej pół na pół z malinowym sokiem.

Król ma już lepiej, bo może sobie krzyknąć „sztamajze” czystej eksportowej, ale koniecznie zakropionej angielską gorzką.

Totyz masz pan pojęcie, jakie się zamieszanie zrobiło, jak kapitan przyniósł szklanki zwyczajnej wody. O mały figiel do ogólnego mordobicia nie doszło, bo ciotka Churchilla nowe pończochy wodą królowej oblała i wydała się, że ona także samo w tem kapitanie gustuje.

Królowa, jak się o tem dowiedziała, przegnała ciotkę bez wymówienia, insze gospodynie zgodziła, i żeby na złość ciotce zrobić, pokój na wieczne czasy podpisała z Francją.

- Faktycznie pouczająca sztuka, do czego może dojść, jak się baba polityką zajma.

- Zwłaszcza o wiele jest z domu Churchill.

- No a jak, panie szanowny, nasze artyści tych Anglików podgrywają?

- Na medal. Królową odstawia sama dyrektorowa.

- Rzecz zrozumiała, taka królowa musi się mieć w co ubrać.

- A lordziaka niejaki Żabczyński.

- Zaraz, czekaj pan, czy to nie będzie ten dyrektor z Pragi, z zoologicznego ogrodu.

- Możliwe, przypuszczam, że pod tem waronkiem pieska z krzywymi oczkami, czyli tego japończyka na scenę pożyczyl.

- To tam mają w tem ogrodzie pieski?

- Przeważnie, tygrysy dopiero mają nadejść.

- No, to już mógł się szarpnąć i wierblada dać, bo wiem, że ma.

- Scena za mała. Zresztą, jakby królowa z wierbladem na kolanach wyglądała.

A na dobitek wierbłąd nieczasowy, przy żonie musi siedzieć, bo się podobnież młodziaków spodziewają.

„Szkłanka wody”. Dramat Eugeniusza Scribe'a.

Teatr Klasyczny, Warszawa, 1949 r.

„Królową odgrywa sama derektorowa” - mówi z recenzji przyjaciel pana Krówki. Tu trzeba dodać, że była nią świetna aktorka Maria Gorczyńska. „Lordziaka” kreował znakomicie Aleksander Żabczyński, a ówczesny dyrektor warszawskiego ZOO nazywał się Żabiński - stąd pomyłka i domysły na temat wypożyczenia z tego ogrodu pieska, oraz uwagi o wielbłądzie, który w owym czasie istotnie miał zostać ojcem, czym bardzo się interesowała cała Warszawa.

Nie tylko jednak ZOO było oczkiem w głowie odbudowywanej stolicy; mnóstwo uwagi poświęca ona nowo powstającym coraz liczniejszym teatrom ulokowanym nieraz pośród morza gruzów.

Należał do nich ocalały w podziemiach domu Marszałkowska nr 8 Teatr Rozmaitości, dawniej, przed wojną - Malickiej.

Wybrałem się tam.

LEKKOMYŚLNA SIOSTRA

- Teatr Rozmaitości! Tylko szybko, bo późno! - zawołałem do szofera lekko rozklekotanej taksówki warszawskiej.

Mechanik, poważny, tęgi pan, nie śpiesząc się nacisnął starter, obejrzał się na mnie i rzekł:

- Zdamy, kupa czasu. A pozwoli pan szanowny, że koleżki po drodze na plac Zbawiciela podrzucę?

- Proszę bardzo!

Kierowca skinął na stojącego nie opodal szczupłego skromnie ubranego blondyna.

- Panie Kwiatek, walcuj się pan.

Pan Kwiatek wsiadł i ruszyliśmy. Po drodze między znajomymi zawiązała się dyskusja. Okazało się, że mechanik, oczekując na jakiegoś pasażera, był przed kilku dniami na „Lekkomyślnej siostrze” w teatrze, do którego właśnie śpieszyłem. Dzielił się teraz z kolegą wyniesionymi ze sztuki wrażeniami.

- Jeden facet z prywatnej inicjatywy miał siostrę Manię. Ciężka w pozycji była to osobistość, a już jak wiersze zaczęła pisać, było widoczne, że źle skończy. I faktycznie, męża z dzieckiem przy piersi rzuciła, do miasta Wiednia pojechała i tam za tak zwane nacyjne życie zatrudniała.

- To znaczy się, że za kogo? - zapytał pan Kwiatek.

- Znaczy się, że na lekkomyślny chleb poszła.

- Jaki to jest lekkomyślny chleb?

- To z pana chomąt, jak pragne zdrowia... No, nie wiesz pan? Kontrolną się została.

- Teraz rozumie.

- No i uważasz mnie pan, dakąd siedziała w tem Wiedniu, rodzina nic nie mówiła. Ale ona od razu, ni z tego, ni z owego, buch w pociąg i do Warszawy jedzie. Wtenczas, ma się rozumieć w rodzinie się zakotłowało. Mojra niemożliwego dostali, co to będzie.

- Czego się zlekli?

- Jak to czego? Nieprzyjemności i kompromitacji.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu podchodu. Wyobraź pan sobie, że ta Mania robi kogoś na podchód, że rąbnie zegarek czyli tyż pekiel z forszą, bo taka się z niczem nie liczy. To do kogo Urząd Śledczy przyjdzie? Do rodziny! U nas na Marymoncie jeden krawiec miał taką letkomyślną siostrę, co lubiała „siódme” zrobić, to jak jednemu kolejarzowi kazonny zegarek z portretem parowozu wyrzeźbionem na kopercie podwadziła, to zaraz przyszli do rodziny z rewizją. Zegarek co prawda śledzia zjadł, kamień woda, ale szwagier tej letkomyślnej i tak sześć miesięcy zarobił, bo bimbrownie nowocześnie urządzoną mimowolnie u niego znaleźli - aparat na chodzie i dwie beczki zacieru.

To się pytam pana szanownego, może taka rodzina skompromitować czy nie może? Miała się rodzina tej owej klawiutkiej Mani czego obawiać czy nie miała?

- No, faktycznie, że miała.

Totyz, uważasz mnie pan, jak w drugim akcie drzwi się roztwierają i wchodzi ta kontrolna, w bratowe jej jakby pieron trzasł. Szczerwieniła się, a potem zrobiła się blada jak prześcieradło i krzyczy:

„Proszę wont stąd! Niech kontrolna wyjdzie! Mój mąż poważne interesa prowadzi i komisje specjalne może nam kontrolna na łeb ściągnąć!”

- No, a te nocne życie co na to?

- Usiadło i siedzi, mówi, że nie tylko nie wyjdzie, ale na stałe swoje firme do Warszawy przeniesie.

Bratowa o mały figiel nie zakitowała na serce, ale nadleciała cała rodzina oraz jakiś szpicbródka, podobniez bywszy mąż tej Mani, i taki jej dali popęd, że koniec końców pojechała nazad do tego Wiednia.

- No i na tem koniec?

- Ale gdzie! Uważasz pan, potem w kurierze przeczytali, że jakiś austriacki gienierał w starszym wieku zakochał się w tej Maniusi i w krótkich abcuogach kojfnął. Ale przedtem destament skopiować kazał, że pół miliona tej swojej miłości zapisuje.

- To niemożliwe.

- Co niemożliwe, żeby kojfnął?

- Nie, żeby zapisał forse takiej lepszej facetce.

- Niemożliwe? Życia pan nie znasz, na Bródnie przed wojną starszy przodownik tak się w jednej takiej Feli zamazał, że budkie z wieńcami pod smentarzem przy samej bramie jej założył. Miłość nie dostrzega czarnej książki.

- No i co było później, rodzina jej, ma się rozumieć, przebaczyła?!

- Jakbyś pan zgadł, telegrame pchli do niej, żeby do Warszawy żywo przyjeżdżała. Kolacje i kwiaty naszykowali. Rzecz jasna, forse chcieli od niej nażyć. Weksle już byli przygotowane, już sobie kieszenie na te kafle i górale szykowali, ale ona była cwańsza, niż jem się zdawało.

Przyjechać, przyjechała, kolację wrąbała, kwiaty wzięła, ale grosza jem nie dała. „Nie przyjąłem tego spadku - mówi - nie chcę takiej forsy.”

Nie masz pan pojęcia, co się wtenczas działo. Rodzina o mały figiel oknami nie powyskakiwała. A ona, ma się rozumieć, chodu.

- Rzecz jasna, że z tem nieprzyjęciem spadku to puc?

- Wiadomo - bajer! Forse wzięła i rodzinę do wiatru wystawiła. Szemrana! - skończył szofer z uznaniem.

Jakoś niechęć wciągnąłem się do tej ciekawej rozmowy.

- A jak się panu podobała wykonawczyni głównej roli, nasza znakomita Eichlerówna?

- Owszem, nie można powiedzieć, bardzo doskonale odgrywa. Tylko taka jakaś troszkie, jakby była śpiąca.

- Co pan chcesz! - wtrącił się znajomy kierowcy. - To z tego trybu życia, w nocy nieczasowa, a w dzień co to za spanie... Sam wiem, bo piekarz jestem!

W teatrze potem stwierdziłem, iż to, co szofer i pan Kwiatek brali za senność Mani - było mistrzowsko oddanym przez Eichlerównę przemęceniem życiowym bohaterki sztuki.

„Lekkomyślna siostra”. Komedia Włodzimierza Perzyńskiego.
Teatr Rozmaitości, 1949 r.

A oto przygoda pana Wątróbki na przedstawieniu opery „Goplana”, której libretto, jak wiadomo, osnute zostało na treści „Balladyny”.

„Goplana” otwiera cykl zawartych w tym zbioru recenzji operowych.

DWIE GOPLANY

- Taki mam charakter, że lubię koło Nowego Roku wybrać się do łaźni. Przed wojną na ulicy Oboźnej pod piętą znajdowali się kąpiele rzemskie pod firmą „Goplana”, gdzie za stałego klienta uczęszczałem.

Totyz jakżem przeczytał na słupach te firme i że na Nowogrodzkiej obecnie egzystuje, myślę sobie, trzeba się przejść. Wzięłem z domu prześcieradło, bo w kąpielach malutkie dają, takie jak chustka do nosa, a nie ma nic gorszego jak z mokrem ciałem wyjść na mróz - grypa gwarantowana.

No i poszedłem wieczorową porą do tej przeniesionej na Nowogrodzkie „Goplany”. Owszem, budenek, można powiedzieć, ulepszony, wchodzi się po schodkach, duży przedpokój, z boku kasa. Podeszłem i zaznaczam:

„Proszę bilet i mydło”.

„Jakie mydło?”

„Wszystko jedno: akacyjne, fijołek, konwalia, perski bez - żeby tylko pachniać”.

„Mydeł nie mamy”.

„Na Oboźnej mieli” - myślę sobie, ale trudno, wzięłem bilet i walcuje się dalej.

Na prawo była szatnia, gdzie mnie kazali się rozebrać. Kampinuje sobie: „Niedobrze, w przedpokoju zimno i pełno kobiet - jak tu w desusach figurować, i dreszczy można dostać, i także samo nie wypada”.

Ale nic, oddałem jesionkie, kapelusz i zdjęłem marynarkie, i zaczynam szelki odpinać, ale patrzę, że szatniarka oczy na mnie postawiła i pusto się koło mnie zrobiło, sporutowałem, że coś jest nie korekt. Widocznie

detalicznie rozbierać się można dopiero w gabynie z wanną. Wciągnęłam, ma się rozumieć, nazad marynarkie, prześcieradło przewiesiłam sobie przez ręce i zapycham dalej.

Weszłam na jakieś sale, gdzie może z tysiąc ludzi siedziało na krzesłach - kobiety, mężczyźni, dzieci.

„Ładna »Goplana« - myślę sobie - za trzy dni się wszyscy nie wykąpiem”, ale nic, usiadłam i tyż czekam.

- A tu elektrownia nawala i ciemno się robi jak u Murzyna za piecem. Wzięłam prześcieradło mocniej pod pachę, żeby go mnie kto po ciemku nie przyuważył, a tu muzyka zaczyna grać.

Spodobało mnie się to nawet - ciemno, bo ciemno, ale pod muzyczki się czeka.

Po dłuższym czasie na głównej ścianie firanka się rozsunała i dała się widzieć ogólna damska łaźnia. Kobiety w niedwabnych koszulach lub tyż tyrkotowych kąpielówkach, a jedna widocznie niezamężna, to tylko liściami i tatarakiem gdzieniegdzie była przykryta - spacerują, siedzą albo tyż gadkie między sobą prowadzą.

„Urządzone na medal - myślę sobie - kudy lepiej jak na Oboźnej. W tych waronkach można sobie poczekać.” Zauważyłam, że niektórzy faceci rolnetki ze sobą przytargali i kapują - widocznie nie pierwszy raz się tu kąpią.

Dopiero jak ta damska łaźnia zaczęła tańczyć i śpiewać, skoczyłam po rozum do głowy, że zaszło jakieś nieporozumienie, że to nie ta „Goplana” - nie kąpiele, tylko teatr.

Niemożebnie byłem cięty na te nadużycie starej przedwojennej firmy w celach nieuczciwej konkurencji i zamiarowałem żądać zwrotu pieniędzy, ale później mnie przeszło i zaczęło się podobać.

Jaka to detalicznie była sztuka i o co się tam rozchodziło, nie mogłem się, połapać, bo muzyka niemożebny hałas robi, artyści stale i wciąż tylko śpiewają i nikt publiki, jak się należy, nie informuje. Prosiłem jakiegoś lebiegi, co około mnie siedział, żeby mnie wytłomaczył, ale to był jakiś chomąciak bez towarzyskiego alibi, bo mnie tylko obsztorcował i kazał być cicho.

Na mój rozum, to rzecz w tej sztuce działa się na wczasach świata pracy, nad sadzawką pod tytułem Gopło, niedaleko damskiego domu wypoczynkowego, podczas pełnego sezonu.

Bo wczasowiczki w nocy nad sadzawką przebywali, żeby się nie tłoczyły w pokojach. Otóż więc trzy z nich: ta w liściach, czyli niejaka Gaplana, druga podstawna, dobrej wagi blondyna, nazwiskiem Chochlikowa, i trzecia, podobnież jakaś Iskierka, namówili się, żeby sobie przygruchać małorolnego z miejscowej ludności, niejakiemu, zdaje się Grabczyka czy Graboszczaka, detalicznie nie mogłem usłyszeć.

No i co się robi? Małorolny, ponieważ że był zaręczony z córką jednej wdowy, nie zamiarował z temi wczasowiczkami na dancingi ucześnieć.

Wtenczas Chochlikowa napuściła jednego wiejskiego bogacza nazwiskiem Korkociąg, czy jakoś tam, na te córki tej wdowy.

I co się robi - wiejski bogacz zapycha z koleżkami do wdowy się oświadczyć. Ale się okazuje, że ta dana wdowa jeszcze jedne córki posiada. Jak ten Grajcarek zobaczył ich obydwie, zbaraniał - z którą się żenić? Bo jedna była silna breneta, ta właśnie narzeczona Grabczyka, z dużym fajerem i bardzo podchodząca na długie zimowe wieczory, a druga marząca blondyna, w sam raz na lato, żeby z nią nad brzegiem sadzawki usiąść i na motylki kapować. Bił się w taki sposób z myślami chłopina i nie wiedział, co z tem fantem zrobić, i wtenczas Chochlikowa, cholera, doradziła, żeby tak zwany wyścig pracy urządzić. Która z tych córek prędzej dzbanek malin uzbiera, czyli że za przodowniczkę pracy się zostanie, w charakterze premii otrzyma tak zwane ręce Korkociąga.

Jednym słowem, współzawodnictwo pracy w ramach spółdzielni „Las”.

Blondyna pierwsza przekroczyła normę na dwieście pięćdziesiąt pięć procent i byłaby premię otrzymała, ale cóż, jej przegrana siostrzyczka nożem w lesie jej życie odebrała.

Grabczyk to widział, ale bojał się wtrącać, bo myśli sobie, jak ona mnie tem nożem zaprawi, to co będzie? Wdrapał się na choinkie i tam całe zajście przesiedział.

Był jeszcze jeden pogrzeb, bo podczas burzy radia nie uziemnili i pierun zabił brunetkę już w charakterze wiejskiej bogaczowej, czyli Korkociągowej.

Jeżeli teraz się rozchodzi o tak zwane moralne nauki, jaką z każdej sztuki teatralnej dla mas powinniśmy otrzymywać, to „Goplana” nas poucza, że nie należy samych kobiet puszczać na wczasy w okolice zamieszkałe przez miejscowych mężczyzn.

„Goplana”, opera Władysława Żeleńskiego.
Opera Warszawska, 1949 r.

SZAFKA GRA

Wieczory artystyczne „na” zakładach pracy to bardzo pożyteczna i przyjemna akcja. Przy czym trzeba wyjaśnić, że nie odbywają się one na dachach tych zakładów, tylko w środku, nieraz w bardzo pięknych świetlicach. Dlaczego się mówi, że „na zakładach” - nie wiadomo! Ale tak się mówi.

Sam bardzo chętnie biorę udział w takich wieczorach, jako recytator własnych utworów. Mam nawet sporo związanych z tym miłych wspomnień.

Niedawno w mieszanym literacko-koncertowym zespole byłem „na” pewnym śląskim zakładzie pracy. Przyjmowano nas bardzo przychylnie, a po koncercie jeden ze starszych widzów, gorąco ściskając mi rękę, rzekł:

- Bardzo, bardzo dziękujemy! Ogromnie nam się wszystko podobało, no, wprost do zachwytu! Ładnie państwo grali, śpiewali, i te pana „humory” też oblecą, nie można powiedzieć. Jednym słowem, koncert - mówiąc po warszawsku - w deseczki. Bo ja, panie szanowny, stary warszawiak, tylko jako spalony, teraz tu zamieszkuję. Faktycznie, odstawili państwo robotę czysto, akuratnie, bez braków, marnego słowa nie da się powiedzieć, mucha nie siada. Nie tak jak inne zespoły, co tu bywają. Jak po ogień wpadną, odpędzają na chybicka, parę piosenek czy deklamacji okolicznościowych i chodu. Śpieszą się do innej świetlicy. Na przykład w zeszłym tygodniu byli tu jedne artyści, to tak się śpieszyli, że jeden z nich, gruby, mały, w okularach, przedostatnią zwrotkę „Szumią jodły na gór szczycie” śpiewał na schodach, a ostatnią już w samochodzie. Z ulicy żeśmy go tylko słyszeli, ale słabo, bo okna byli zamknięte.

- No, staraliśmy się dać pełny program - usprawiedliwiam się skromnie, zażenowany tymi pochwałami.

- Faktycznie, pełny, może nawet ciut-ciut za długi. Pod koniec publika zaczęła się nawet troszkę urywać. Ale tylko siedząca bliżej drzwi. Zamknęliśmy później na klucz, lecz ze dwadzieścia parę osób zdążyło jeszcze prysnąć.

Wśród obustronnych serdeczności rozstaliśmy się z miłym eks-warszawiakiem. Ale w dwie godziny później, w restauracji wojewódzkiego miasta, gdzie jedliśmy kolację, przypomniały mi się jego słowa. Wywołane to było faktem, że sąsiedni stolik zajmował właśnie ów „pośpieszny” zespół. Nawiązałem rozmowę z kierownikiem i w delikatnych słowach zwróciłem mu uwagę na niesolidny stosunek do tak ważnego zadania.

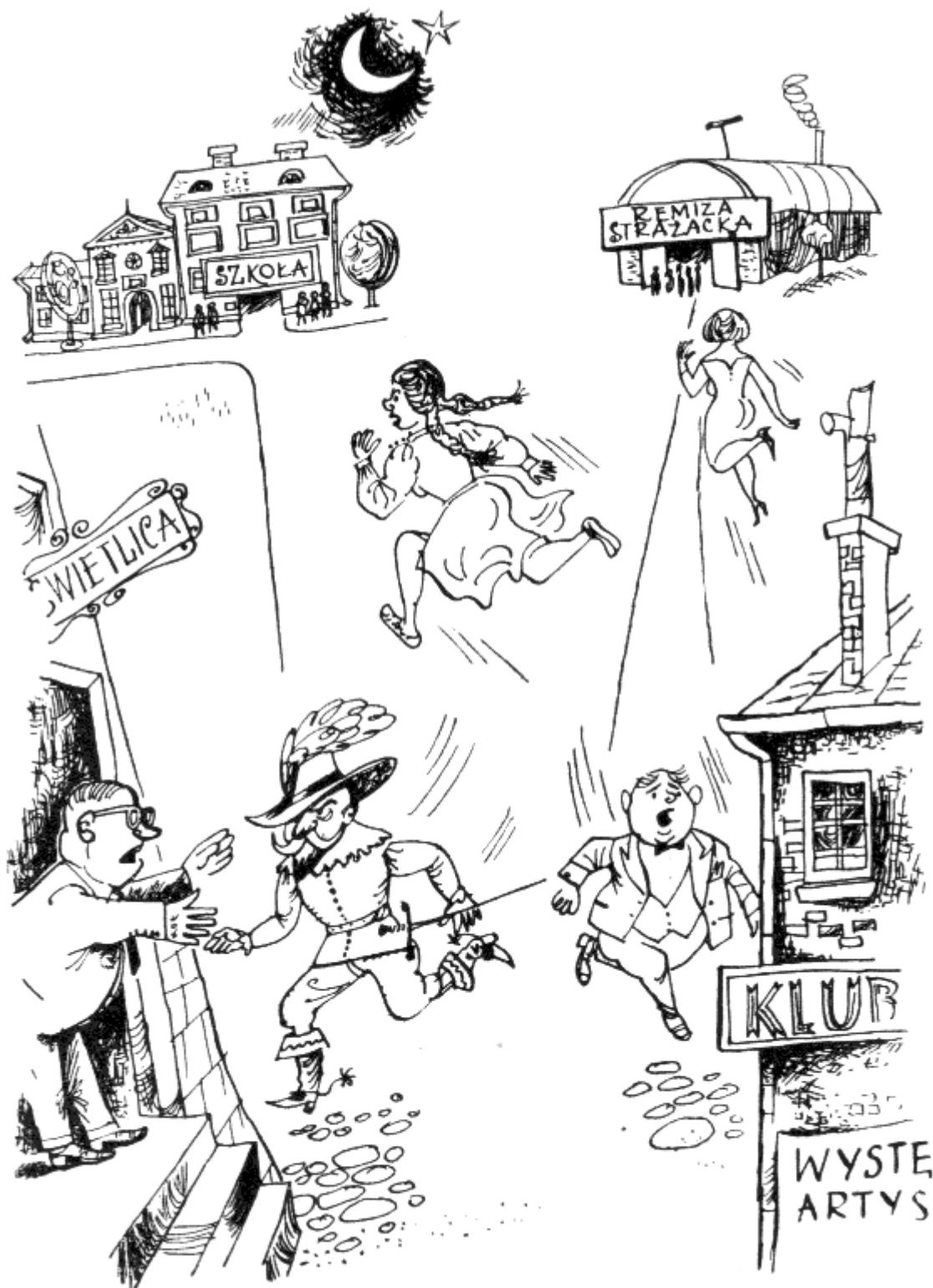
Spojrzał na mnie zdziwiony i żywo zaprzeczył:

- Nic podobnego, szafka gra!

- Jak to szafka gra?

- No, zwyczajnie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Zadanie wykonane w terminie, i to na sto procent, chociaż z wielkimi trudnościami. Ale się pracuje. Odwalam cztery koncerty dziennie w półtorej godziny.

- To chyba niemożliwe!



- Niech pan posłucha. Mam zespół ośmioosobowy. Dzielę go na cztery części, po dwie osoby. Zaczynamy jednocześnie w czterech świetlicach. W jednej koleżanka Caproni tańczy „Taniec z mieczami” Chaczaturiana i kolega Caruzo-Wysmyk śpiewa „Samotnego harmonistę”. W drugiej kolega Molski recytuje „Ojca zadumionych” i „Grzybobranie”, a Gromiczówna interpretuje „U krynicy tri dziewczyny”. Wolnicz z Gumajdzianką zaczynają w trzeciej „Pieśnią dokerów” i „Sabiną Piesek przed sądem”. „Na” czwartym zakładzie Szypuła-Rwęcki zasuwa „Szumią jodły”, a ja ich wszystkich robię na szaro „wio-konikiem”. Patem - szufladki. Taksówki czekają. Chaczaturian przeskakuje z „Samotnym harmonistą” na miejsce „Sabiny Piesek”,

„Ojciec zadżumionych” zabiera „Tri dziewicy” i zapycha z nimi tam, gdzie „Szumią jodły”. „Jodły” z „Konikiem” - gazu i wio na miejsce Chacaturiana. Szafa gra!

- Ale czasem się podobno zacina.

- Bardzo rzadko.

- No, a wtedy z tą arią z „Halki” na schodach?

- Wtedy to siła wyższa. „Ojcu zadżumionych” kicha nawaliła i cały plan wysiadł. Jontka trzeba było wcześniej ściągnąć za frak z estrady, bo „Sabinie Piesek” zrdbiła się dziura na dwadzieścia minut. Ale wszystko piorunem się załatało. Gorzej bywa. Taki na przykład Teatr Wielki z Cielęcic stale gra „Grzech” i „Rewizora” w dwóch połówkach. W jednej świetlicy I i II akt, w drugiej III i IV. Publiczność sobie opowiada wzajemnie, co kto widział - i szafa gra.

- No, dabrze, ale dlaczego tak się dzieje?

- Jak to dlaczego? Z jednej strony zespoły muszą dogonić plan zobowiązań, a z drugiej - zakłady muszą wydać forszę przeznaczoną w budżecie na kulturę. A czasu mało - grudzień, koniec roku.

- A czy nie lepiej rozłożyć tę robotę na cały sezon?

- Po co, i tak szafa gra!

Teatr „Artosu” w terenie, 1950 r.

A więc, jak widać z felietonu, i ja miewałem własne, bezpośrednie „ksiuty z Melpomeną”, brałem i biorę udział w przeróżnych chałturach, w mieszanych literacko-aktorskich zespołach objeżdżających kraj. Jak to kraj? A za granicą się nie było? Było się za górami, za morzami: we Francji, Włoszech, Anglii, Izraelu, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych. Wszędzie, gdzie tylko udało się przydybać większą grupę warszawskich rodaków i przeczytać im parę felietonów.

Wśród tych największym powodzeniem cieszyły się recenzje z oper.

Jak na przykład tak spreparowany „Straszny Dwór”.

OPERA W SKLEPIE KOMISOWYM

- Jak się panu podobała nasza opera, panie Teosiu? - zagadnąłem pana Piecyka przy wyjściu z warszawskiej „Romy” po przedstawieniu „Straszny Dwór”.

- No, taka znowuż opera to nie jest.

- Jak to nie jest?

- A tak, że nie jest. No, bo co pan tam masz do śmiechu? Worek faktycznie jednemu na głowę zarzucają. Z ciotki balona niedużego tych dwóch wojskowych młodzików - odstawić, odstawia, draka z zepsutym zegarem także samo dasyc operna, ale w ogólności to takie więcej żywe obrazy o trudnościach mieszkaniowych w dawniejszym czasie, czyli że nie każdego może do łez rozśmieszyć, zwłaszcza poniekał warszawiaka.

- Nie rozumiem pana, gdzież tam mowa o trudnościach mieszkaniowych.

- O czym jest mowa, wiedzieć nie mogę, bo słowa ani jednego z tego wszystkiego nie da się zrozumieć ale jak kto ma troszkie smykałki, z grubsza może się połapać. Otóż więc w pierwszym akcie mamy większy ochłaj przed pałatką, na świeżem powietrzu, z powodu, zdaje się, zawieszenia broni i demobilizacji. Niewąsko w

gazik się tam uderza i faktycznie jest usprawiedliwione, że wszyscy razem, na olaboga, każdego na inną, samodzielnie wybraną melodie śpiewają - zwyczajnie, jak to pod muchą. Najlepiej trzymają się dwa równe chłopaki: jeden blondynek, nieduży, ale podstawny i drugi, troszkie przychudy, ale widać, że wypić może. Te faceci, podobnie bracia, do cywila odjeżdżają i martwią się, co będzie z mieszkaniem. I pokazuje się, że mają rację. Przyjechali do domu, a tam świetlica urządzona i jak raz przedstawienie się odbywa, czyli pieśń masowa i tak zwane tańce ludowe. Bardzo są chłopaki tym zmartwione, ale ciotka ich napuszcza, żeby się postarali o nakaz na pokój w lokalu niejakiego Słonecznika czy Miodownika.

- Ależ, panie Teosiu, co pan opowiada, tam nie ma wcale takiej postaci, może pan mówi o Mieczniku?

- Zaraz, chwileczkie, jak się zwał, tak się zwał, dosyć na tem, że jest to starszy wdowiec z dwoma córkami. Ale tam też pokoju nie da się zająć, bo wdowiec do jednego wpuścił spółdzielnię pracy krawiecko-hafciarską „Igła” i dwadzieścia parę kobiet zasuwa tam ręczne wyroby dziane, aż się dymi, a w drugim właściciel lokalu prowadzi sklep komisowy.

- Jaki znowu sklep komisowy?

- Ze starzyzną. Zepsute zegary, lanszafta i portreta różne, starożytne ubrania wojskowe z żelaznej blachy i temuż podobnie. Widzą chłopaki, że spółdzielnia nic nie zrobią, to zamieszkali na siłę w komisowym sklepie. I faktycznie, zaczyna się opera. Pokój jest duży, przynajmniej dziesięć na dziesięć metry, no to kwaterunek dorzucił jem jeszcze jakiegoś starszego faceta na trzeciego. Wszystka trzech mają tu mieszkać. Ale Słonecznik też nie śpi. Córkom swoim kazał się schować na antresoli pod sufitem, a w największy zegar szafkowy jakiegoś dawno nie strzyżonego flimona wsadził i mówi: „Straszcie ich dotąd, aż się wyprowadzą!”

I faktycznie, młodziaki poszli do kuchni się myć, starszy suplikator sam się w sklepie komisowym został. A tu zbankretowany zegar bez werku zaczyna chodzić i bić godziny. Córki wórek na łeb z antresoli temu dawnemu trzeciemu suplikatorowi zdrucili i jeszcze piosenkami go straszą. No, to on, ma się rozumieć, chodu do kuchni, spółników sprowadza i mówi jem, co i jak. Bracia mokre, ale jako bywšie wojskowe i znakiem tego faceci otczajne, nie zdrefili, nakryli na antresoli te dwie facetki, wyciągli z zegara nie strzyżonego flimona, dali mu po szyi, a z facetkami dawaj się żenić. Postanowili na swoim, mają mieszkanie, chociaż dużym kosztem osobistym. Mazur na zaręczynach i koniec. Czyż nie tak było?

- No, niezupełnie tak. Muszę przyznać, że nieco dowolnie zmienił pan treść „Strasznego dworu”.

- To mówię, co widziałem, bo faktycznie, o czym śpiewają artyści, to sprawa zagadkowa. A wszystko przez przodownictwo pracy. Każdy jeden przed końcem miesiąca normę chce poprawić i wszyscy razem, na siłę, jeden od drugiego głośniejsze śpiewają. Widziałeś pan, w trzecim akcie już jest ich cała scena, że się przelewa, to jeszcze wpada z dziesięciu i też chcą śpiewać. Te, co już są, kłócą się z niemi, nie dadzą jem dojść do głosu, ale nic nie pomaga, nowe też chcą premie wyrobić i nie dadzą się przytłumić. Jeden to nawet z dubeltówką włata i krzyczy: „Kto mnie nie da śpiewać, zastrzelę jak zająca”.

„No to już śpiewaj, pies z tobą, tańcował!” - mówią. I ten dopiero zasuwa.

- Ale przyzna pan, że Opera Warszawska mimo ciężkich warunków, w jakich pracuje, cieszy się olbrzymim powodzeniem i zyskała już sobie ogólne uznanie i sympatię. Najlepszym tego dowodem gorąca atmosfera na sali.

- Na sali, owszem, nie powiem, faktycznie, ale korytarze i szatnia - lodownia. Na papierosa pan wychodzisz, a z grypą pan wracasz. Trzeba by to jakoś wyrównać.

„Straszny Dwór”, opera Stanisława Moniuszki
Opera Warszawska, 1950 r.

Kino nie podlega podobno władzy Melpomeny, rządzi nim dziesiąta, nowo kreowana Muza - Filmia. Ale panowie Piecyk, Wątróbka czy Krówka o tym nie wiedzą, dla nich film to taka sama „opera”, tylko że „artyści

przedstawiają na prześcieradle". Szanujmy ten pogląd i posłuchajmy, co mówili dwaj warszawiacy z Pragi o filmie „Fanfan Tulipan” granym w roku 1955 z nieodżałowanym Gerard Philipem w roli tytułowej.

FANFAN FIJOŁ

- Byłem, uważasz pan, w kinie „Praha” na tem całym obrazie pod tytułem „Fijoł”.

- Jaki Fijoł, nie wiem, o czym pan mówisz?

- Jak to pan nie wiesz? Taki mocno hisiowaty młodziak, co z pałaszem po dachach lata i kogo może, to dziabnie. Z francuską królową chce się żenić, a w tak zwanem międzyczasie Cyganka nie Cyganka, córka kułaka nie kułaka - co w sianie przytraci, to jego. Z gałęzi się urywa, na dzwonie huźda!

- A... to Fanfan Tulipan, nie żaden Fijoł!

- Jaka różnica? I to, i tamto z kwaciarskiej branży.

- No, różnica jest - fiołki na pęczki, a tulipan kwiat galanteryjny, doniczkowy.

- Mniejsza o to, dosyć na tem, że obraz pouczający i nic dziwnego, że ludzie od rana przed kinem stoją w ogonkach, a kierownik i bileterzy ledwo nogami ze zmęczenia powłóczą.

- Faktycznie, tak jest, ale o czymże-on nasz detalicznie, podług pańskiej osoby, poucza?

- Jak to o czym? Wyraźnie pokazuje, jakie to dranie te dawniejsze króle byli.

- No, rzeczywiście, król piękne Cygankie przy kości Tulipanowi odebrał i na siłę chce z nią zamieszkać.

- A ona go w mordę!

- I patrz pan, jak dostał w pycho, zakochał się już bez pamięci!

- To mnie się zdaje, troszkie niepoważne. Mojego braciszka żona, znaczy się bratowa, dwadzieścia lat w ucho go leje, a on się jakoś nie może w niej rozkochać na zabój.

- Twardy facet!

- W każdym bądź razie kawał oprychy.

- Kto?

- No, Lutek Piętnastka.

- Jaka Piętnastka?

- No, ten cały król: Nie wiesz pan, że króle są numerowane?

- I po mojemu słusznie, boby się dzieciom w szkołach mylili.

- W każdym razie „Piętnastka” duży rozrabiaka.

- Dzisiaj już by taki chojrak nie był!

- Przypuszczam. Chociaż trafiają się podobne w tych paru sztukach, co się jeszcze po świecie kręcą. Jak na przykład ten egipski Twaróg.

- Faruk, nie Twaróg. Ale pognali mu kota koniec końców.

- No, tak jest, ale czytałeś pan chyba w „Przekroju”, jak na ostatek jeszcze zaszurał. Nie dosyć, że za kazonne pieniądze tysiąc pięćset krawatów sobie sprawił, dwieście lasek (na cholere mu tyle lasek?) oraz dwa tysiące koszul dziennych popelinowych „codziennie wyrzucał raz noszoną koszulę...”

- Może miał „drobne”, czyli jak to mówią, egipskie baranki?

- To umyj się, łobuzie, proszkiem galanterie wysyp, a surowca nie niszczyć! Ale nie dosyć na tem, że rządową forszę wydawał na pocztówki z cielesną treścią, jeszcze siedemnastoletnie narzeczone jakiemuś doktorowi zabrał i sam się z nią ożenił.

- Po mojemu ten doktor to jakiś flimon, że dał z siebie parasola zrobić. Tulipan inaczej by postąpił. Króla parę razy pałaszem po krzyżu by przeciągnął, narzeczoną na konia i chodu na puszcę Saharę. Rzecz jasna, że po drodze musiałby ładną parę osób zimnym trupem położyć i podpalić coś niecoś z zabudowań, ale Faruk leżałby u niego jak neptek.

- No, dobrze, panie szanowny, ale co by doktor robił na tej puszczy, z czego by egzystował?

- Spokojna głowa! Beduinów by leczył. Z samego egipskiego zapalenia oczów mógłby ładnie żyć i żonę przyzwoicie utrzymać. I w taki sposób nic dziwnego, że dla Tulipana ludzie, a zwłaszcza kobiety, słów nie mają, a doktora uważają za ciapciaka i wypchane trocinami mumie egipskie.

„Fanfan Tulipan”.

Film produkcji francuskiej z Gerard Philipem, 1951 r.

Jeden z rozmówców zestawia, jak widzimy, Ludwika XV z egipskim królem Farukiem, który właśnie niedawno został zdetronizowany. Prasa pełna była opisów garderoby eks-króla, jego kolekcji: krawatów, lasek i zdjęć pornograficznych. Znalazło to swój wyraz w recenzji.

Surowo, ale sprawiedliwie osądził widz warszawskiego kina obu rozpustnych, marnotrawnych monarchów - dranie, rozrabiaki...

A teraz coś niecoś o premierze polskiego filmu.

MANTYKA ZA PRZEŚCIERADŁEM

Tak się jakoś złożyło, że nie byłem dotąd na „Sprawie do załatwienia”. A tu proszą o garść wrażeń. Ale od czego ma się znajomości?

Wsiadam więc w tramwaj i jazda do pana Piecyka na Targówek. Pan Teoś przyjął mnie dość kwaśno, co bardzo było dziwne, gdyż gościnność stanowi jeden z fundamentów charakteru tego typowego warszawiaka starszej daty. Z ponurą miną postawił na stole ocet, galaretkę z nóżek i karafkę domowej nalewki na wiśniach.

Zanim zdążyłem skierować rozmowę na interesujący mnie temat, pan Piecyk napełnił dwa mikadka i rzekł:

- Przepraszam, że nie będzie nic na gorąco, ale z żoną się kłóczę.

- O co?

- A... o jednego tam faceta z kina na Pradze.

- Co pan mówi? I któż to taki, co on tam robi?

- Artysta, niejaki Dymsha.

Uśmiechnąłem się mimo woli na myśl o pani Piecykowej zakochanej w Dymczy, ale pan Teoś zgromił mnie niezwłocznie:

- Nie ma się co śmiać, nie ma się co śmiać. Sodome Gomore mam w domu już dwa dni.

- No, dobrze, ale jak do tego doszło?

- Zwyczajnie doszło. Poszliśmy w niedzielę na te „Sprawę do odpędzlowania” czy jak się tam ten obraz nazywa... To jest uważasz mnie pan, dramat z życia urzędnika państwowego, który coś osiem posad zajmował, taki był pies na forse.



Do godziny czwartej był zatrudniony w charakterze pracownika umysłowego w Centrali Muzycznej na MDM. Po czwartej ganiał parę domów dalej „Pod parasole”, przebierał się w białe marynarkie i znowu robił za kielnera. Wydał obiady, ochajtnął się troszkie i leciał na zebranie produkcyjne, gdzie mu się przez parę godzin morda nie zamykała, tak zwalczał gadulstwo. Jak już jako tako zwalczył, zasuwał jak kot z pęcherzem do chemicznej pralni „Express”, gdzie miał skromne posadki jako fizyczny, za ćwierć etatu. Bez noc do ósmej rano jeździł na taksówce za szofera. W niedzielę wyskakiwał na prowincje w tak zwanych celach spekulacyjnych i zwoził do Warszawy herbatę w pięciodekowych paczkach. Po co, tego detalicznie nie wiem,

bo herbaty jest w Warszawie do cholery i trochę. W wolnych chwilach walczył jako bokser, sprzedawał na lewo bileta na mecze i robił zdaje się swetry na drutach.

Moja małżonka na razie spokojnie patrzyła na to wszystko, ale jak go zobaczyła na taksówce, kopła mnie pod krzesłem w kostkie i zaznacza:

„Widzisz, jak ludzie pracują. Dymśza osiem posad piastuje, a ty luksusowe miejsce nocnego dozorczy w Delikatesach żeś odrzucił, chociaż w nocy nic nie robisz. A także samo dodatkowym żalobnikiem na samochodowym karabanie Spółdzielni Pracy »Pogrzeb« nie chciałeś się zostać”.

No, to ja na to:

„A nie chciałem. Niech sobie Dymśza jeszcze dziewiąte posade, mamki w żłobku Centrali Mięśnej, zajmie - proszę bardzo, a ja ani za papugie, ani za zmotoryzowanego łapiducha się nie zgodzę i daj mnie święty spokój. Ten obraz zresztą nasz poucza, jakie są skutki chapania dziesięciu posad: jako urzędnik, jako szofer, kielner, a także samo pracz na sucho - przemęczony, niewyspany Dymśza tylko utrudnia. I tych dwoje młodziaków nie może przez niego głupiego pianina dla świetlicy kupić”.

Tak jej zaznaczyłem. Bo musisz pan wiedzieć, że są tam w tym filmie Zosia i Stefan, co cały dzień od Judasza do Kajfasza za tem pianinem chodzą i wszędzie nacinają się na Dymśze. A Hielcia mnie, uważasz pan, na to wszystko, że Dymśza kocha żonę, a ja nie. Po mojemu nie wolno takich filmów puszczać, bo dla fisharmonii małżeńskiego pozycia są niebezpieczne - zakończył swój dłuższy wywód pan Piecyk.

Usiłowałem go delikatnie przekonać, że oboje z żoną nie zrozumieli treści filmu, że Dymśza, o ile wiem, nie gra tam jednego zachłannego na posady człowieka, tylko osiem nic wspólnego nie mających z sobą postaci.

Ale usłyszałem w odpowiedzi:

- Jak pan nie byłś, to czego się pan mądrzysz? Do kogo ta mowa?

- Na dobitek - ciągnął dalej mój rozmówca, pokrzepiwszy się porcją nówek - zakradł się tam za prześcieradło jakiś barłoga, któren stale i wciąż opowiadał nam to, co widzieliśmy na obrazie: „Zosia i Stefan przechodzą przez plac Konstytucji”. I widziałem, że faktycznie, przechodzą przez MDM, a nie przejeżdżają na łyżwach przez Wisłę.

Na razie myślałem, że to gość w cyklistówce, któren przede mną siedział, tak głośno swoje narzeczone uświadamia, nachylałem się więc i nadmieniam mu do ucha:

„Co pan nasz za ciemniaków w worku do Warszawy przywiezionych bierzesz czy jak? Przymknij się pan troszkie”.

Na razie obraził się i chciał mnie nawet dać w oko, ale się połapał, że zaszło nieporozumienie i wytłomaczył nam, że ten mantyka, co ludzi męczy, siedzi tam wysoko za prześcieradłem...

Odgadłem wreszcie, że pan Piecyk ma na myśli użytego w tym filmie niewidzialnego konferansjera.

- Ach, panie Teosiu - rzekłem przeto - to jest komentator, który stara się ułatwić widzom wyciągnięcie wniosków z akcji oglądanej na ekranie.

- Jego, lebiegie, powinno się wyciągnąć zza ekranu albo chociaż obciąć mu te głodne gadki co najmarniej do połowy.

- I wówczas fiim się panu spodoba?

- Tak, o wiele się Dymśzy odejmie z połowe posad, żeby żon publice nie bontował.

„Sprawa do załatwienia”.
Polski film fabularny
z Adolfem Dymszą, 1951r.

No, więc pan Piecyk załatwił krytycznie „Sprawę do załatwienia”, film, który tyle w owym czasie sprzecznych o sobie wywołał opinii.

Nawet wybitni krytycy filmowi mówili mi potem, że najzupełniej się z oceną pana Teosia zgadzają. Przyjemnie mieć wśród znajomych tak wybitnego znawcę kanonów sztuki filmowej.

Panu Walerianowi Wątróbce znów zawdzięczamy sprawozdanie z Schillerowskiej „Intrygi i miłości” granej w Teatrze Polskim. Streścił tę znakomitą tragedię doskonale, pomylił się tylko robiąc z tłumacza, Artura Marii Swinarskiego - państwa Swinarskich.

Żeby to tylko takie gafy zdarzały się naszym zawodowym krytykom.

POSUŃ SIĘ, LUCIA

Zaciągnęła mnie Gieniuchna do teatru na sztukę pod tytułem: Miłość i... ostryga nie ostryga, fastryga nie fastryga... detalicznie nie pamiętam, w każdym bądź razie drugie słowo było zagraniczne. Ta dana sztuka była z początku streszczona po niemiecku i nikt nie mógł z niej nic zrozumieć, ale złapało się za nią jedno małżeństwo, niejaki państwo Artur i Maria Świnarscy i detalicznie, słowo po słowie, przetłumaczyli ją nam na język polski. Teraz wszystko jest jasne. Otóż więc cały przebieg wygląda w ten deseń.

Jeden starszy muzykant w mieście Berlinie miał niemożliwie pyskate żone i córki Lucie. Dziewczyna była faktycznie jak róża i w taki sposób przygruchał ją sobie jeden major. Zbajerował tatusia Luci, że ma życzenie uczyć się grać na flecie, i zaczął uczyć ją na te lekcje. Ale jak muzykant zobaczył, że major w miejsce żeby na nuty, na te Lucie patrzy i dmucha we flet z przeciwnej strony, kota mu popędził.

„Zaczem się ty, cwaniaku, gam na flecie nauczysz, ja tu za dziadka się zostanę” - myśli sobie. Faktycznie miał rację, bo ta córka też się w tym majorze zamazała na całe pare. Na dobitkę ten ów major pochodził z wyższych sfer magistrackich, bo miał ojca prezydenta, czyli jak to się dzisiaj mówi, przewodniczącego miejskiej rady narodowej. Przewodniczący nie chciał syna za muzykantówne wydać, zwłaszcza, że go napuszczał w tym kierunku niejaki Wurm, zdaje się kierownik miejskiego zakładu pogrzebowego, bo minę miał żałobny i w takim pirogu chodził jak przed wojną karabaniści. Jak ten żałobnik tak narozrabiał, za trudno jest powtórzyć, nadmienię tylko, że przez niego dwa pogrzeby na scenie się odbyli, parę pojedynków, muzykant i jego żona dostali się do mamra, a Gienie o mały figiel byłoby to samo spotkało za zabradziazenie spokoju w teatrze.

A detalicznie tak się ta rzecz odbyła. W ostatnim akcie wpada major do mieszkania muzykanta i prosi o szklankę lemoniady. Z miejsca wydawało mi się to podejrzliwe. W nocy po ciemku przychodzi do narzeczonej na napoje gazowe? Ale ona nic się jakoś nie połapała, wyszła, dosyć długo jej nie było, nareszcie przynosi litrowe szklankie tej lemoniady. Patrzę, a on wyjma caś z kieszeni i wrzuca do naczynia. Na razie myślałem, że kogutka chce zażyć albo inszą motopirynkie.

A co się pokazało? To była trucizna. Sam wypił z pół litra tej lemoniady, a resztę narzeczonej odpala. Ona chwilowo nie chciała, ale koniec końców wypila bez apetytu i od razu boleści dostają. Ona myślała na razie, że to nic takiego, i chciała wyjść na chwileczkę, ale on zaznacza: „Nic ci to nie pomoże. Jesteśmy otrute, kładziemy się i umieramy! Posuń się, Lucia!”

Przez sercowe zazdrość to zrobił, bo myślał, że wystawiła go do wiatru z jednym flimonem w białej perudze. Kiedy się wydało, że zaszło tak zwane pry-kwo-pro, czyli nieporozumienie miłosne, major chciał ratować

swoje narzeczone, ale nie wiedział jak, i latał w kółko jak głupi. Wtenczas Gienia nie wytrzymała, zerwała się z krzesła i krzyczy:

- Leć pan po mleko, czego pan stoisz, do cholery? - Musi być w kuchni!

Wstydu mnie narobiła, ledwo żem ją jakoś nazad posadził, a tu na scenie major kładzie się obok narzeczonej i zaczyna kitować, czasem tylko głowę podnosi i sztorcuje na perłowo swego ojca, któren jak raz nadleciał z żałobnikiem. Gienia znowuż się zrywa i krzyczy:

- Robakiewicz winien! W nekrolog łapiducha!

Wyprowadziłem ją z sali, obrugałem jak się należy i pytam się, dlaczego krzyczała na Wurma - Robakiewicz?

- Bo tak się powinien nazywać, Wurm to po niemiecku robak - musiałam dokończyć tłumaczenia za państwa Świnarskich.

„Intryga i miłość” Fryderyka Schillera.

Teatr Polski, Warszawa, 1951 r.

HARNASIE NA SZMULKACH

- Słyszałem, że był pan na Harnasiach, panie Walery? - zagadnąłem pana Wątróbkę wczoraj u fryzjera.

- Na czym takim? - zapytał z żywym zainteresowaniem.

- No, na wspaniałym balecie Szymanowskiego w „Romie”.

- A, w „Romie”. Być, byłem - na tych żywych obrazkach z życia wczasowiczów i derożkarzy w Zakopanem.

- Jak to wczasowiczów i derożkarzy?

- No, zwyczajnie. Pierwszy obraz przedstawia nam wieczorek towarzyski w świetlicy domu wczasowego „Serenada” na Bystrem. I wiesz pan, że ładnie się bawią. Gront, że tańca sporo nawet, ale nie za dużo. Facet i facetki wchodzą i wychodzą pojedynczo, po dwóch i po sześć osób razem. Kto ma życzenie, tańczy walczyka. Ale jakiś taki damski turnus jak raz się zebrał - wczasowiczki nie mają się z kim pokręcić, to samodzielnie zasuwiają.

Jedna zwłaszcza, nieduża blondynka, niezamożna widocznie, bo na wieczorek prawie goła przyszła, tylko bibułkowy abażur od lampy gdzieś przykarauliła i w charakterze wieczorowej sukni go nosi. Ale tańczyć lubi pasjamy, chociaż szczęścia nie ma do mężczyzn stale i wciąż sama się podbawia. Co ona nie robi - na pięcie się kręci, potem na dużym palcu od lewej nogi młynki takie zasuwa, że strach patrzeć. I przestać nie chce, aż przylatuje koniec końców paru koleżków, łapią ją na ręce i wynoszą ze sceny, bo krzywdę by mogła sobie zrobić. Od takiego kręcenia się zyza można dostać.

Druga znowuż, czarna, przy kości, już tak więcej spokojnie się bawi: podskoczy, przyklęknie, położy się na ziemi chwilowo, niby to zmęczona, w kimono zamierza uderzyć, a wszystko pod muzykie. Ładnie się bawią na wczasach pracowniczych w Zakopanem.

W drugim znowuż akcie wczasowiczki za góralki są przebrane, na świeżym powietrzu się znajdują. Tej czarnej niby tyż to zapowiedzie z jednym derożkarzem wyszli i ma być ślub.

- Przepraszam, panie Walery...

- Chwileczkie, jeszcze nie skończyłem. Ślub ma być, derożkarze bajerują drużny i od razu przestajesz pan rozumieć, co się stało. Strzał ze straszaka i na scenę wlatują Indiani. Skąd w Zakopanem Indiani, tego nikt nie wie. Podejrzewam, że reżyser troszkie na gaziku musiał się znajdować i Sitting Bull z Marusarzem mu się pomieszał.

- To pan, panie Walery, pomieszał wszystko jak groch z kapustą. Pański „pierwszy akt” stanowi oddzielną całość i jest przepięknym baletem pod tytułem „Serenada” Karłowicza, i nie ma nic wspólnego z „Harnasiami”, które zaczynają się od drugiej części. Pańscy Indianie to właśnie harnasie, czyli zbójnicy tatrzańscy.

- Znaczą się, zakopiańskie chuligani. Troszkie, faktycznie, na bikiniarzy podobne. Mandoliny na głowach, spodnie wąskie do kostek, krawaty z widoczkami... może pan masz rację. Ale w taki sposób cała ta sztuka mnie się nie spodoba. Żeby główny bikiniarz, chociaż tańczy na medal, pannę młodą na weselu oblubieńcowi odbił i prysnął z nią na Gubałówkę - to niezyciowe.

U nas na Szmulkach było takie same zdarzenie na weselu na Kawęczyńskiej. Wleciało pare chuliganów, ze straszaka co prawda nie strzelali, ale kamień brukowiec ze sobą przynieśli zawinięty w gazetę i powiedzieli, że stół z całą zastawą niem rozbiją, o wiele nie zostaną zaproszone na przyjęcie.

Tak samo jak w tych „Harnasiach”, jeden lampę tłucze i nieporozumienie towarzyskie się odbywa, tylko w zakończeniu różnica. Panna młoda zostaje na miejscu, a głównego bohatera pogotowie zabiera, bo go osobiście pogrzebaczem zaprawiła. Resztki harnasiów udaje się na wypoczynek do komisariatu Milicji Obywatelskiej.

W tem sensie trzeba przerobić przedstawienie w „Romie”.

„Harnasie”. Balet Karola Szymanowskiego
Opera Warszawska, 1951 r.

Sztuka „Grzech” została znaleziona w spuściźnie pośmiertnej Żeromskiego, bez zakończenia. Akt czwarty urwał się w połowie. Ponieważ bardzo chciano ją wystawić, zapadła decyzja dopisania zakończenia. Zrobił to kierownik literacki Teatru Kameralnego znakomity dramaturg współczesny Leon Kruczkowski. Sztuka ukazała się w całości i długo wzruszała najszerzą Warszawę melodramatyczną swoją akcją i świetną grą aktorów, z Aleksandrem Zelwerowiczem na czele.

Złośliwi, a kiedy ich było brak w Warszawie, wzięli jednak na języki sposób, w jaki uzupełniono Żeromskiego i o następnej premierze Teatru Kameralnego mówiono, że sztuka dobra, aktorzy pokazali klasę gry, scenografia też na doskonałym poziomie, jeden tylko Kruczkowski nie dopisał.

Wzruszonym widzom „Grzechu” nic to jednak nie przeszkadzało, posłuchajmy choćby niejakej pani Balon.

ANDZIA MULARKA

- No i jak, byłaś, pani Balon, w tem Teatrze?

- Byłam, złociutka, byłam i powiem pani, że od czasu pogrzebu ciotki Orpiszewskiej takżem się nie spłakała. Jeszcze w domu nie mogłam się utulić.

- No, dobrze pani poradziłam, żebyś pani wzięła dwie chustki?

- Do grobowej deski pani tego nie zapomnę - już w drugim akcie pierwszą chustkę musiałam wyżymać, a jak ten najmimorda, ten adwokacina za grosz, przyjeżdża z tem swoim niewiniątkiem króla Heroda, z tem ziółkiem diabelskim, z tą całą nauczycielką z poślubnej podróży, a porzucona Andzia w takim stanie jabłka na szarlotkę szykuje - drugą chustkę musiałam na poręczy krzeselka rozwiesić, żeby mnie podeschła na

czwarty akt. I takżem na zmianę się temy chustkami ratowała, inaczej nie dałabym sobie rady i musiałby mnie mąż z teatru wyprowadzić. Taka więcej życiowa sztuka i do płaczu.

- A mnie znowuż najwięcej lży się cisnęli do oczów i serce się ścisakało, jak ta cholera, starsza córka, ojca staruszka i swoje młodsze siostry, te właśnie Andzie, w deszcz z domu wyganiała.

- A zółć panią Balon nie zalewała na tego farbowanego na rudo babsztyła, któren wszystkiem tam trzęsie, ciężką forse na prawo i lewo młodem dziewczynom rozdaje, żeby mu tylko nie przeszkadzali za adwakacine się wydać? Majątek ma, wylie ma, jeszcze adwokatową chce się stare rokoko zostać.

Jaką to ona mowę zakłada do Andzi: „Pojedziesz, panna Andzia, na mój koszt do Włoch za artystkie się uczyć, tylko oddaj mnie, panna Andzia, mecenasa, bo takie mam życzenie”. A Andzia nie i nie.

- A wiesz pani, że ja zła byłam na te Andzie. Męczynas nie taki znowuż ciężko przystojny, żeby się o niego zabijać, zwyczajny bikiniarz w garniturku z młodszego brata, dziesięciu takich jeszcze mogła sobie znaleźć. I to nie tylko ja, cały teatr jej się dziwił. Ale chciała dziewczyna postawić na swoim.

- No i co z tego wyszło? Nauczycielka sprzed nosa go jej sprzątała!

- A wszystko przez rude, zgniłe kapitalistkie.

- A jak się pani Balan spodobał ostatni akt?

- Nie miałam szczęścia, moja pani go zobaczyć.

- Jak to, czy wysłała pani wcześniej po rzeczy do szatni?

- Nie to - mularze przeszkodzili.

- W jaki sposób?

- A w taki, że przyszli jak raz scenę poszerzać. Jak się firanka rozsunała, okazało się, że dekoracja sprzątnięta, żywy mur widać, rusztowanie i pełno mularzy, Nie dali sztuki skończyć. Mało tego, artystki do pomocy zapędzili. Szczupłej blondynce, co za Andzię przedstawiała, wapno szaflikiem na trzecie piętro kazali dygować, żal się było na nią patrzeć. Insze artyści: ten gruby, co za tatusia był, i ten, co adwokata odgrywał, przylecieli prosić, żeby ją zwolnili, milicję nawet chcieli wziąć, ale nic nie pomogło, uparli się mularze i nie puścili. Andzia też nie chciała iść. „Odbudowa Warszawy przede wszystkim - mówi - i wszyscy musiem się przyczyniać”. Artyści machli koniec kańców ręką i rozeszli się do domów.

- Pani Balon kochana, co pani opowiada, żeby mnie to jakaś ciemna masa z prowincji zaznaczyła, to bym się nie dziwiła, ale pani osoba w szkołach kształcona, warszawianka - to bolesne. Przecie żeś pani w ząb tego wszystkiego nie zrozumiała. To jest właśnie czwarty akt! Andzia dziecko na garnuszku na wsi zostawiła, a sama za mularkie się została, i tak się sztuka kończy.

- Co pani powie, to jest czwarty akt?

- Zaraz to pani kochanej wszystko objaśnie, bo cały przebieg znam na wylot od koleżki męża, któren w tem teatrze za biletera się zatrudnia.

To było tak. Znalazła dyrekcja gdzieś w gruzach książkie z tą sztuką, ale brakowało ostatnich kartek. Przeczytali w kancelarii i mówią: „Ładne, tylko za krótkie, artyści za wcześniej do domu będą wychodzić i normy nie wyrobią. Trzeba troszkie dopisać”. Ale o czym? Jest tam coś o mularzach? Jest, ale niedużo, przy końcu, bo właśnie reszta zginęła. No, to sypać dalej o tych mularzach! Każda porządna sztuka teatralna w obecnem czasie musi być o budowlanej branży.

Ponieważ że ten poeta, którego początek streścił, dawno już nie żyje, zgodziła dyrekcja dwóch na jego miejsce i te go wyręczyli.

- No dobrze, ale czy to nie grzech nieboszczyka po śmierci przerabiać?

- Nie wiem, może dlatego pod tym tytułem te sztuki odgrywają... Ale sztuka jest ładna. Idź pani do innych teatrów, to z łatwością ten „Grzech” współnikom nieboszczyka pani darujesz. Warszawa już parę miesięcy chodzi na sztuki jak w dym. I słusznie.

„Grzech”. Sztuka Stefana Żeromskiego.
Teatr Kameralny, 1951 r.

Słynna powieść Balzaka „Eugenia Grandet” została przerobiona na sztukę teatralną przez niejakiego Wermera. Pod tym pseudonimem ukryli się polscy autorzy przeróbki - dwuosobowy zespół redaktorów „Przekroju”. Sztuka cieszyła się wielkim powodzeniem, była grana przez szereg teatrów w Polsce, z warszawskim Kameralnym w pierwszym rządzie. Tu była wystawiona w wersji rozszerzonej, co znalazło specjalne uznanie w oczach naszej znajomej pani Baton.

GENIA GRANDZIANKA

- Gdzie pani tak lecisz, pani Balon szanowna, śledzie dają?

- Jakie tam śledzie?! Do teatru się śpieszę, złociutka, na Foksal.

- Tam, gdzieśmy to na „Grzechu” byli?

- A tam, tylko że teraz już co inszego artyści odgrywają, zmienili te sztuki, a szkoda, sześć razy byłam i sześć razy płakałam - jak poszłam siódmy raz, już Grzechu nie było, tylko Gienia Grandzianka.

- Chyba Eugenia Grandet?

- Przecież mówię: Gienia Grandzianka, czyli dwie sieroty, czyli fatalne skutki ukrywania obcej waluty. Także samo życiowe i tyż owszem do płaczu, o pięknej, zamożnej z domu sierocie lat dwadzieścia pięć. W pierwszym akcie, uważasz pani, rodzice jeszcze żyją, chociaż mamusia chorowita. Tatuś znowuż kawał drania, szpekulanta i gieszefciarza, którego nadzwyczaj w pieniądzech się kocha, a zwłaszcza w tak zwanej złotej mamonie. Raz koło razu komuś pieniądze grandę robi i forse do domu znosi w samym złocie. Raz przyniesie „twardego”, dolara, to znowuż „świnkie”, czyli pięćiorubłównie, i córce do schowania oddaje. „Masz, Gienia, schowaj tam, gdzie wiesz.”

A córunia wynosi do „ziemiańskiego banku”, czyli że zakopuje w ogródku.

Jak uzbierali sześć tysięcy franków, zdarzyło się nieszczęście.

Ale o tem potem. Na razie jeszcze pani zaznaczam, że ten ów szpekulant jest niemożliwie oszczędnościowem facetem, w piecach nie pozwala palić, cukier pod klucz zamyka, rodzinie żałuje, no wprost głodem cały dom morzy, chociaż na oko tego nie widać. Sam osobiście jest mocno mordziasty, fest walizki przed sobą nosi i widać, że musi mieć dużą melodię do zarcia. Córeczka tyż owszem sobie taka więcej przy kości. Kuchta, czyli pomoc domowa, nabita w sobie, na oko sto kilo żywej wagi. Nawet cierpiąca mamusia wygląda jak jabłuszko i swoje sześćdziesiąt kilo waży, szkoda mrygać. Na razie myślałam, że oni może z głodu takie popuchnięte, i żal mnie serce ściszał. Ale potem przyszło mnie do głowy, że tak tatuś, jak i Gienia, a zwłaszcza poniekąd kucharka, muszą na boczku potajemnie nie najgorzej zakąsać, i zrobiło mnie się weselej na duszy. Spłakałam się dopiero, jak ten Karol przyjechał.

- Co za Karol?

- Syn samobójcego.

- Kogo?

- Mniejsza o to. Jednym słowem, sierota w wieku poborowym. I uważasz pani, te dwie sieroty odczuli do siebie miłość wprost pozagrobową. Wtenczas tatuś Gieniuchny, który na razie jeszcze żył, kupuje Karolowi bilet do ciepłych krajów i daje mu popęd z domu, bo zamieruje wydać Gienie za jednego sędziego. I co się robi - Karol, przytomny blondynek, bierze Gienie w bajer i pożyczka od niej całą obcą walutę, czyli że sześć tysięcy franków. Wziął i pojechał. A tu temczasem robi się Sodom i Gomora, bo tatuś Grandziarz dowiedział się, że twarde mają dobry kurs i chce ich koniecznie sprzedać, i ma się rozumieć, do Gieni: „Dawaj forse”. Wszystko się wysypało. Tatuś z przejęciem wykitował, a mamusia także samo.

Gienia jest za sierotę, a Karol w ciepłych krajach handluje Murzynami.

A przez co to wszystko? Przez obce walute! Ale odgrywają nasze artyści całe te sztuki na medal. Zwłaszcza poniekąd Grandziarka i uderzający, jak to mówią, artysta, jej tatuś. Chociaż i kucharka, i blondynek, i wszyscy dobrane świetnie.

W Krakowie, w Gdyni też podobnie można Gienie zobaczyć, ale w Warszawie jest dłuższa.

Jak pisarz, co te sztuki ułożył, przyniósł ją do dyrekcji na Foksal, zapytali go, w ilu aktach.

„W czterech.”

„Mało. Dopisz pan piąty.”

„W jakim celu?”

„W zwyczajnym celu, żeby była dłuższa, zresztą u nasz taka moda.”

„Ale w Krakowie ją grają w czterech.”

„Po co ta mowa? Warszawa nie Kraków, tu nikt złotówki za brame nie żałuje. Nikomu się do domu nie śpieszy. Nasza publika lubi, żeby było dopisane.”

„Na końcu nic się nie da dopisać.”

„To dopisz pan w środku.”

I dopisał w środku.

No dobrze, moja pani, ale powiedz mnie pani, za kogo koniec końców Gienia wyszła: za Karola czy za sędziego?

Nie mam czasu, złociutka - siódma dochodzi. Najlepiej wybierz się pani ze mną w przyszłym tygodniu pójdę z chęcią trzeci raz.

„Eugenia Grandet”. Sztuka Wermera.
Teatr Kameralny, Warszawa, 1951 r.

DWIE TRATWY

Tak się złożyło, że w pogoni za „Dygnitarzem na tratwie”, krążącym w festiwalowym rejsie po wszystkich kinach warszawskich, wylądowałem pewnego wieczoru w pałacu filmowym „1 Maj” na Grochowie.

Pałac, nie pałac, ale budynek, bądź co bądź pakowny, trzeszczał prawie w wiązaniach od kłębiących się w nim tłumów wielbicieli wesołej radzieckiej komedii. Wszystkie miejsca były zajęte z sutą nawiązką, mimo to - kiedy po kronicy otwarto drzwi od poczekalni - wlała się na widownię spieniona fala nowych entuzjastów festiwalowego przeboju, niosąca na swym grzbiecie długi rząd połączonych z sobą masywnych foteli. Przypominało to żywo tratwę huśtającą się na wzburzonych bałwanach. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie bohaterska postawa dwóch bileterek, które własnymi piersiami zagroziły drogę tratwie.

Po krótkiej, lecz zaciętej walce, prowadzonej już w ciemnościach, pierwsza tratwa odpłynęła z powrotem do poczekalni, a na ekranie ukazała się druga, ta, na którą się tu wybrałem, tratwa z dygnitarzem...

Nie znałem treści filmu, ale nieświadomość moja trwała zaledwie kilka minut, bowiem jakiś lekko zachrypnięty głos, tak zwany sznaps-baryton, zaczął mi ją szeptać do ucha z niezwykłą ekspresją. Szept nie był co prawda przeznaczony dla mnie, tylko dla jakiejś panny Sabiny, ale przy okazji skorzystałem i ja.

- No i uważasz, panna Sabina, ten podstawny z bródką - to jest naczelny Sigalin urbanistyki miasta Moskwy, ten nieduży, sam w sobie, w okularach - to nerwowy doktor Łapin, a trzeci z wąsami po angielsku, co fotografuje koni przy sobie nosi, musi być weteryniarz. Wszystka trzech - znaczy się - inteligencja pracująca.

Cały obraz stanowi krytykę ichniego FWP, czyli Funduszu Wczasów Pracowniczych. Rozchodzi się o to, że oni, te trzech, dostali skierowanie na wczasy wodne, w tem rodzaju jak u nas - statkiem „Waryński” do Gdyni ze zwiedzaniem Płocka i Włocławka...

Ale się pokazało, że na statku nie ma dla nich miejsca, bo matrosy jakichś swoich „kociaków” nabrali. Dziwić jem się zanadto nie można, każdy woli w ciepły wieczór na wodzie nieduże blondynki przy kości aniżeli naczelnego inżyniera ze szpicbródką albo doktora w okularach. Weteryniarz w ogóle na parowym statku zastosowania nie posiada.

Jednym słowem, tych trzech wczasowiczów zastało się w ten deseń na lodzie. Ale że to byli przytomne cwaniaki, no to mówią sobie:

„Są miejsca czy nie ma, i tak na wczasy pojedziem. Urlop leci, ja się do domu nie wracam.”

„Masz rację, ja też nie... Żona mnie przykarauli i zamiast na statku z «kociakami» - będę używał wczasów w stołowym pakowaniu ze swoją dozą miłością. Nie ma frajerów - pojechali!”

I faktycznie, pojechali, ale na tratwie, którą skądś wytrzaśli. Naużywali się w tej podróży jak pies w studni. Bo nie dosyć, że nie zabrali ze sobą forsę i musieli utrzymywać się własnoręcznie z połowu ryb, nie dosyć, że deszcz lał się jem za kołnierze, że buty do wody jem powpadali, jeszcze zmuszone byli do świadczeń kulturalno-oświatowych na wczasowym statku, który przez cały czas za nimi zapychał. A jak do tego doszło?

Weteryniarz ładny głos do śpiewu posiadał i w taki sposób nieszczęście gatowe. Przyszła delegacja wczasowiczów ze statku i na siłę zmusiła ich wszystkich do udziału w tak zwanym wieczorze zapoznawczym.

Nie każdy jest uświadomiony, co to jest takiego, ale ja, jako stary oblatany wczasowicz, sam takie przygode przeżyłem w Szklarskiej Porębie. Tyż na siłę zaprosili mnie na koncert, bo się wygadałem, że deklamacje na medal wygłaszam.

Nie miałem wyjścia, musiałem wystąpić, ale od słońca troszkę pamięć straciłem i w połowie „Ojca zadumionych” tak się zaciełem, że ani w ząb nie wiedziałem, jak to idzie dalej. Z rozpaczem, żeby to jakoś zagłuszyć, chciałem magiczne sztuki pokazać i za fakira wystąpić, co na tłuczone szkło skacze, bo i te zdolność posiadam. Kazałem potłuc parę butelek od piwa, zdjełem kamasze i ze stołu skoczyłem na te szkło.

Resztę urlopu w Jeleniej Górze zem dakończył w szpitalu okręgowym. Między butelkami jedna po spirytusie się okazała i jako że z cieńszego szkła - nogi zem sobie przyzwoicie o nią pokaleczył.

To samo masz, panna Sabcia, w tem filmie. Inżyniera zmusili do grania na bałabajce, nerwowego doktora na puzonie, a potem się z nich wyśmieli.

W ogóle fatalne mieli chłopaki przygody. Konie ich chcieli razratować, weteryniarz się zakochał, pożar stepu przeżyli, trzy zebrania produkcyjne, tratwa jem nawiała z rzeczamy, a oni gołe zostali na bezludnej wyspie. Na zakończenie milicja do mamra ich zamkła z powodu braku dowodów osobistych.

A zasadniczo obraz pouczający o tem, że nie należy w dzisiejszem czasie jeździć na urlop tratwą. W razie na wczasach pokaże się brak miejsca, należy zażądać książki zażaleń i poczekać na drugi turnus, a nie bradziażyć się samodzielnie po rzece...

Jakkolwiek objaśnienia powyższe były niezmiernie zajmujące, tak dalece odbiegły od treści i założeń filmu, że odwróciłem się wreszcie i szepnąłem z kolei w ciemność:

- Ależ pan się myli, w tym filmie chodzi zupełnie o co innego.

- A pana szanownego, kto się o to pyta? Przymknij się pan! Czego się pan wtrącasz i obserwacje obrazu publice utrudniasz? - odezwał się w odpowiedzi sznaps-baryton.

- Chuligan kinowy! - zawtórował mu jakiś dźwięczny sopran.

Oczywiście przymknąłem się natychmiast

„Dygnitarz na tratwie”.

Fabularny film radziecki, 1952 r.

Na otwarcie teatru na Żoliborzu zamówiono u mnie monolog Celestyna Śmietanki, który to monolog miał otwierać pierwszy tego teatru program.

Niezwykle bogate w najrozmaitsze ornamentacje wnętrze nowej siedziby sztuki dało panu Śmietance asumpt do zawartych w monologu uwag.

Amfiteatralna widownia z rzędami krzeseł ustawionymi na szerokich pnących się w górę stopniach przypomniła panu Śmietance łaźnię parową. Dwa zakratowane okna, stała ozdoba proscenium, naprowadziły go na domysł, że jest to areoszt tymczasowy. Dla kogo? Zaraz się dowiecie.

Reszta sama się tłumaczy, bez konieczności oglądania tego bardzo oryginalnie zaprojektowanego gmachu.

BECZKA ŚMIECHU

Celestyn Śmietanka wchodzi na scenę nowego teatru na Żoliborzu, zapala papierosa, rozgląda się wokoło:

- Co, niewąski budenek? Z wyjątkiem wejścia do palarni i bufetu na dole, bo te faktycznie wąskie, bardzo wąskie. Pojedynczo trzeba wchodzić. a minąć się... senne marzenie.

Po sąsiedzku tu zamieszkuję, na Słodowcu, totyż Żolibórz mocno na sercu mnie leży, nie mogie powiedzieć. Jak ten budenek tu stawiali, to cały Słodowiec w głowę zachodził, co to będzie. Jedni mówili: magistracki cywilny kościół, drudzy: rzemska łaźnia... trzecie znowuż twierdzili, że Chora Ubezpieczalnia albo towarowy Sedes. Teatru nikt nie przeczuwał, nie wygląda. A jest, troszkie może na siłę; ale jest. A może być w każdej chwili co innego.

Bo cóż tu widziem? Na ścianach aptekarskie kieliszki, z których węże, dranie, leczniczy spirytus pociągają, znaczy się pod aptekie - lakał marzenie. Jak teraz rzuciem okiem wyżej, ujrzem bębenki, bałabajki, tłuczki do kartofli, patelnie, czajniki - jednym słowem, Sedes. I dostać tego nie można, zupełnie jak w Sedesie!

A teraz powiedzmy, wyrzucamy wont te foteliki, rozbieramy się wszyscy do naga, siadamy na półkach, napuszczamy pary do czterdziestu czterech stopni w cieniu. Cóż otrzymujemy? Łącznie mieszaną, damsko-męską. Że taki użytek z tego budunku tyż był w planie, pouczają niebieskie łazienkowe kafelki na ścianach.

Ale dobrze się stało, że nareszcie jest teatr, i to pierwszy, można powiedzieć, teatr naprawdę demokratyczny. Nie ma łóż, parteru, tylko sama jaskółka, czyli galerka. Nikt nikomu nie zazdrości, nikt nikomu nie zasłania. Chociaż najlepiej ma ten, co siedzi na samej górze, w ostatnim rzędzie, bo nikt mu na ucho nie nadepnie.

Tylko nazwa mnie się nie spodoba. Po mojemu ten teatr powinien się nazywać „Beczka śmiechu”. Nie tylko dlatego, że okrągłak, nie tylko dlatego, że dobrze bawią, ale jest jeszcze jedna przyczyna.

Cóż to była beczka śmiechu w lunaparku? Było to elektryczne, obrotowe urządzenie w charakterze przewróconej na bok dużej beczki. Kto dał się naciąć i wszedł do środka, przebierał nogami po suficie i w ogóle niemożliwie niem rzucało. O wiele do beczki dostawała się płeć damska, dostarczała patrzącym dodatkowej rozrywki podglądowej. Galanteryjne tajemnice przestawali istnieć.

Musiem sprawdzić, że dolne miejsca w teatrze, w którym się obecnie znajdujęm zapewniają nam największą pod tem względem widoczność. Beczka śmiechu leży u nasz!

Panowie, zaraz! Proszę mnie wierzyć na słowo i nie oglądać się! Tu nie lunapark! Proszę o spokój, jadziem dalej!

Teraz obecnie musiem zwrócić swoją uwagę na urządzenie, którego nie posiada żaden teatr, nie tylko w kraju, ale i za granicą. - Wskazuje na okratowane okno na proscenium. - Jest to ostatni krzyk techniki teatralnej: areszt miejscowy dla chuliganów! Nie potrzebujęm się już obawiać zabradziazenia spokoju przez tak zwany element. Zdejmujęm rozrabiającego chuligana z sali i do mamra go! W ten deseń my odzyskujemy spokój, nie pozbawiając jednocześnie podupadłej jednostki maralnego wpływu, jaki może czerpać w dalszym ciągu z odgrywanej na scenie sztuki.

Podczas gdy w każdym jednym teatrze w Warszawie czy to na prowincji na scenie jest zwyczajna firanka, na Zaliborzu widziem drzewo wiadomości złego i dobrego. Cóż to było za drzewo, nie potrzebujemy detalicznie objaśniać, bo wszyscy wiemy, że znajdowało się w raj. Rośli na niem rajskie jabłuszka, których pierwszym naszym rodzicom, Adamowi i Ewie, pod groźbą utraty państwowej posady naczelnego derektora tak zwanych „terenów zielonych” nie wolno było ruszać. I otóż pewien facet, któren na te posade lefrektował, za węza się przebrał, wlaźł na drzewo i dalej Adamową bajerował, że jak wtroi rajskie jabłuszko i mężowi da, do wielkiej forsy dojdą. Adamowa dała się uderzyć w kant, urwała jabłko, wsunęła połowę, a resztę mąż wtrząchnął.

Może by się było nie wydało, żeby nie to, że się korzonkiem zakrzusił. Przylecieli na to aniołowie z personalnego, za halc go i wont z pasady z trzydziestego drugiego artykułu.

Na te pamiątkie, że trzeba szanować przepisy służbowe i wystrzegać się najdrobniejszych nawet kradzieży, zwłaszcza w miejscu pracy, mamy teraz to drzewo. Co prawda w raj siedział na niem wąż, a my posiadamy tylko jaszczurki, ale rozchodziło się tu o wykorzystanie tak zwanych odpadów przy budowie sufitu. Tynk na razie odpadał i zrobiło się z niego te parę sztuk drobnicy zeologicznej. Ale za to w raj było tylko jedno takie drzewo, a u nasz są dwa. Na zakończenie musiem jednak przeprowadzić małą samokrytykę. Jest jedno przeoczenie. Kryte balkony od mieszkań, które przeważnie umieszcza się od ulicy, w naszym budunku wypadli przez pomyłkę wewnątrz lokalu. A gdzie indziej jeszcze gorzej bywa. Podobnie w jednym bloku na Muranowie przez niedopatrzenie znaleźli się na ulicy piece od centralnego ogrzewania, czyli tak zwane naukowo „kalafior”. Skutkiem czego na ulicy panuje upał nawet w zimie, a w mieszkaniach lokatorów stale i wciąż zębami dzwonią. Trudno, jesteśmy tylko ludźmi i mylić się możem.

Gdzie się tu tylko nie spojrzeć, cieszy nasze oko odrobiona z gipsu jakaś szczegółą z każdej dziedziny życia. Od świata zwierzęcego, muszelek, czyli skorupiaków poprzez wyroby trekstylne, jak suszące się na ramiączkach ręczniki, zwinięte parasole oraz tak poszukiwane obecnie sznury do bielizny, aż do kurzajek na suficie w korytarzu włącznie. No, wprost ze słownikiem w rękę nie dałoby się znaleźć więcej rzeczowników męskich, żeńskich i nijakich w bogatej polskiej mowie.

Jeżeli o wiele coś się z towarów deficytowych przeoczyło, prosimy żądać w kasie teatru książki zażaleń, to się w miarę możliwości jeszcze przyklei.

„Nareszcie otwarcie” - program składany
Teatr Komedia na Żoliborzu. 1952 r.

Wystawienie w Teatrze Polskim przeróbki scenicznej „Lalki” Prusa odbiło się echem w przemówieniu przewodnika prowadzącego wycieczkę po Warszawie.

Że pomieszał on trochę Prusa z Wokulskim i przypisuje mu prowadzenie sklepu na Krakowskim Przedmieściu oraz nieszczęśliwą miłość do panny Izabeli Łęckiej, w niczym to nie zmniejszyło zainteresowania słuchaczy wzruszonych do głębi romansem „Prusoszczaka”.

FIRMA „LALKA”

Na Krakowskim zatrzymała się grupa turystów. Poustawiali na chodniku walizeczki i otoczyli zwartym kołem przewodnika, który donośnym głosem udzielał im objaśnień.

Przystanąłem, nie dlatego, by było w tym coś niezwykłego. Warszawa jest teraz miastem „turystycznym”, nie gorszym od Rzymu, Aten, Łowicza czy Krakowa... Zafrapowały mnie atoli objaśnienia.

- Jeżeli o wiele rzuciem teraz okiem ciut-ciut na prawo, to cóż my ujrzem? - mówił przewodnik. - Ujrzem na słupie osobę płci żeńskiej w siedzącej pozycji, z arbuzem, czyli też inszą dynią w rękę. „Kto to być może ta kobieta?” - zapytamy się sami siebie. Ale wzruszę tylko ramionami, bo w żaden żywy sposób nie będę się mogli domyślić, że to nie jest żadna kobieta z arbuzem, tylko niejaki Mikołaj Kopernik osobiście i własnoręcznie. A arbuz nie jest arbuzem, tylko globusem, który jest odrobiony z żelaznych giętych flachajz, bo naturalny, czyli dechturowy, długo na deszczu by nie wytrzymał, pomarszczyłby się i wyglądałby jak torba jabłek czy inszych pomidorów. Kto był Mikołaj Kopernik, tego już nie potrzebuję objaśniać, bo każdy pętał w szkolnym wieku nam powie, że w charakterze deryktora PIM-u się zatrudnił, czyli żył z przepowiadania pogody.

Dlaczego w damskiej konfekcji jest tu odrobiony, detalicznie nie wiadomo i stanowi to tak zwaną tajemnicę historyczną.

Teraz, o wiele spojrzem ciut-ciut na lewo, widzę kamienicę dwupiętrową, osiem okien frontu i zapytanie sobie zrobię, dlaczegożeśmy się faktownie na nią spojrzeli.

Bo kamienica jak kamienica i niczem się na oko nie odznacza. A mimo tego stanowi tak zwany zabytek, chociaż jest świeżo od samych fundamentów przez przodowników pracy systemem szybkościowym wybudowana.

W tym świeżo wybudowanym zabytku niejaki Bolesław Prus kilkadziesiąt lat temu nazad prowadził skład zabawek pod firmą „Lalka”. Sztuki o tem odgrywają teraz w Teatrze Polskim.

Otóż ten Prus Bolesław zaczął uderzać do jednej hrabini. To owa hrabina, chociaż była mocno mortusowa, a Prusoszczak miał forsy jak lodu, z miejsca go obcięła. „Skarz mnie Bóg, fi donc, nie wyjdę za prywatne inicjatywe!”

Bolka nagła krew zalewała, celinder sobie kupił, derożkie na godziny wynajął, stale i wciąż po cukierniach i interesach gastronomicznych przesiadywał, hrabiom kolacje stawiał, z księżkami na per ty był, ale to nic nie pomogło. Hrabinia owa, stale i wciąż swoje: „Niech ja skonam, fi donc - nie wyjdę za prywatną inicjatywę!”

I dawaj z hrabiomy do Saskiego Ogrodu na ksiuty uczęszczać.

Bolek za fontanne się chował, widział to i cierpiał na serce.

Rzecz jasna, że w tych waronkach interesu nie mógł jak się należy dopilnować i firma „Lalka” zaczęła podupadać. Subiekci towar pod jesionkami wynosili i na Kiercelaku opylali. Gumowe piszczące lalki, czyli naguski, szmaciaki w krakowskich strojach, wszystko to za pół darmo na lewo można było nabyć.

A tu podatek za podatkiem leci, licytacja licytacje goni. Trzy razy sztuczne plajty urządzał, ale to nic nie pomagało. Gryzł się, mizerniał w oczach i krugom się hrabini oświadczał. A ona na to tylko wciąż, że nie i nie!

Coraz niżej ten Prusoszczak upadał - ryzę papieru kupił i powieść zaczął pisać w czterech tomach. Pod tem tytułem: Lalka. Tam te hrabinie na perłowo zrobił bez sercowe zemste. Sam pod Częstochowe na letniaki wyjechał, ale przedtem u Spiessa kilo kalifloru kupił i siarki kilo. Do walizki wsadził i na letniakach kamień wyszukał, dziure w niem kazał wybić. Pigułę z kalifloru i siarki skutecznił, list skopiował do Urzędu Skarbowego, że życie sobie zmuszony jest odebrać i razem z tem kamieniem w powietrze się wysadził.

Rzecz jasna, że do pucu - wybuch faktycznie był, kamień w kawałki się rozleciał, ale on w ostatniej chwili odskoczył i zza węgła na całą eksplozję kapował.

Potem, już jako nieboszczyk, do Radomia się przeniósł i tam fabrykie cukierków założył pod firmą „B.Pruszkowski i Ska”. Książka była do płaczu i pouczająca, totyż na te pamiątkie w tem danem domu, który tu widziem, tablica się została wmurowana ze streszczeniem całego wypadku.

- No, ale dosyć o tem Prusie - przerwał przewodnik spojrzawszy triumfalnie po słuchaczach - teraz pójdziem troszkie dalej i pokażem państwu szanownemu, co się robi z ulicą Świętokrzyską. Nowa trasa tamtędy poleci, na tle zazdrości.

- Dlaczego na tle zazdrości? - zapytał jeden z wycieczkowiczów.

- Dlatego na tle zazdrości, że inszych inżynierów zazdrość wzięła na tych, co Trasę Wuzet wybudowali i mówią: „My wam pokażem sztukię, ulice Świętokrzyskie, gdzie dawniej starzyne się tylko sprzedawało, w taką trasę zamieniem, że wam oko zbieleje”. Tak jem powiedzieli i już machają.

Ruszyłem z wycieczką w stronę Świętokrzyskiej. Po drodze zagadnąłem przewodnika:

- Bardzo pana przepraszam, pan jest tu z czyjegoś ramienia?

- Z żadnego ramienia, tylko z Powązek jestem. Warszawski rodak z dziada pradziada, samodzielnie Warszawę ludziom pokazuję, bo się kręcą jak w przeręblu i sami nie wiedzą, gdzie się obrócić. Ja jeden wiem, co warto zobaczyć, a teraz tak się buduje, że naprawdę jest co oglądać!

„Lalka”, sztuka według powieści Bolesława Prusa.
Teatr Polski, 1952 r.

Pana Walerego Wątróbkę spotkał wielki zaszczyt - szwagier jego został artystą filmowym. Że była to rola w filmie propagandowym pt. „Szczury”, wyprodukowanym na zlecenie Instytutu Deratyzacyjnego, tym większa zasługa i poświęcenie Piekutoszczaka dla sztuki filmowej i idei odszczurzenia kraju.

ARTYSTA FILMOWY

Szwagier Piekutoszczak niemożebnie honorowy się zrobił. Dwa palce ludziom podaje na „dzień dobry”, przez nos mówi, szelki zaczął nasić, plerezę sobie zapuścił i w ogóle niemożliwy facet.

- Co ci się stało, lebiego niewidymko?! - mówię do niego, bo mnie zgniewał. - Coś tak zważniał?

- Za artystę filmowego się zostałem. Rolę w kinie odgrywam, to muszę się odpowiedzialnie nosić.

Ale jaka ta rola, w jakim filmie, nie chciał mnie powiedzieć, zaznaczył tylko, że jak obraz będzie gotowy, to nas zabierze z Gienią do kina.

I wczoraj, faktycznie, przychodzi szwagier, wyszykowany jak lalka, czarny świąteczny garnitur, pepegi, niciane letnie rękawiczki, dęciak, i nadmienia:

- No, to posuwamy na premierę. Zobaczycie, jakiego artystę posiadacie w rodzinie. Chopin u mnie leży. Fanfan Tulipan u mnie leży. Dymsza także samo, ma się rozumieć, leży!

Przyznam się, że troszkie nasz zagiął, ale nic nie mówimy, tylko walczymy się z niem na te premiere. W sali Dzielnicowej Rady, gdzie kino było urządzone, jako rodzina artysty, usiedliśmy sobie na honorowym miejscu w pierwszym rzędzie i zaczęło się.

Na razie szwagra nie było na prześcieradle, tylko jakieś lasy, pola, skowronki, żyto i zwyczajne szczury. Skikają jedne przez drugiego, ganiają się, a przede wszystkim wtrajają, co podleci. Jakżeśmy się już na nich dosyć napatrzyli, napis się pokazał: „Szczury z terenów uprawnych przenikają do osiedli ludzkich”.

Potem dała się widzieć chałupa, chlew, podwórko, a wszystko niemożebnie zaśmiecone, budenki dziurawe i znowuż do cholery i trochę szczurów. Wyłażą z dziur, pływają po gnojówce, a potem wpadają do sieni i chlup w mleczko w bańce. Pod łóżkiem rąbią jakiś kapeć, w ogrodzie spożywają róże czy insze fluksje, a jakiś większy cwaniak ogryza na surowo kurczaka. Ale szwagra jakoś nie widać. Trącam go koniec końców w kostki i mówię:

- No, Oleś, kiedy ty będziesz?

- Zaraz, za chwileczkie, uważajcie na śmietnik.

No to uważaliśmy, a tu szczurów coraz więcej się pokazuje i to takie nachalne, że po krowach chodzą, kury ganiają, i w ogóle prowadzą się niżej krytyki.

- Uwaga, teraz ja - mówi Piekutoszczak.

I faktycznie, zza śmietnika wyskakuje szwagier z drągiem, a za niem kot. Szczury do nich. Kot chodu. A Gienia w krzyk:

- Wytykaj, Oleś, wytykaj za kotem, bo cię dranie pokaleczą!

- Gieniuchna! - spokojna głowa. Przecież widzisz, że on tu siedzi. Co ty, zza rogatek jesteś czy jak?

Zawstydziła się Gienia i patrzymy dalej, a szwagier, ten na prześcieradle, złapał drąga i rzucił niem w szczurów. Szczury nawiewają, a szwagier znika jak kamfora. Napis głosi: „Jest to nieracjonalny sposób walki ze szczurami”.

Potem dało się nam widzieć jakieś duże miasto. W kanałach znowuż pełno szczurów, rozłażą się po sklepach, wpadają na zakąski do barów i restauracji, roznoszą różne choroby, nawet pożar skuteczniają za pomocą krótkiego spięcia. Ale szwagra nie widać.

- Oleś, kiedy ty się znowuż pakażesz?

- Za godzinę, na drugim przedstawieniu.

- A w tem już nie bierzesz udziału?

- Już nie.

- To cała rola!

- Cała. A co mała?

- Na, owszem, dosyć duża i niebezpieczna. Bohater ekranu jesteś, szkoda mrugać. Przecież te drugie bohaterzy ekranu, twoje koleżki, co z tobą grają, mogliby cię fatalnie pogryźć. Tylko rodzinie nieprzyjemnie, że w tem napisie cię troszkie obcięli: „nieracjonalna walka”. Jednym słowem, balona z drągiem na dobytek kułaka zdaje się z ciebie zrobili?

- Dla dobra sztuki się poświęciłem. Za to w życiu będę tak racjonalnie ze szczurami walczył, jak nasz ten film na końcu poucza. Mianowicie dopilnuje, żeby trucizna w naszym podwórku, jak się należy, w dniu dzisiejszym była rozłożona. Muszę się na szczurach odegrać za te cykorie, którą jako artysta filmowy przez ich przeżyłem!

„Szczury”.

Polski film propagandowy, 1952 r.

Dość oryginalnie wyobraża sobie pan Walery rywalizację między teatrami warszawskimi, wystawiającymi jednocześnie „Mindowe” i „Intrygę i miłość”.

Młodzięcza sztuka Słowackiego „Mindowe” ogromnie mu się podoba. Zachwyca go gra aktorów z piękną Ireną Malkiewicz-Domańską na czele, ale najbardziej imponuje mu ilość nieboszczyków na scenie. Pod tym względem „Intryga i miłość” nie może się z dramatem „Mindowe” mierzyć.

MINDOWIAK GÓRĄ

- Wybrałem się na tak zwane kulturalne rozrywkę do teatru na Marszałkowskie.

W suterynie się ten teatr znajduje, pomieszczenie ma nieduże, ale za to zasuwiają tam sztuki na dwadzieścia cztery fajerki. Całe to przedstawienie na tle współzawodnictwa między teatrami się rozgrywa.

W Polskim Teatrze odstawiają artyści „Intrygie i miłość” i powodzenie mają jak rzadko, to te z Marszałkowskiej powiedzieli:

„Jak my zasuniem sztuki, to wam oko zbieleje.”

„No, na przykład?”

„Macie zatrute śmiertelnie młode pare leżące na podłodze w tej całej «Intrydze i miłości»?..

„Rzecz jasna, że mamy.”

„My tyż, ale u nasz to jest małżeństwo - nie jakieś tam głupie narzeczone. Macie pod stolikiem starsze nieboszczkie z królewskiej rodziny zmarłe na sercowe chorobe?”

„Nie, nie mamy.”

„A my owszem.”

„Ale za to posiadamy uwięzionego ojca staruszka.”

„To ci dopiero! U nasz piętnaście osób samych książąt i królów w mamrze siedzi. Macie piękną wariatkie w białej batystowej nocnej koszuli, z blaszaną, pozłacaną różą w rękę? Macie troje małoletnich dzieci w pień stołowem nożem wyrżniętych przez stryjecznego braciszka? Nie macie! Macie zakonnika od kapucynów z pałaszem pod sutanną? Nie macie! A my mamy dziesięciu takich, nie licząc ośmiu Krzyżaków! Macie chór litewskich dziewic, macie staruszka Lutowera, któren kituje pod drzewem podczas gradobicia?”

„Nie, tego nie mamy”.

„No to leżycie u nas jak neptki!” - powiedzieli na to artyści z Marszałkowskiej i zasunęli sztuki, że faktycznie ciemno w oczach się robi, jak się patrzy, co się tam wyprawia.

Niejaki Mindowe, książę litewski, otrzymuje od Krzyżaków korone królewskie, kosmetyczne skrzynki oraz dywanik przed łóżko. Za to, żeby się dał ochrzcić.

Do pucu niby się zgadza, chociaż grymasi, że korona za letka i nie z dukatawego złota, tylko z dentystycznej trójki. Matka staruszka sztorcuje go za to na czym świat stoi. Koniec końców zamiaruje go otruć. Ale Mindowe nie ma życzenia do parku sztywnych się przenieść. Kieliszek z trucizną mamusi odbiera i trzask niem o ziemię, aż sobie w pierwszym rzędzie publika oczy zasłania, żeby broń Boże nie zostać się pokaleczoną, bo kieliszek jest prawdziwy, szklany. Co dzień jeden taki się tłucze w drobny mak - bogata wystawa, można powiedzieć. Czego tam jeszcze nie ma!

Ten ów Mindowiak jest straszny pies na kobietę i żonę jednego wojskowego, niejaką Aldonę, sobie przygruchał i na siłę z nią mieszka. Aldona chciałaby nawiać, Mindowe rudy i straszny chomąciak bez salonowego wykształcenia, a ona facetka z lepszego domu. Ale trudno się urwać, bo zamieszkuje na trzecim piętrze, a w oknie cholerne kraty. Ciężko faktycznie opisać, co się tam dzieje. Aldona dostaje wariacji, podczas kiedy rudy pojedynkuje się z jej mężem na pałasze przy pomocy pokrywek od garnków restauracyjnych. Jak uderzą jedną pokrywkę o drugą, to taki huk się robi, że tramwaje na ulicy stają. Ale naprawdę mroząca krew w żyłach jest ta chwila, kiedy dziesięciu kapucynów rzuca się na jednego młodziaka, żeby mu bikiniarskie mandoline obciąć za pomocą nożyc do strzyżenia baranów. Młodziak broni się z płaczem i przysięga, że sam skoczy do fryzjera i ładnie da się przystrzyć, ponieważ że się boi, że kapucyni przez nieostrożność mogą mu tymi nożycami razem z włosami uszy poobcinać.

Straszny to jest widok i cała publika drży z przerażenia, co to będzie. Na szczęście wlatą Aldona z jednym starszym Krzyżakiem i do strzyżenia nie dochodzi. Potem już wszystko idzie dobrze. Kolejno jeden drugiego wyrzyna albo truje lemoniadą i pod koniec zostaje przy życiu tylko bufetowa, bileterzy, trzy szatniarki oraz publika, która zadowolniona udaje się do domu. Intryga i miłość leży u Mindowego bezapelacyjnie.

„Mindowe” Juliusza Słowackiego.

Teatr Nowej Warszawy, Warszawa, 1952 r.

OBJEŻDŻALNIA SPOŁECZNA

- Zaczęło się, uważasz pani, od tego, że zęby mnie rozboleli okropnie, no wprost niemożliwie. Od rana nie mogłam się utulić, myślałam, że może mnie przejdzie, ale widzę, że nie i przed siódmą wieczór wyleciałam nieprzytomna z bólu na ulicę, dentysty szukać.

Latam jak wariatka po mieście i od razu na jednym domu widze klapsydrę z napisem: „Ubezpieczalnia Społeczna”. Kupa ludzi się pcha, no to i ja - ma się rozumieć - wchodzę też. W środku ogonek długi, przepisowo, jak w ubezpieczalni powinno być. Ustawiam się za ostatnią osobą, podchodzę do okienka i proszę o numerek. Kazali mnie zapłacić, zdziwiło mnie to troszkie, bo ubezpieczalnia ma prawo bezpłatnej pomocy udzielać, ale myślę sobie: trudno.

Wchodzę, uważasz pani, elegancki duży przedpokój, palto ze mnie ściąga i proszą, żeby się pofatygować dalej. No to się pofatygowałam. Jeszcze większy pokój, no - wprost sala, z krzesłami i pełno ludzi siedzi. Usiadłam i ja i siedzę, czekam, aż mój numerek będą wołać. Koło mnie siedziała jakaś paniusieczka skrzywiona jak po occie siedmiu złodziei, widocznie bardzo cierpiąca. Totyż nachylam się do niej i mówię: „Pani złociutka tyż z zębami, czy może wprost przeciwnie - do ginekologa?” Postawiła na mnie oczy, wzruszyła ramionami, a potem się całkiem odwróciła.

„Ludzie, jak małowiela jem co dokucza, to jak źle wychowane chamy się zachowują” - pomyślałam sobie i tyż się odwróciłam do niej tyłem. No i tak siedziem. Chorych zebrano się tyle, że palca nie było gdzie wsadzić. Cała sala taka była nabita, że woźne odsunęli firanki i zaczęli wpuszczać pacjentów na takie podwyższenie, po schodkach. Najpierw wmeldowało się tam jakieś małżeństwo. Ona, nie można powiedzieć, elegancka sobie kobieta, w czarnej pluszowej sukni, włosy w czarne loki i bardzo wyszczekana.

Mąż, wysoki mężczyzna, zmartwiony i taki więcej cichy, a ona mu spokoju chwili nie dawała. Na cały głos przy ludziach go sztorcuje, zagadki mu zadaje i do wiersza każe odpowiadać. Męczy się chłopina, stara się jak może, a ona krugom niezadowolniona. O wszystko pretensje wnosi, że sparaliżowane schody w Cedecie stoją, że guziki w pralni odrywają, no i w ogóle się znęca.

„No, nareszcie poszli, widocznie do doktora ich zawołali” - myślę sobie. Ledwo znikli, przychodzi jakiś staruszek, nawet, owszem, czyściutki, przyjemny i zaczyna barłóżyć o paleniu tytoniu, o swojej żonie, o córkach, o plackach kartoflanych, potem chciał nam coś sprzedawać.

Od razu się domyśliłam, że staruszek do nerwowego doktora zapisany, czyli że, jak to mówią, „nie wszyscy w domu”. Żal go mnie było i dziwiłam się, że insi ludzie naśmiewają się z niego, zaczem współczucie okazać.

Jak staruszek koniec końców poszedł sobie, pojawił się okazały mężczyzna, w sile wieku, troszkie po bokach szpakowaty, w kolorkach, na oko samo zdrowie, i zaczął czytać swój destament. Myślę sobie, przed zaczęciem leczenia w ubezpieczalni destament sporządził... No, no... Ale nic, słucham. A on czyta, że ma życzenie być ładnie pochowanym z książką zażaleń pod głową - widocznie dyrektor MHD, karaban żeby był w cztery konie, co do trumienki tyż bardzo wymagalny się okazał, nekrologia ma być zamieszczona w „Expressie”, i temuż podobnie.

Już go chciałam pocieszyć, żeby się nie przejmował, że i z ubezpieczalni ludzie z życiem wychodzą... Ale jak widzę, że wszyscy naokoło się śmieją, aż się w krzesłach kładą, a najwięcej ta skrzywiona, dałam spokój. Rumiany nieboszczyk schował destament i poszedł się leczyć.

Patrzeć, wlatą nazad ta wyszczekana w czarnej sukni i znowuż nieszczęśliwego męża za sobą ciągnie. Nagadała, nagadała całą kupę i poszła.

Teraz dopiero zdrętwiałam. Wkracza jakaś blondynka w apaszcze i zaczyna paryskie piosenki z figurami odstawić. „Co to jest - myślę sobie - pieśń masowa w ubezpieczalni?”

- Czekaj, pani Kuszpietowska, to chyba zaszła pomyłka. Pani nie w ubezpieczalni, tylko w tak zwanem teatrze satyryków byłaś.

- A wiesz pani, że ja koniec końców tyż zaczęłam coś takiego podejrzewać.

- No, dobrze, ale jakieś pani ten napis czytała? Przecież tam wyraźnie pisze. „Objeżdźzalnia społeczna” nie „Ubezpieczalnia”.

- Myślałam, moja pani, że znowuż zmienili nazwę, bo jak ta pomoc lekarska się już nie nazywała: i Chora Kasa, i Ubezpieczalnia i Zlep, i różnie. Mogłam się naciąć?

- Mogłaś pani, ale chybaś pani nie żałowała?

- Nie, zwłaszcza że ból zęba mnie przeszedł, jakby ręką odjął.

- Świetnie bawią, co? Chociaż warunki mają ciężkie. Każden za trzech, czterech pracuje. Na przykład ten artysta, co to za cały chór jest zatrudnionem. Na różne głosy piosenki o Nowej Hucie musi śpiewać: i cienko, i grubo, i średnio. Morduje się niemożliwie, ale chłop to musi być - ogień. Z daleka się czuje, prawda? Byłam tydzień temu nazad. Jedno mnie się tylko nie spodobało, że porządku nie ma. Artyści się spóźniają. Niejaka podobnie Kwiatkowska wyguzdrać się nie może i w pierwszej części, w szlafroku, w papilotach, jak rokoko na scenę ją wypychają. Widziałaś pani?

Tłumaczy się, że mąż ma wodę w głowie, a ona sama piecze szarlotki. Ale co to publicznie obchodzi, kaźden płaci za bileta i artystka nie może się pojawiać na scenie jak kociudrap.

Przez całe przedstawienie się ubiera i dopiero pod sam koniec jest nareszcie gotowa, ale faktycznie, jest co zobaczyć: kapelusz, kostium, rękawiczka, parasolka - czysty żurnal, moja pani prawda? Ale mogłaby się prędzej ochajnąć ta cała Kwiatkowska.

„Objeżdźzalnia Społeczna” - program składany „Teatr Satyryków”. Warszawa, 1952 r.

Relację pani Kuszpietowskiej z programu „Objeżdźzalnia Społeczna.”, granego w Teatrze Satyryków przy ulicy Konopnickiej, trzeba uzupełnić następująco:

„Wyszczekana broneta” ze smutnym mężem to Stefania Grodzieńska z Januszem Minkiewiczem, którzy w tym programie prowadzili konferansjerkę. Okazały mężczyzna w kolorach czytający testament, to Jan Brzechwa, recytujący swoje satyryczne wiersze. Przyjemnym staruszkiem „barłożącym” o tytoniu nazywa pani Kuszpietowska niezapomnianego Godika w monologu Czechowa „o szkodliwości palenia”. W blondynce w apaszcze odstawiającej paryskie piosenki z figurami, poznać można Lidię Wysocką. Irena Kwiatkowska w pierwszym swoim wyjściu w papilotach interpretowała „Żonę Wacia” Gałczyńskiego, później robiła inne jeszcze numery programu, stąd liczne przebierania się, które pani Kuszpietowska brała za „guzdranie” się przez całe przedstawienie.

Ale grunt, że w sumie widowisko zdobyło jej uznanie i ból zęba minął, „jakby ręką odjął”.

BARANINKA PO KRÓLEWSKU

- Pamiętasz pan, panie Gałązka, żelaznego faceta na kamiennej podmurówce, co na Teatralnym placu do samej wojny figurował?

- Tego podobnież derektora teatru, w niemożliwie sknoconem fraku i z rurą, czyli cylindrem w ręku?

- Derektora, owszem, z cylindrem, owszem, ale dlaczego pan uważasz, że frak miał na fuche zrobiony, tego nie rozumie?

- Chybaś się pan nie przyglądał? Bo ja, jako męski krawiec cechowy, nie mogłem na ten frak bez wstydu w oczach patrzeć. Kamizelka bez sznitu, czyli wycięcia, i za długa. Piersi bez „rybki” i dlatego klapy odstawali, jakby klient bochenek chleba za pazuchą trzymał. Kołnierz odsadzony w tył. Guziki jak spodki. To miała być warszawska robota? Artyste się tak ubiera i na Teatralnym placu stawia, gdzie codziennie wycieczki z prowincji chodzą?

- Licz się pan z tem, że był to niejaki Bogusławski tak zwany ojciec teatru polskiego i za jego życia tak się ludzie nosili.

- Panie szanowny, nie mów mnie pan takich rzeczy. Ojciec nie ojciec - starszy człowiek tyż może się ubrać bez zarzutu. A tak wstyd dla całej Warszawy robił, nie mogłem się na niego patrzeć. Z zamkniętymi oczami przez Teatralny plac przechodziłem, aż koniec końców nieprzyjemność z tego miałem.

- W jakim rodzaju?

- W zwyczajnym rodzaju - nerwy, uważasz pan, raz mnie nie dopisali, wracałem późnym wieczorem ze Starówki po imieninach braciśzka żony i wdrapałem się z jakimś nieznajomym osobnikiem na ten pomnik. Poprawki kredą zaczęliśmy obaj na nim zaznaczać, gdzie kołnierz podnieść, gdzie pachy wciąć, jak kamizelkę skrócić. Nie chciałem sam tego fraka poprawiać, niech Bóg zachowa i broni, rozchodziło się tylko o to, żeby wskazówek rzeźbiarzowi udzielić. I mimo tego zdjęli nas stamtąd.

- Ale dlaczego właściwie nadmienilesz mnie pan o tem pomniku?

- Bo, uważasz mnie pan, sztuki jak raz w teatrze grają o nieboszczyku Bogusławskim. Byłem w niedzielę, znajomy strażak mnie zabrał, żebym się przekonał, jak pożarnictwo dzisiaj stoi, co straż ogniowa potrafi - te sztuki to podobnież brandmajster ochotniczej straży z Zakopanego ułożył, a muszę bezstronnie przyznać, że streszczona na medal, jakbyś pan „Wypisy polskie” czytał.

Przez bite trzy godziny użyra się ten Bogusławski o posadę derektora teatru w Warszawie, zaczem ją nareszcie dostaje.

- No, a ten Bogusławski, z kim się tam tak użyrał?

- Z kim podleci, z derekcją gieneralną, z margrabinią Dewoban, z królem, z narzeczoną nawet, bo o teatrze kaźden się mądrzy.

- To tam i król przedstawia?

- Zwłaszcza. A detalicznie jest to tak zwany król Stasio, stryjo Józia Poniatoszczaka, któren osobiście tyż się raz pokazuje i niewąską mowe w teatralnej chwestii zakłada.

Ale kudy jem wszystkim do Bogusławskiego, wszystkich kolejno w dłuższych przemówieniach zagina i koniec końców państwowe placówki teatralne otwiera.

- No, a frak, jak?

- Co frak?

- Lepiej leży jak na pomniku?

- Co pan z tem frakiem, jak pragnę zdrowia. Nie uważałem nawet, czy dobry, czy zły, bo tam są insze zmartwienia. W pierwszym zaraz akcie rzecz się dzieje, uważasz pan, w gieneralnej derekcji, ma się rozumieć starożytniej, w dawnych czasach. Za prezesa był wtenczas jeden starosta podobnież bywszy fryzjer z Piaseczna, niejaki Ryx, któren swojemu koleźce po fachu, teatr wynajął, pod tem waronkiem, że tylko francuskie baletnice będą na scenie paryskie hopki odstawiać i cała deklamacja wyłącznie parle franse może się odbywać. Rzec jasna, że ten ów koleźka dole z biletów staroście odpalał. Bogusławskiemu cała ta prywatna inicjatywa mocno się nie spodobała i jak tylko mógł napuszczał króla na upaństwowienie teatrów, opery i filharmonii. Ale Ryx za pomocą baletnic królewskie osobe blatował i długi czas nie można było nic mu zrobić.

Tu muszę szanownemu panu zaznaczyć, że król Stasio nie cieszy się u nasz tak zwaną opinią. Po prostu w charakterze króla, mówiąc naukowo, był do kitu. Na prezydenta miasta Warszawy może by obleciał, bo do urbanistyki miał duży glik, ale na głowe koronowane w tamtem ciężkiem czasie niestety za frajer. W ogrodniczem fachu, facet, owszem uzdolniony, czego dowodem, że Łazienki nam założył, które do dziś dnia jak rzadko się nadają dla młodzieży na tak zwane „ksiuty”. A dlaczego? Bo sam król był pod tem względem ogromnie obrotnem.

Na kuchni tyż znał się nadzwyczaj. Lubiał wrąbać coś dobrego i niezależnie stołówkie dla Związku Literatów w Łazienkach założył, gdzie co czwartek Słowaczaki z całej Warszawy na flaki z pulpetamy się schodzili.

A król siadał między niemi i największe porcje przed sobą kazał postawić, a poeciaki do wiersza się między sobą kłócili. Któren najlepiej drugiego wierszamy obciął, parasola z niego zrobił, dostawał dolewki i dodatkową setkę starowinu.

Więc zasuwali te kawałki jeden przez drugiego, ale żaden biskupa Krasickiego nie mógł przegadać. Takie gadki do śmiechu zaiwaniał, że czasem trzy, cztery dodatkowe porcje flaków wygrał.

Totyż zaraz w drugim akcie tej sztuki widziem króla Stasia w damskich białych nylonach i pudrowanej ondulacji, jak menu jadalne, czyli tak zwany jadłospis z kucharzem układa, na czwartkowy obiad.

Po mojemu jest to troszkie może niewłaściwe, bo uwagie publiki rozprasza, zwłaszcza, że w tem budynku, gdzie mieści się teatr, restauracja pierwszej kategorii się znajduje zaraz przez brame.

I kiedy król Stasio staluje u kucharza baraninkie w śmietanie z buraczkamy i o pieczarkach zdaje się nadmienia, cała prawie publika na drzwi wyjściowe się ogląda. Po przedstawieniu panikie w szatni także samo to wywołuje.

Ale uniknąć tego się nie da, bo tu się o historyczne ścisłość rozchodzi. Musi król, jak się należy, obiad zamówić, bo jak nasz historia poucza, nasze poeci znali się mocno na gastronomicznym spożyciu.

Niechby taki krolewski kucharz nazwiskiem Lustró czy tam Tremó, sknocił taki głupi chociaż bigos myśliwski, ładnie by go Mickiewicz Adam wziął na papier w „Panu Tadeuszu”.

Jednem słowem, jest o czem posłuchać w tej sztuce. Jak taka na przykład podstawna, jasna w korone czesana blondynka, bywsza narzeczona Bogusławskiego przyjeżdża go w bajer brać, żeby rzucił teatr i osiadł przy niej na roli w jej majątku ziemskim, a on przeczuwając PGR-y myśli sobie: „Nie, siostró, za klasowego wroga z obszarniczej branży mnie nie zrobisz, wole skromne posiadki państwowe. Milcz, serce, Adje.”

I zasuwa do Łazienek na audyencje w sprawie nominacji. W dłuższem przemówieniu sztorcuje króla z należnem, ma się rozumieć, szaconkiem i w krótkim czasie starosta z Piaseczna leży u niego jak neptek. Nominacje posiada na rękę. I tu właśnie widziałem Łazienki jak żywe.

- W całości mieszczą się na scenie?

- Prawie że. Jest teatr na wyspie, sadzawka, pałac, drzewa, lwy z piaskowca, ruiny, wszystko w komplecie.

- I nie odczuwa się tłoku?

- Może troszkie, pałac z ledwością się mieści w prawem rogu, chociaż liczy tylko pół metra wysokości. W takim Teatrze Polskim całe to królewskie towarzystwo miałyby więcej luzu, ale za to jaka wygoda i oszczędność. Cały pałac Łazienkowski na pół arkusza dykty namalowany.

Przy zmianie dekoracji bierze go się swobodnie pod pachę i wynosi. Ale takie to jest ładne, że na sam widok publika bis bije.

- Muszę się wybrać.

- Zobaczyć te Łazienki?

- Detalicznie rozchodzi mnie się o to, czy Bogusławski „rybki” ma wszyte do fraka.

„Król i aktor”. Sztuka Romana Brandsztetera.
Teatr Kameralny, Warszawa, 1952 r.

Cóż tu dodać do niezwykle szczegółowego komentarza, jakim opatrzył sztukę „Król i aktor” pan Gałązka w rozmowie z przyjacielem.

To jedno chyba, że autora Romana Brandsztetera wziął za „brandmajstra” straży ogniowej, ale tu już sam twórca sztuki winien, że ma, takie mylące nazwisko. Pokrzywdził też nieco pan Gałązka Franciszka Ryxa, kamerdynera królewskiego, starostę piaseczyńskiego i pierwszego antreprenera teatru w Warszawie, nazywając go fryzjerem z Piaseczna. Ale na ogół wywody te zgadzają się z historią pierwszej stołecznej sceny narodowej i przeżyciami jej założyciela i pierwszego dyrektora Wojciecha Bogusławskiego.

Równie wyczerpująco o innej prapremierze polskiej sztuki historycznej mówi pan Piecyk. Znany poeta, laureat nagrody miasta Warszawy, Aleksander Maliszewski, napisał wierszem dramat o życiu swego starszego kolegi po piórze, Jana Kochanowskiego.

Oto wrażenia pana Piecyka z tej barwnej oryginalnej premiery.

A GDZIE ORSZULKA?

- Jakże podobała się panu, panie Teosiu, „Droga do Czarnolasu”? - zapytałem pana Piecyka ujrzawszy go po przedstawieniu w zatłoczonym przedsiönku Teatru Współczesnego.

Owszem, nie można powiedzieć, dosyć pouczająca, ale pod względem historycznym poważnie skopana. Z dużym felerem.

- O czym pan mówi?

- Jak to o czym? A gdzie Orszulka? Zwyczajna, ma się rozumieć, publika się nie połapie, że zachodzi tu wypadek tak zwanego brakoróbstwa, ale my, historycy, znamy rodzinne tragedie Kochanowskiego na wylot. Wiemy, że dziewczynkie lat osiem tragicznie stracił. Także samo na wrywki wierszyk żałobny znamy, którego dziecku po pogrzebie ułożył. Nasz się nie zbajeruje. Totyż jak w pierwszym akcie wychodzi nieduża facetka w pluszowej sukni i staje i wciąż do wiersza mówi, myślę sobie: „Prawidłowo napisana sztuka - jest Orszulka!” Ale jak się pokazuje artysta ze szpicbródką, którego za Kochanowskiego przedstawia, nadmienia, że w kawalerskim stanie się znajduje, zbaraniałem troszkie. Ostatecznie i kawaler może mieć Orszulki, u nasz na Targówku jeden kolejarz miał siedmioro dzieci na kocie łapie, czyli bez ślubu, z maglarką. Ale się pokazuje, że Orszulka to nie Orszulika, tylko Andzia, siostra Kochanowskiego. Faktycznie, zapoznajem przy tej okazji całe rodzinie państwa Kachanowskich: dwóch braci, stryja, wiejskiego bogacza, czyli kułaka, którego niemożliwym draniem się okazuje i pod komisje specjalne dzisiaj by pasował jak ta lala. Bo forszę na lichwiarskie procenta rodzonemu bratankowi pożyczca. Wszystko to prawda, ale że nie ma Orszulki, to feler poważny.

- Nie zgodziłbym się z panem. Sztuka jest świetna, choć obejmuje tylko kawalerski, jak pan mówi, okres życia Jana Kachanowskiego.

- Pan się możesz godzić albo nie, to rzecz obojętna, ale brakoróbstwo jest. Z drugiej znowuż strony, nie da się zaprzeczyć, że miejscamy sztuka faktycznie świetna. To mnie się na przykład spodobało, że Kochanowski już w tamtem czasie za spółdzielnią produkcyjną stronę trzyma. Zakłada właśnie wiejskie spółdzielnie produkcyjne „Czarnolas Numer 1” i razem z braćmy gospodarstwo prowadzi. Ale cóż, stryjo braci napuszcza, że spółdzielni występują i dzielą całe ziemie na części.

Wtenczas Kochanowski zgniewał się niemożliwie i wyjechał do miasta Piotrkowa. Z rozpaczny wpadł w złe towarzystwo i zaczął po nocnych lokalach uczęszczać i troszkie nawet w tak zwany gazomierz uderzać. Wszystko to przez szkolnego koleżkę, niejakiego Patrycego, którego co i raz literek porzeczkowego wina w blaszanem dzbanku mu stawiał, bo butelki nie byli wtenczas w użyciu. Niedużo się należało, a byłby to kalectwem przyplacił, a kto wie, czy i życia nie postradał, jak pijane chuligany bufet przewrócili, lampę stłukli i po ciemku zaczęli się pałaszami naparzać, bo wtenczas pozwoleństwa nie było potrzeba i byle łachudra, kizior tak zwaną białą broń na wierzchu przy sobie nosił i w towarzyskich nieporozumieniach się nią posługiwał. Faktycznie, przykro słuchać, jak co i raz na ten dancing wpada jakiś podgazowany gość i pyta się kielnera:

„Był Kochanowski?”

A ten odpowiada:

„Jeszcze nie, ale tylko go patrzeć, to nasz stały klient, ani jedna rozróbka się bez niego nie obejdzie.”

I rzeczywiście stały stolik w prawym rogu posiada, przy którym się podbawia, a czasem nawet wiersze kopiuje.

Na tem właśnie dancingu zapoznał Kochanowski podstawne blondynkie, córki przedwojennego wojewody, czyli komisarza rządu na miasto stołeczne Warszawa. Ciut-ciut pod muchą oświadcza się jej i zostaje za narzeczonego.

Komisarzówna była to osobistość szemrana, z dużą życiową smykałką, i chciała się przez to narzeczeństwo do artystycznej branży dostać, w Związku Literatów bywać i temuż podobnie, zwłaszcza że sama też była po szkołach kształcona i nawet po łacinie biegle władała. Jej stary zgodził się na to małżeństwo, ale ponieważ z poezji wtenczas nikt nie wyżył, bo ani „Muchy”, ani „Szpilek” jeszcze nie było i wiersze jeden drugiemu ręcznie przepisane odpałał jak teraz przepis na szarlotkę, wyrobił wojewoda przyszłemu zięciowi posadę państwowe.

Przez swoje chody w biurze przepustek na Zamku w Warszawie go umieścił. Myśli sobie: „Dużo tam nie zarobi, ale nie będzie się po gastronomicznych interesach włóczył, a jak posadę wojewody stracę, córka po łacinie włada, w razie czego w aptece może pracować i jakoś koniec z końcem zwiążą. A dobrze jest mieć zięcia, którego w każdym czasie przepustki do króla może wystawić”.

I faktycznie, Kochanowski w biurze prowadził się na medal. Był takim czujnym urzędnikiem, że jak raz jego własna narieczona z jego przyszłym teściem przyszła po przepustki, nie wpuścił jej do króla, widocznie ledykimacji służbowej z fotografią nie posiadała.

„Tatuś, owszem, wejdzie, ale ty tu poczekaasz, kochanie ty moje - narieczona narieczoną, służba służbą.”

Tak samo było z tem teściem. Jak od króla wyszedł i zaczął jego królewskiej mości rodzinę po kątach rozstawiać, bo czegoś mu tam król załatwić nie chciał, Kochanowski w te odzywa się słowa:

„Licz się, tatuś, ze słowamy, szurać to nie tutaj, w biurze przepustek.”

Rozzłościł się na to wojewoda, wyjął pałasz i tak rąbnął w biurko, że kałamarz i kwitariusz z przepustkami przeciął na połowę. A Kochanowski na to:

„Schowaj, ojciec, te blachę, bo w razie czego można dać znać w pewne miejsce i możesz ojciec gorzko żałować. Szkoda taty na odsiadki.”

Tu przerwałem panu Piecykowi tok opowiadania.

- Panie Teosiu, zdaje się, że pan jednak nieco przeinacza fakty i treść sztuki. Kochanowski nie był urzędnikiem biura przepustek, tylko sekretarzem królewskim, a poza tym scena z wojewodą miała głębszy aspekt, chodziło zdaje się o nakłanianie króla do wojny.

- Ja się tam na inspektach nie znam. Faktycznie, zapomniałem nadmienić, że Kochanowski mocno zwalczał wojnę. Już czterysta lat temu wiedział, że porządny człowiek powinien być członkiem Komitetu Obrońców Pokoju, a każdy oprych tylko by krew rozlewał. I patrz pan, byłby się emerytury na tej posadzie doczekał, żeby nie to, że moczymorde Patrycego ze sobą z Piotrkowa do Warszawy przywiózł. Po tem przejściu z wojewodą Patrycy się pokazuje i mówi: „Jasiu, szkoda twoich nerw, może skoczem na jednego do Fukiera”.

Faktycznie Fukier był naprzeciwno, wyskoczyli i jak się Kochanowski wrócił, ledwo usiadł w fotelu, rozmarzyło go i mimowolnie w kimono uderzył.

A w tem czasie siostra jego, ta owa Andzia, przyjechała z Czarnolasu i fatalnie narozrabiała w biurze. Wojewodziankie nastraszyła, żeby nie wychodziła za mąż za Kochanowskiego, bo w Czarnolesie są cholerne myszy, a Jasio raptus trudny w pożyciu i temuż podobnie.

Braciszka napuściła znowuż na narzeczone i w ogólności tak zamieszała, że zaręczyny zostali zerwane, a Kochanowski, jak się obudził, już miał insze narzeczone. Pewne anemiczne panienkie z prowincji, niejake Dorotkie.

Żalować tej komisarzówny nie ma czego, bo zanadto przytomna była na małżonkie dla nieboszczyka Jasia. Ale żeby się z Dorotką nie ożenił, Orszulka by się nie urodziła, potem by nie umarła. Kochanowski wierszuka by nie napisał, a my byśmy pareset lat łzamy przy jego czytaniu się nie zalewali. Napisałby za to coś produkcyjnego.

Cała sztuka do wiersza. I to mnie się troszkie wydaje niejasne. Bo o wiele Kochanowski, Andzia, dwóch braci, a nawet stryjo-wiejski bogacz wierszamy mówią, to jest w porządku, u Kochanowskich to może być rodzinne, ale dlaczego oliwa Patrycy, wojewoda, a zwłaszcza kielner, niejaki Gaska, tak zwaną mową związaną się posługują - musiem to uważać za poważne niedopatrzenie.

- A jaka jest pańska opinia o grze artystów, dekoracjach i inscenizacji?

- Wszystko w deseczkie. Wystawa bogata. Samych jabłek wnoszą na scene ładne pare sztuk, malinowych, oberlandzkich, dwadzieścia osiem złotych kilo.

Stryjo ma nawet chęć opchnąć jedno na scenie, ale sobie przypomniał, że może mieć poważne przykrości ze strony derekacji, i odkłada je na słupek. Co derekacja przepłaciła na jabłkach, odbiła sobie na królu.

- Jak to, przecież król nie ukazuje się na scenie?

- Właśnie, nie robi się kosztów na korone, pereline z białych królików i dodatki krawieckie. Artysta, któren króla odgrywa, nie pokazuje się wcale, siedzi sobie w gaciach za dekoracją i wydatków nie przysparza.

- Ale po co ma siedzieć, po prostu nie ma w sztuce takiej roli.

- Faktycznie po co ma siedzieć, może w innem teatrze w tem czasie przedstawiać. Musiem pochwalić takie oszczędność.

A teraz o wiele się rozchodzi o moralne naukie, jakie z każdej sztuki teatralnej dla mas powinniśmy otrzymywać, to „Droga do Czarnolasu” nasz poucza, że nie należy używać alkoholu na służbie, nawet w najmniejszej ilości, nawet w charakterze wina owocowego.

„Droga do Czarnolasu”.

Sztuka Aleksandra Maliszewskiego.

Teatr Współczesny, Warszawa, 1952 r.

A teraz z szesnastego wieku robimy gwałtowny skok w drugą połowę dwudziestego. Z przepojonego liryzmem czarnolaskiego dworku na trybunę stadionu w Pradze.

A wszystko to z powodu wystawienia w teatrze na Królewskiej czeskiej komedii o romantycznych na pozór perypetiach życiowych sportowego działacza.

4:0 DLA ŻONY

- Pani Balon kochana, chyba przestanę chodzić po tych teatrach, bo już oczy sobie ze wszystkim wypłacę.

- A gdzież pani znowuż była, pani Kuszpietowska złociutka, w którym teatrze?

- Na Królewskiej, w tem wojskowym.

- I takie wzruszające sztuki grają, do płaczu?

- Nadzwyczaj. Jest to, uważasz pan, tragedia małżeńska w trzech aktach o jednym prezesie, którego na sport żonę trajlował, żeby się podbawiać z różnymi zdzirami. Taki, uważasz pani, był cwaniak, że kupował żonie bilet na trybunę, w tłok ją zawsze największy kitował, że kobiecina wyliżać nie mogła, a sam temczasem w restauracji pod tą trybuną, na której ślubna małżonka siedziała na konto wolnej miłości jednego wypłosza w fioletowej sukni w bajer brał.

Pod okiem żony zdradę małżeńską skutecznie.

- No, żeby to tak było „pod okiem” nie można powiedzieć.

- W każdym bądź razie łajdak, nie mąż tak robi.

- No a ona co? Nie mogła się połapać, co się święci?

- Niby coś tam podejrzewała, ale zawsze się jakoś sianem wykręcił. Jak pierwszy raz wyrwała się z trybuny i przysła do tej restauracji i nakryła go z tą fioletową, wytłomaczył jej, że to narzeczona koleżki. Za drugim razem przytraciła go z sześcioro sportówkami na miłosnym flircie - to ją wykołował, że w piłce młodzież uczy podgrywać - tyż mu uwierzyła. Ale jak trzeci raz zachodzi do knajpy pod trybunę i widzi, że wypłosz w fiołkowej kiece za szyję go trzyma, a on portfel wyjma i trzy tysiące tej cholery daje, wyszła z nerw i w mordę go, moja pani.

- No i rzecz jasna zabrała go do domu?

- Każda by tak zrobiła - i ja, i pani - a ona, uważasz pani, nie. Zostawia tego ancymonka, a sama wychodzi, nawet parasolki na niem nie połamała, chociaż miała przy sobie.

- Oszczędnościowa kobieta, gdzie dzisiaj dostanie ładną parasolkę, a oprócz tego, moja pani, jak chłop łajdus się trafi, i pogrzebacz mu nie pomoże.

- No tak jest, ale nerwy mają swoje miejsce.

- I jak wyszła, to już cała sztuka się skończyła?

- Ale gdzie tam, moja pani. Czego tam jeszcze nie ma. Oprócz tych sportówek jest jedenastu młodych chłopaków w desusach, jest bufetowy, którego w restauracji pod trybunami siedzi i piwo nalewa. Żeby tam nie wiem co się działo, żeby nasi cztery do zera zagranicznym wleli, on bufetu nie rzuci.

- I goście nie czekają na piwo?

- On czeka na gości.

- To niezyciowe, nie ma takich kielnerów ani takich bufetowych.

- Co pani chcesz, teatr ma swoje prawa. Ale poza tem jednym wszystko jest jak żywe. Artyści ładnie grają, mecz taki jest odstawiony, jakby tam za firanką dwadzieścia tysięcy ludzi naprawdę siedziało.

- No dobrze, ale powiedz mnie pani, czego się pani tak spłakała?

- W sprawie prywatnej! Mój stary już dwadzieścia lat co niedziela na mecze uczęszcza. Mam podejrzliwość, czy się czasem taka fioletowa zgaga za tem sportem nie kryje.

- No, to nie ma pani czego żałować, że się pani tak spłakała - pouczająca sztuka.

- Totyż nie żałuję, co się splotałam, to się splotałam, ale się mecze dla niego skończyli. Ze mną będzie chodził. I na trybune mnie nie posadzi, o nie! - On na górę, ja na górę - on do bufetu, ja do bufetu, Prezesowej ze mnie nie wystruga! Jakbym coś podejrzliwego przyuważyła, taki mu mecz urządzą, że cztery do zera dla mnie będzie na pewno.

„4:0 dla ATK”. Sztuka z czeskiego.
Teatr Domu Wojska Polskiego, Warszawa, 1952 r.

Do Warszawy przyjechał sam Gerard Philipe - król ekranu, bożyszcze kobiet całego świata. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje. Tłumy chodziły za nim, kiedy zwiedzał miasto. Jakaś przedsiębiorcza wielbicielka podobno przekupiła: służbę i wdarła się nocą do jego sypialni w Bristolu, skąd jednak grzecznie, ale stanowczo została wyproszona. Philipe był bowiem wzorowym mężem.

Takie to plotki krążyły po Warszawie.

Aktor gościł w naszej stolicy w ramach zespołu paryskiego Theatre Populaire i grał między innymi tytułową rolę w dramacie „Ruy Blas” Wiktora Hugo. Jest to udramatyzowana opowieść o człowieku z nizin społecznych, który z lokaja został premierem i kochankiem królowej Francji. Występy teatru odbywały się w prowizorycznie przystosowanej do tego celu sportowej Hali Gwardii, dawniej targowej Hali Mirowskiej za Żelazną Bramą.

Oczywiście bilety były wykupione na wiele dni naprzód, mimo to plac cały był zamknięty przez kordony milicji, atakowane bez przerwy przez tłumy pół przytomnych warszawianek, żadnych ujrzenia swego ideału „na żywo”. Rozgrywały się dantejskie sceny, łańcuch milicjantów został kilkakrotnie sforsowany i w rezultacie Hala Gwardii pękła od wezbranej fali nadprogramowych widzów.

Ale oddajmy głos naocznemu świadkowi tych wydarzeń panu Królikowi. Jak większość zresztą publiczności nie zna on języka francuskiego, przeto treść dramatu widzi nieco inaczej, niż ją napisał Hugo. Inaczej też tłumaczy sobie obyczaj francuskich aktorów, którzy dziękują publiczności za gorące oklaski na klęczkach.

Ale poza tym było wszystko mniej więcej tak, jak opowiadał pan Królik.

FANFAN „DRYBLAS”

- Jak się pan bawisz, panie Królik?

- A wiesz pan, że parę dni temu nazad miałem rozrywkę umysłowe na duży złoty medal.

- Gdzieś pan był? W cyrku numer dwa?

- W jakim tam cyrku? W Hali Mirowskiej na „Dryblasie”.

- Na kim?

- Sztuka pod takim tytułem była tam odgrywana w języku francuskim. Artyści z Paryża przyjechali do nas - wymiana towarowa za „Mazowsze”.

- No, dobrze, ale skądżeś pan wziął bilet, kupiłeś na ciuchach?

- Nie, zięć za karę w fabryce dostał.

- Jak to za karę?

- No, zwyczajnie, zapisany był na boks Gwardia-Ogniwo, ale posprzeczał się z kulturalno-oświatowem i ten bez zemste bileta mu zamienił. Zięć nie ma cierpliwości do obcych języków i mnie wysłał jako delegata rodziny.



- No dobrze, a pan władasz po francusku?

- Władać, nie władam, ale rozumiałem wszystko detalicznie.

- W jaki sposób?

- Trzeba znać tylko jedno słowo i wystarczy.

- Jakie słowo?

- Perdiu.

- Co to znaczy?

- Perdiu... wysiadka, czyli wszystko stracone.

- Co pan mówisz? I już wszystko jest jasne?

- Jak pana szanuje. Jeżeli masz pan życzenie, mogię panu opowiedzieć całą treść przebiegu.

- No, to wal pan, ale po polsku.

- Początku, uważasz pan, szczególnie nie słyshałem, bo duży szum był w hali, z powodu że wpuścili o parę tysięcy kobiet za dużo. Może nawet nie tyle za dużo, tylko, że miejsca za daleko jem dali. A jest tam, uważasz pan, jeden artysta, któren mocno działa na damskie płeć, niejaki podobnie Fanfan Tulipan.

Każda jedna łyżką by go jadła, ale z powodu silnej obstawy milicyjnej nie mogli się trzymać najbliżej sceny. W tem celu poprzynosili ze sobą z domu składane krzeselka, stołeczki - jakieś dwa kociaki po czterdzieście przytaskali ze sobą wózek dla bliźniaków i w niem lożę sobie uskuteczniłi. Jedna znawuż podstawna, nabita w sobie facetka wykompinowała gdzieś doniczkie i na niej usiadła. Ale najwięcej było na piechote i te, uważasz pan, jak się ciemno zrobiło, przerwali kordon milicji i usiedli przed pierwszym rzędem, po turecku, a było ich ze trzysta sztuk. Reszta siedziała, gdzie mogła. Niech panu wystarczy, że ja na każdym kolanie miałem po blondynce dobrej wagi. Jak na cztery godziny przedstawienia waronki byli uciążliwe, pomimo tego wyszłem oczarowany.

Artyści stroje, uważasz pan, mają takie więcej damskie. Kapelusze z rajeramy, nylony, gorseta, staniczki, tak że zwłaszcza starsi faceci wyglądają w tem dosyć podejrzliwie. Ale jak zaczną grać, jak zaczną się sztorcować nawzajem i familie po kątach sobie rozstawiać, jak to się mówi, w tył aż do Łokietka - warto posłuchać.

Kiedy już wzajemnie nie zostawiają na sobie suchej nitki, stają na samem froncie sceny i rugają publikie. Za co i o co jem się faktycznie rozchodzi, nie wiadomo. Publika patrzy po sobie - kto ma cukierki w żelatynie, chowa żywo do kieszeni, żeby niemy nie szeleścić, ale to nic nie pomaga. A najwięcej się szarpie ten Tulipan. Niech panu wystarczy, że tupał na mnie nogami. Ja tu trzymam te dwie blondynki, kolana mnie ścierpli, że ledwo żyję, krzesło, faktycznie pod namy trzeszczy, ale nie mam wyjścia. A tu facet jest wyraźnie obrażony.

A odgrywa, uważasz pan, za lokaja u jednego francuskiego hrabiego ze szpicbródką. Hrabia - jak to hrabia - jest kawał chalery i jedzie na tem Tulipanie jak na łysem koniu, inaczej na niego nie mówi tyłko: „Dryblas”!

„Dryblas, zamknij okno!” „Dryblas, roztwórz drzwi!” Albo niechący-naumyślnie chustkie upuszcza na ziemie i krzyczy:

„Dryblas, podaj chusteczkie!” Ale to jeszcze nic, gorszą rzecz mu potem wystroił. Kazał mu się przebrać w swoje ciuchy i odstawiać hrabiego Cezarego. Ten Cezary to był oprycha, chuligan i stale na gazie.

- Jak to, hrabia chuligan?

- Tak jest, to był hrabia zbankretowany, ofiara reformy rolnej. Ale nie będziem o tem mówić - sztuka się ciągnie parę godzin. Jednem słowem, Dryblas przebrany za Cezarego zapycha na dwór królewski i naznacza randkie królowej, która jest niewąskim twarzowem kociakiem w koronie.

Królowa przybywa na spotkanie do hotelu. Fanfan już czeka i wtenczas wychodzi zza firanki Szpicbródka.

„Cha! cha! cha! - śmieje się szatańskim głosem. - Cóż my tu widziem? Królowa na ksiutach z mojem fajfendeklem! To nie jest żaden Cezary, tylko moja pomoc domowa, niech ja skonam! Dryblas, otwórz okno!”

Fanfan zgorzał, otwiera okno i nadmienia:

„Perdiu, leżę jak neptek.”

Królowa zła jak wielkie nieszczęście mówi do publiki:

„Perdiu, a to mnie zagiął, wszystko stracone. Wysiadka z tronu.”

Ale Tulipan nie daje za wygrane, wrywa Szpicbródce pałasz z pochwy i zaczyna go ganiać po scenie. Hrabia z okrzykiem „perdiu” chodu do wygodki na prawo. Tulipan za niem i przybija go pałaszem do deski! Ale tego nie widziem, mozem się tylko domyślić po hałasie w ubikacji. Po chwili wylata stamtąd Tulipan, wyjmując flaszczyki i wypija za dwa złote terpentyny francuskiej. Rzecz jasna, że ostatnie jego słowo brzmi:

„Perdiu”.

W tem trakcie słyhać huk na sali, to pęka doniczka pod podstawną szatyną. Robi się ciemno, potem widno. Publika zrywa się z krzeseł. Na ziemi przed sceną kotłowanina - nikt nie może wstać o własnej sile. Artyści klękają przed publiką i przepraszają za sztorcowanie. Publika ze łzami w oczach przebacza i obrzuca Fanfana kwiatami.

To z grubsza byłoby, zdaje się, wszystko.

„Ruy Blas” - dramat Wiktora Hugo.
Występ gościnny aktorów francuskich
z Gerard Philipem na czele, 1953 r.

I oto znowu sztuka „królewska”, a nawet dwie, w jednej recenzji. Tym razem z dziejów ojczystych z jednej epoki. Obydwa utwory jako główną postać historyczną ukazują królową Bonę. Każdy co prawda inaczej, ale obydwu raczej pozytywnie, czego nie może zrozumieć niejaki pan Pociotek, który był kolejno: w Teatrze Polskim na sztuce Hieronima Morstina „Polacy nie gęsi” i w Narodowyrn na historycznym dramacie Haliny Auderskiej, pod tytułem „Rzeczpospolita zapłaci”.

„Otyły facet z prowincji, co do wiersza ma zwyczaj przemawiać”, to sam twórca kierunku narodowego w literaturze polskiej, Mikołaj Rej z Nagłowic, widziany w sztuce Morstina oczami pana Pociotka.

Co wyjaśniewszy zapoznajmy się z szerszą jego opinią o jednej i drugiej premierze.

PLOTKI KRÓLOWEJ BONY

- No patrz pan, panie Gałązka, Bona znowuż szura.

- Jaka bona?

- Jak to jaka? Nie wiesz pan? Królowa Bona.

- Nieboszczka?

- Rzecz jasna.

- Jak nieboszczka może szurać, panie Pociotek? Do kogo ta mowa?

- Nie osobiście, przez makaroniarzy szura.

- Nie rozumie.

- Zaraz pan zrozumiesz. Słyszałeś pan zapewne o tem, że ta owa Bona nie cieszy się u nas opinią?

- Za kago mnie pan bierzesz - synowe otruła.

- Właśnie, arsenikiem na szczury, bo jej się nie spodobała, że syn się z szemraną wdówką, przystojniaczką, niejaką Radziwiłłówną z domu, ożenił. Niezależnie nareszcie w nocy Wawel okradła do suchej nitki i nazad do

Rzemu, skąd rodem była, za lewem paszportem nawiała. Próbowali potem Polacy rzeczy i pościel odebrać, do sądu podali Mussoliniego, ale adwokaci tak całą sprawę zaszczekali, że Mussolini wyparł się w żywy kamień i - kamfora. Tak nasz historia starożytna naucza?

- Kropka w kropkie.

- No i widzisz pan, zaczynają jej teraz alibi wyrabiać.

- W jaki sposób?

- Posłuchaj pan. Parę tygodni temu w tył, poszedłem do teatru na Oboźne na sztuki pod tytułem „Polacy nie gęsi”. Dziwiła mnie nawet ta nazwa, bo wiadomo, że jak ludzie, to nie drób i o czym tu sztuki przedstawiać. Logiki w tem za grosz nie ma. Ale dla rozrywki poszło się. I wiesz pan co, żadnych gęsi nie było, tylko Bona tam i nazad na scenie się kręciła w charakterze ministrami kultury i sztuki.

Jeden otyły facet stale zamieszkały na prowincji, z fachu, zdaje się rejent, którego do wiersza miał zwyczaj przemawiać, założył pierwszy u nas chór „Mazowsze”.

Miał z tem dużo trudności, bo biurokracja niemożliwie mu podgrymaszała, nie to, co dzisiaj, gdzie takie same „Mazowsze” do Chin sobie na wycieczki wyjeżdża.

Zgniewał się koniec końcem, zapakował te swoje „Mazowsze” na furmanki i jazda do królowej rządowe pokazówce uskuteczniać.

Bona posłuchała, popatrzyła i mówi: „Owszem obleci” i kazała upaństwowić cały chór.

W ogóle w niemożliwy sposób kulturę i sztuki popiera i bez cały czas martwi się o nasze Państwo kochane, żeby sprawiedliwość była i silna władza; o mały figiel spółdzielni produkcyjnych nie zakłada.

A o Radziwiłównie i arseniku ani dudu. Byłem troszkę nawet cięty na tych artystów, że nasz tak w bajer bierą na konto Bony. Ale myślę sobie - włoszczyznę nam przywiezła, rosół przyzwoity przez nią mamy, faszerowane włoskie kapuste, bukiet z jarzyn - pies z nią tańczył, niech będzie, że nie otręła.

I zapomniałem, uważasz pan, o wszystkim. Aż tu dwa dni temu nazad znowu dostaje biletu do teatru, ale Narodowego. Sztuka pod tytułem takim więcej finansowem „Rzeczpospolita zapłaci”. Idę. I, uważasz pan, znowu Bona na scenie, ale tą razą jest i Radziwiłówna. No myślę sobie: „Teraz już cię, siostrze, przytracą, arsenik na wierzch wyjdzie jak złoto”.

- I wyszedł, panie Pociotek?

- Gdzie tam, znowu zatrajlowali. O wszystkim się tam mówi, tylko nie o tem. A zaczyna się, uważasz mnie pan, od pogrzebu męża Bony, Zygmonta Starego.

Przed samem wyprowadzeniem tatusia przyjeżdża Zygmunt August w charakterze sierotki. Sierotka co prawda z dużym rudym bokobrodą ala gienierał Kuropatkin, dwa metry wzrostu bez obcasów. Przyjeżdża objąć po ojcu interes i od razu zaczyna się nieporozumienie rodzinne na tle małżeństwa.

Facet na takiej posiadłości w kraju rolniczym ma niemożliwe wzięcie - król francuski chciałby swoje córki za niego wydać, Austriacy też mają jakąś dzierżawę z cesarskiej rodziny, którą by mu chcieli wtrądzić. Bona była za paryżanką, różne ministrowie wzięli, zdaje się, forsy od Franciszka Józefa i na siłę szkopówne z Wiednia Zygmuntowi wmawiają za żonę. A on nic, tylko na tron, który Bona w dolnym kościele dla siebie postawić kazała, się ładuje i takie mowy do nich zakłada: „Na co ten szum? co wy, jak pragnę zdrowia, do mamra za wielożeństwo chcecie mnie wpakować czy jak? Przecież ja dawno jestem po ślubie z Basią i ona będzie za królową”.

Ministrzy zgorzeli coś niecoś, ale mówią: „To to tak, proszę króla? Wiedzieliśmy o tej wdówce, ale byliśmy pewne, że król na kocie łapie, czyli bez ślubu z nią żyje. Faktycznie, warta grzechu, ale czy tak, czy siak - za królowe u nasz nie będzie”.

Bona jeszcze z większym pyskiem wyskoczyła do syna, posunęła się do tego stopnia, że Radziwiłłównę publicznym słowem nazywała.

- Na scenie?

- Na scenie, skarż mnie Bóg.

- No i co, milicja protokołu nie zestawiała?

- Nie, starszy przodownik koło mnie siedział i nawet okiem nie mrugnął.

- A Zygmunt August co na to?

- Obsztorcował mamusie na czym świat stoi, ministrów powyganiał z dolnego kościoła i sam na pagrzeb się udał. A my na papierosa. W drugim akcie Bona dopiero rozrabia na całego. Po mieście Piotrkowie gania z ozorem i antypaństwowe plotki szerzy, że Radziwiłłówna, skutkiem trybu życia, na tak zwane niedyskretne choroby cierpi. To znowuż chuliganów napuszcza, żeby kamienie w gazetę zawinięte bez okna synowej wrzucali. Brukowiec jak koci łeb z takim hałasem przez scenę przelata, że publika w pierwszym rzędzie aż głowy przychyła.

- Faktycznie, w miejscu rozrywkowym łeb mieć kamieniem przecięty dlatego, że się teściowa z synową sprzeczka, to żadna przyjemność i po mojemu takie rzucanie powinno być surowo wzbronione.

- To znowuż się z panem szanownym nie zgodzę. Teatr musi prawdę życiową nam pokazywać i o wiele nawet ktoś za ofiarę na ołtarzu sztuki się zostanie, pretensji wносить nie może. Zresztą dyżurny doktor w dziewiątym rzędzie siedzi, czyli że pomoc lekarska na miejscu.

A Bona w dalszym ciągu, jak to mówią, działa. Szkolnych koleżków na swego syna napuszcza, które przychodzą i mówią:

„Pamiętasz, Gutek, jakżeśmy na Wawelu w berka się ganiłi albo jak się jednego razu berło twojemu staremu pod łóżko schowało, że ani rusz nie mógł rządzić?”

„Pamiętam, pamiętam, draka była niemożliwa.”

„Jak pamiętasz, to zrób to dla mnie i ożeń się z paryżanką posag dostaniesz, po francusku nauczysz się władać i powiem ci, że jak się bliżej przyjrzeć, to nawet niczego sobie kociak.”

„Wole Skarżankie” - odpowiada mu na to Zygmunt August.

- Jakże, panie szanowny, Skarżankie, chyba Radziwiłłówna?

- Tak jest, pokręciło mi się troszkie, ale zresztą na jedno wychodzi, bo Skarżanka to artystka, co za Barbare przedstawia. Ale mniejsza o to, dosyć na tem, że się nie zgadza.

Trzeci akt jest taki więcej nudny, krugom go namawiają na rozwód, a on stale i wciąż nie i nie. I tak do samego końca. A o arszeniku znowuż ani słyhu, ani dychu.

„Tu cię boli - pomyślałem sobie przy wejściu - dlatego ta mowa o miłosnej chorobie, żeby truciznę zabajerować, żeby o forsie i nawianiu z meblamy do Rzemu nie wspomnieć.” Jednym słowem, przeprowadza się alibi: Nikt nikogo nie otruł, nikt nikomu niczego nie wyszabrował, czyli że nic nam się nie należy.

- No dobrze, ale komu może na tem zależeć
- Rzecz jasna - makaroniarzom. Może szykuje się apelacja?
- I dlatego się te Bone po śmierci fatygują?
- Chyba wyłącznie.

„Rzeczpospolita zapłaci”.
Sztuka Haliny Auderskiej.
Teatr Narodowy. Warszawa, 1953 r.

I znowu zabiera głos pan Piecyk zdradzając niewątpliwą znajomość muzyki i tajników sztuki tanecznej.

Że trochę pomieszał świetnego młodego tancerza Witolda Grucę ze znakomitym ortopedą profesorem Grucą, nikomu to chyba nie przeszkadza?

ROMEO I BITTNERÓWNA

- No i jakże, panie Teosiu, podobało się panu nieśmiertelne arcydzieło Szekspira przełożone na język, że tak powiem, taneczny? - zagadnąłem pana Piecyka nazajutrz po jego bytności na wspaniałym balecie „Romeo i Julia”.
- Faktycznie przełożone detalicznie - odrzekł po krótkim namyśle. - Wszystkie tańce zostali użyte: od ludowo-masowych do wirowo-salonowych. Nikt w całej tej rodzinnej tragedii nie porusza się zwyczajnym krokiem, nawet ksiądz przy ślubie balanse skutecznie, nawet stara mamka Julci, kiedy gania z miłosnymi listami od niej do Romea, fokstrotem się posługuje. Toteż o wiele mamy mówić o tem przedstawieniu, musiem podejść fachowo od strony tańców tak narodowych, jak i nowoczesnych:
- Świetnie. No więc, który z fragmentów tego znakomitego baletu zyskał największe pańskie uznanie?
- Wszystkie są w deche! Tak, że zmuszone jesteśmy drobnostkowo przejść wszystko od początku do końca, zaczynając od masowej zabawy na tamtejszem Mariensztacie, gdzie musiem wymienić z zadowoleniem rumbę z pałaszami odtańczoną przez starożytnych chuliganów ze specjalnem uwzględnieniem dwóch starszych facetów w welwetowych damskich sukniach, którzy przy tem upale posługują się mieczami spod Gronwaldu, dwa metry długości każdy. Bardzo ładnie wychodzi również także samo polka galopka staroświeckiej milicji ludowej, która przylata rozbraniać tych chuliganaw.

Te dwa starsze faceci to - jak mozem się łatwo domyślić - ojciec Julci i stary Romea. Mieli oni między sobą, jak wiemy, duże jakieś pierepalki z dziada pradziada i każdego z nich odczuwał do drugiego niemożliwą zadrę.

To, uważasz pan, jak się ta rozróbka na ulicy kończy, widziem w następnem akcie Julcie w koszuli przy gimnastyce porannej, którą skutecznie w towarzystwie swojej starej mamki.

Z tą mamką była też niezła hasena... Na tem balecie żeśmy się dowiedzieli, że to nie żadna mamka, tylko facet płci męskiej, którego, jako z pewnością bezrobotny, zgodził się w swoim czasie do Julci niby też to że świeżem pokarmem i musiał widocznie dziecko z buteleczki podkarmiać, bo się to jakoś nie wydało. W dalszem ciągu już jako starszy mężczyzna w perudze damskiej i ze sztucznem popiersiem, tak jak go widziem na scenie, za emerytowane mamki się przy Julci zatrudniał. Ubierał ją, cwaniak, i rozbierał, i w ogólności się zajmował. A nazywał się Lewandowski.

- Jak to Lewandowski? To niemożliwe!

- Co będziem się sprzeczać, zajrzyj pan do afisza.

- Ale, panie Teosiu, pan wszystko pomieszał. Lewandowski to jest nazwisko tancerza, który zresztą świetnie gra rolę mamki w balecie. Prawdziwa Szekspirowska mamka była z pewnością kobietą.

- Mniejsza z tem. Jadziem dalej. Julcia, chociaż na butelce wychowana, wyrosła na ładne panienkie i ma za mąż wychodzić za wysokiego blondyna... i jest w trzecim akcie z tego powodu wieczorek zaręczynowy u jej rodziców. Na tem wieczorku pokazuje się nieduży, ale twarzowy bronecik, niejaki Gruca.

- Ależ Romeo nazywał się Montechi.



- Gruca przytaskał się z dwoma koleżkami na waleta, czyli bez zaproszenia. Wszystka trzech w czarnych maskach troszkie na gazie. Romeo zaprasza Julcię do walczyka figurowego i tak ją sobie w tańcu przygruchał, że dziewczyna nie chce patrzeć na blondyna, Romeo wesoły, troszkę nawet ,bikiniarz, ale nie zanadto, a blondyn ciepła klucha. Musiałem tu zaznaczyć, że Julcia ma jakieś wrodzone wade, że chodzi i tańczy wyłącznie na wskazujących palcach swoich dolnych końcówek, czyli nóg. „Może to nerwowe, może jej to przejdzie, a jak nie, to się jej zrabie kostne operacje” - myśli sobie Gruca i bierze z nią potajemny ślub u Kapucynów. Ślub także samo bierą tańcząc bluesa. Bittnerówna, ma się rozumieć na paznokciach, a kapucyn tańczy czeczotkie na miejscu. W następnym akcie widziem noc poślubną. Julcia jest za tajne mężatkie. Ponieważ robi się widno, państwo młode tańczą jeszcze krótką karioke i Romeo najeżdża przez balkon na ulice. W tem trakcie wchodzą starzy Julci z tem całym narzeczonem, wysokiem blondynem. Blondyn zaprasza Julcie do angielskiego bostonu. Tańczą. A my patrząc na tego narzeczonego myślę sobie: „Tańcz, lebiego, tańcz, żebyś ty widział, co się tu wyprawiało pół godziny temu nazad, inaczej byś tańczył”. Ale Julcia z domu Bittner ma tego koniec końców dosyć, oddaje narzeczonemu białe czeskie koraliki, zaręczynowy prezent za szesnaście złotych, i zrywa zaręczyny. Narzeczonzy z koralikamy wychodzi tańcząc marsza żałobnego.

Stary Julci wpada w sza! i tańczy ze złością wściekłą sambę z przytupem, mamusia kankana, a Julcia na paluszkach spokojnie walczyka w trzecią stronę. Nie uważałem na mamkie, ale zdaje się zasuwa za łóżkiem sztajerka. Julcia leci do parafii, kapucyn wręcza jej jakąś buteleczkie. Nieszczęśliwa mężatka chowa flaszkę, tańczy z zakonnikiem smutne tango salonowe i chodu.

W dalszym ciągu poważniejszych tańców prawie się nie dostrzega za wyjątkiem poleczki pod tytułem „Umarł w butach”. Rozchodzi się o to, że szwagier Julci śmiertelnie skaleczył w pojedynku jednego koleżkę Romea. Ten wyraźnie kituje, a nie przestaje mimo tego tańczyć, oczy mgłą mu zachodzą, a on charlestona na miejscu drobi.

Co było dalej, nie potrzebuje tu nadmieniać, bo wszyscy wiedzą, że Julcia i Romeo popełnili zbiorowe samobójstwo w dolnym kościele.

Na zakończenie wszyscy razem z nieboszczykami rąbią „rrraaa”, czyli kółeczko, a potem panie do środeczka, panowie koszyczek i kłaniają się publicznie, która bije bis pół godziny i wcale nie chce wyjść z teatru.

- Więc, jednym słowem, balet bardzo się podoba.

- A jakżeś pan myślał?!... Szalenie!

Balet „Romeo i Julia”.
Opera Warszawska, 1954 r.

Oryginalna, nowoczesna inscenizacja przeróbki „Emancypantek” pod tytułem „Pensja pani Latter” wprowadziła w błąd panią Balon, która rewelacyjny pomysł z przedstawieniem dekoracji na scenie przy otwartej kurtynie potraktowała jako dowód umysłowej choroby nieszczęsnej przelożonej pensji.

„Solski” ze sztuki grany przez młodego aktora Stanisława Bielińskiego, pokreślił się pani Balon z żyjącym jeszcze wówczas stuletnim mistrzem Ludwikiem Solskim, ale potem wszystko się wyjaśniło.

Jeżeli dodamy, że Rudą Helkę grała pięknie wyglądająca w odpowiedniej koafiturze Aleksandra Śląska, tytuł tej recenzji uznać chyba należy za całkiem uzasadniony.

RUDA HELKA I SOLSKI

- No i jakżeż, kochana pani Balon, podobała się pani ta sztuka w tem Współczesnem Teatrze?

- Szalenie. Dawno się tak nie spłakałam.

- Czy to życiowe, czy ze świata pracy?

- Życiowe, z prawdziwego zdarzenia, które nasz poucza, do czego mogą doprowadzić rodziców rude dzieci.

- Jak to rude dzieci?

- Zwyczajnie. Jedna przelożona pensji żeńskiej w Warszawie, niejaka pani Plater, rude córki posiadała. A wiadomo, że każdy rudzielec fałszywy i samolub. Totyż ta ruda Helka tylko się ubrać lubiała i stale, i wciąż wyciągała od matki pieniądze na krawcową, chociaż wiedziała, że interes naukowy źle idzie, że pensjonarki wpisów nie płacą, że komorne nie zapłacone i temuż podobnie. Z drugiej znowuż strony Kazio z matki krew pił.

- Co za Kazio?

- Braciszek Helki, ancymonek z piekła rodem, chociaż nie rudy, ale też ziółko diabelskie, które w „czarną czerwoną” z hrabią podgrywa i elementa nauczycielkom musi płacić za matrymonialne nadużycie, czyli świadome macierzyństwo.

Toteż doprowadzają Platerową do tego, że z początku w ankołizm wpada i wiśniówkie w figurce Sokratesa przetrzymuje, a później za umysłowe chore wariatki się zostaje.

- Na jakim tle?

- Na tle drzwi.

- To znaczy, jak to?

- Zwyczajnie. Obstałowała Platerowa u stolarza sześć czy siedem par drzwi przenośnych, ciemny mahoń, z futrynamy i kazała ich poustawiać na środku pokoju.

- Na środku?

- Czasem na środku, czasem troszkie z boku, czasem wszystkie od razu, to znowuż tylko dwie pary, zależnie, jaki jej tam nerwowy hops do głowy strzeli.

- Jednym słowem, jak ktoś w tym pokoju chce przejść na przykład od stołu do szafy, musi przez jedne z tych drzwi przechodzić?

- Obowiązkowo. I jeszcze zamykać za sobą.

- To bardzo musi być męczące dla artystów.

- Dla publiki także samo. Bo, uważasz pani, te drzwi przenoszą co pięć minut tam i nazad, i to po ciemku. Widocznie artyści krępują się przy świetle te futryny z miejsca na miejsce targać. I co z tego wychodzi? Co zgaszą światło, to zapalą, pstryk i pstryk. W końcu, w oczach się tak pani mieni, że jak nawet widno na scenie, nic pani prawie nie widzisz. A ledwo się pani do światła przyzwyczaisz, już znowu gaszą. No i hurgot, raban od tego przesuwania futryn niemożliwy. Bo to jedne drzwi wnoszą, drugie wynoszą, w ciemnościach wpadają na siebie. Jednym słowem, Sodoma Gomora. Nic dziwnego, że Platerowa stale i wciąż za głowę się trzyma. Ja sama zmuszona byłam przyjąć w antrakcie kogutka. Ale jedno mnie cieszy, że Solskiego nareszcie widziałam.

- Co pani mówi? To on gra w tej sztuce?

- Wiadomo! I powiem pani, że niespodziankie mnie zrobił, nie wygląda na sto lat. Najwyżej czterdzieści parę można mu dać.

- Nic dziwnego... pomalowany. Ja też, jak się w niedzielę podszykuję i kalotechniki sobie odnowię, nie wyglądam ma swoje lata. Każdy... a pani Balon to inaczej?

- Ale to wprost, moja pani, młody człowiek. W rudej Helce się kocha i ma się z nią żenić. Świata za nią nie widzi.

- Co pani chcesz, rudzielce białe ciało mają i chłop nawet stoletni na taką polecą. W każdym razie mnie to dziwi, bo pisało, że Solski raz jeden miał przedstawiać w Warszawie na jubileuszu. Czy to aby na pewno on?

- Moja pani Kuszpietowska, głuchej pani ze mnie nie rób. Przecież Platerowa stale i wciąż mówi: „Solski przyjechał”. „Jak Helcia wyjdzie za Solskiego, pożyczę od niego dziesięć tysięcy rubli”.

- Zaraz, czekaj pani, to widocznie w tej sztuce ktoś tam gra rolę jakiegoś Solskiego. Ja sama już widziałam na scenie Kuszpietowskie, a nie w mówisz pani chyba we mnie, że to ja byłam. Ten Solski z tem Solskiem nie ma nic wspólnego.

A wiesz pani, może i racja, na Solskiego on mnie się tyż wydawał za powolny. I nie tańczył. Solski podobnież na scenie - ogień, a ten taki więcej flegmatyczny. Przez ten hurgot i przez te gaszenie w głowie mnie się pokręciło.

- Ale z tego wszystkiego widać, że ta sztuka dawniejsza w rublach.

- Teraz przeważnie same takie grają, w złotych jem jakoś nie wychodzi.

- A ja pani powiem, że w rublach grać bezpieczniej.

- Dlaczego bezpieczniej?

- Bo teraz ceny wciąż spadają i całą sztukie krugom od nowa trzeba przerabiać. A w tych dawniejszych wiadomo - idzie mężczyzna do knajpy, bierze dwadzieścia pięć rubli. Na raty - pięćdziesiąt rubli, nieślubne dziecko - trzysta rubli. Nie ma to, jak stałe ceny.

„Pensja pani Latter”. Sztuka Jarosława Iwaszkiewicza.

podług „Emancypantek” Prusa.

Teatr Współczesny. Warszawa, 1954 r.

Wielką popularnością cieszyła się w Warszawie belgijska Królowa Matka często odwiedzająca naszą stolicę w związku z konkursami szopenowskimi i innymi wydarzeniami muzycznymi.

Jedną z jej wizyt sprawiła, że pani Gienia Wątrubkowska opuściła Teatr Narodowy na początku pierwszego aktu sztuki Kruczkowskiego „Niemcy”. Według relacji samego pana Wątróbki wyglądało to tak:

NIE MA TAKIEJ KOBIETY

Wybrałem się z Gieniuchną do Narodowego Teatru na wzruszające sztuki z życia rodzinnego zachodnich, ma się rozumieć, szkopów. Ojciec profesor - ciepła klucha, syn - giestapowiec, synowa - giestapówka, mama - kawał cholery na kółkach, bo na nogi nie może chodzić i wózkiem się posługuje. Jednym słowem, rodzinka - w kit ją i na szybę, jak to się mówi. Ale rozrywka duża i pouczająca. A zaczęło się od tego, że jakżeśmy przyszli do tego teatru, zwróciło naszą uwagę, że poważny facet w ciemnym garniturze, z setki eksportowej, taki jakiś ala dyrektor, lata tam i nazad po tak zwanym hallu. Na zegarek patrzy i co i raz na ulicę wygląda. Czem bliżej siódmej było, tem więcej z nerw wychodził, woźnych się o coś pytał, kontrolera zaczepiał i w ogólności ganiał tam i nazad jak kot z pęcherzem. Dziwiło nasz to mocno.

- To nic innego nie jest, Gieniuchna - mówię koniec końców do małżonki - tylko królowa ma tu przyjechać!

- Nie może być...

- Przekonasz się. Zwiedza Warszawę od deski do deski, to i tu przyjdzie.

Bardzo się Gieniuchna ucieszyła, bo nigdy jeszcze nie widziała królowej w wielkości naturalnej, i zdenerwowane w najwyższym stopniu zaczęliśmy latać za tem facetem.

Już było po trzecim dzwonku, kiedy szum się na ulicy zrobił, jakieś samochody zaczęły podjeżdżać. Główne drzwi się otworzyli i ktoś z niemożliwym hukiem wtoczył do teatru dużą cynkową familijną balię.

Gieniuchna krzykła:

- Jest, jest królowa!

- Coś ty, z balią? - mówię do niej.

- A dlaczego nie? Może Cedet zwiedzała i jak raz balie dawali. Nie ma kobiety, żeby nie wzięła. Królowa nie królowa, każda się skusi. A niezależnie jest to osobistość gospodarna, nie czytałeś w prasie, że chociaż w drodze, obiad w Warszawie zrobiła i gości na niego zaprosiła.

- O obiedzie, owszem, czytałem, ale o przepierce nie.

Przestaliśmy się sprzeczać, bo po pierwszej balii pokazała się druga, trzecia i dziesiąta. Jakies świątecznie ubrane osoby ich wtaczali. Niektóre oprócz tego mieli kubły i durszlaki.

- Widocznie i świta królewska się obkupiła w cynkowe naczynia - zaznacza Genia i widzę, że przybladła z zazdrości.

Podlatam do jednego eleganckiego faceta, którego z widłami do teatru przyjechał, i pytam się, czy w Brukselji też tych rzeczy dostać nie można. I on mnie dopiero wyjaśnił, że wycieczka nie jest z Brukseli tylko z Konina. Nie miał czasu dłużej ze mną rozmawiać, bo leciał na salę, ale z widłami go nie wpuścili i musiał zdać do szatni, gdzie rozgrywali się rozzdzierające sceny. Publiczność ani rusz nie chciała się rozstawać ze swoim blaszanym towarem.

- Balie nam poginą, łopaty się pomieszają! - rozpaczali widzowie; ale nie było rady. Powoli wszystko ucichło, światło zgasło i przedstawienie się zaczęło. Tylko Genia gdzieś mnie kamfory dostała. Przepadła - kamień woda. Dopiero podczas ostatniego aktu jakiś hałas się zrobił przy drzwiach, pokazało się, że to Gieniuchna ma życzenie na salę balie wtoczyć.

Nie doszło do tego, musiała zostawić na dole, ale brytfanny nie oddała. Położyła mnie ją na kolanach i mówi:

- Z ledwością zdążyłam do Cedetu przed zamknięciem.

Taką jem litanie wyczytałam, że chociaż ja nie z wycieczki, musieli mnie balie i brytfankie sprzedać. Nie miałbyś sernika na Wielkanoc!

Jak publika potem z tego przedstawienia wychodziła, to taki był raban, brzdęk, szcęk i huk, że konie się na ulicy płoszyli, a przechodnie uciekali na drugie stronę, bo myśleli, że się teatr wali.

„Niemcy” podobali nam się nadzwyczaj. Genia zachwycona. Mówiła, że nigdy jeszcze nie wyniesła ze sztuki tyle korzyści.

„Niemcy” - dramat Leona Kruczkowskiego.
Teatr Narodowy. Warszawa, 1954 r.

„Jam sessions” muzyki jazzowej, przetłumaczone przez pana Walerego Wątróbkę na „muzykę z powidłami”, w Warszawie, jak i na całym świecie działały na młodzież piorunująco.

I u nas bywały koncerty żywo przypominające amerykańskie pierwowzory, gdzie zdejmowanie marynarek i obuwia należało do najlżejszych objawów entuzjazmu.

Pan Walery zdaje się nie podziela zachwyków młodzieży dla tych seansów, choć uznaje pewne płynące z nich korzyści

MUZYKA Z POWIDLAMI

Od niejakiego czasu odbywają się u nas w Warszawie specjalne koncerty dla młodzieży w wieku chuligańskim. Jest to tak zwany jazz, czyli muzyka z powidłami.

Muzyka ta ma mieć podobnie taką własność, że kto ją usłyszy, nie może spokojnie na krzeselku usiedzieć, dryga cały, podskakuje, a potem marynarkie ściąga, w powietrzu nią wiwa i hołubce na miejscu nogami wybija. Jak drugi raz się na te powidła wybierze, przynosi ze sobą ręczny dzwonek i niem macha albo dwie blaszane pokrywki i do taktu w nich tłucze. Najspokojniejszy kamasze zdejmą i zelówką o zelówkie w takt zaiwania.



Namawiał mnie szwagier, żebyśmy poszli oba na ten koncert, ale ja nie miałem zyczenia.

- Chcąc słuchać takiej muzyki - mówię - muszę mieć przed sobą czysty obrusik, śledzika w oliwie, bepszyk tatarski, maselko, pieczywko, „sto gram” i duże jasne z wianuszkim. Pod powidła by mnie zemgliło. To jest muzyka taka więcej restauracyjna.

- Patrz, a te młodziaki całymi godzinami słuchają.

- Widocznie nie na każdego jednakowo działa. Zupełnie jak przed wojną te tango „Ostatnia niedziela” co pod niego w Budapeszcie ludzie zbiorowe samobójstwo całymi rodzinami popełniali. A u nasz w Warszawie się nie przyjęło. Jeden mój znajomy, niejaki Pętelka Zygmus, ze swoim kolegą, Baranem Feliksem, dziesięć razy „Pod Cegielkami” na Chmielnej kazali go sobie grać i nic z tego nie wyszło.

A mieli życzenie koniecznie samobójstwo popełnić, bo przepili harmonie pieniędzy i bojeli się do domu wracać.

„Nie ma, Feluś, innej rady - powiedział Pętelka - tylko musiem kazać zagrać »Ostatnie niedziele«, to jest podobnie takie tango, że chociażbyśmy forsę nie przegazowali, chociażbyśmy po mordzie nie mieli dostać, tyż pod te muzykie życie byśmy sobie odebrali. Apetytu, rozumiesz, Feluś, na trumienkie się nabiera, jak to słyszysz.”

„No to w taki sposób każ, Zygmus, zagrać...”

No, to orkiestra zagrała. Oba samobójcy pili pod każdą zwrotkę osobno i jak muzyka się skończyła, Pętelka pyta się Barana.

„No i jak, Feluś, nabrałeś apetytu?”

„Owszem, na bigosik z pomidorkamy.”

„Ja też, również. Widocznie nieuważnie słuchamy. Niech grają jeszcze raz!”

„A bigos i ćwiartka swoim porządkiem.”

„No ma się rozumieć!”

Orkiestra przegrała te „Ostatnie niedziele” jeszcze trzy razy i tylko taki był rezultat, że rachunek się powiększył o trzydzieści sześć złotych z groszami. Wtenczas nie mieli innego wyjścia, tylko doprowadzić do samobójstwa kielnera i bufetowego. Kazali znowu grać to śmiertelne tango, ale też na próżno. Nikt z obsługi nie tylko się nie powiesił, ale posłali pikolaka po policję, bo Baran i Pętelka już nie mieli pokrycia.

Z tego widać, że czar muzyki nie każdemu jednakowo daje się odczuwać. Co może doprowadzić do łez początkującego chuligana, spokojnemu warszawiakowi nic nie robi. Na te młodzię jednakowoż działa. Największe nawet rozrabiaki tak są podobnie po takim koncercie wyczerpani, że zaczem udać się do śródmieścia chuliganic, idą do domu na spoczynek.

Jak tam jest, tak jest, ale w każdym bądź razie wolę, żeby zdejmowali marynarki z siebie na sali anizeli ze mnie na ulicy jesionkie. I dlatego mówię: Niech żyje muzyka z powidłami!

Tylko się boję, żeby jem się za prędko nie osłuchała, bo za dużo używają!

Koncert muzyki jazzowej.

Warszawa, 1955 r.

Nie pamiętam już, jakie to wysokie odznaczenie dostała „Piątka z ulicy Barskiej” na festiwalu w Cannes. Zdaje się, że była to Srebrna Palma. A może Srebrny Oleander. W każdym razie było z tego powodu dużo radości i dumy w kraju.

Odczuli je też nasi znajomi, bywalcy kin warszawskich pan Piecyk i pan Królik i dali temu wyraz w dwóch następujących felietonach.

Muszę się przyznać, że jeden z nich posłużył mi za pretekst do wytknięcia autorowi książki, z której powstał film, rzeczy drażniącej każdego warszawiaka. Oto bohaterowie „Piątki”, chłopcy z Ochoty, noszą krakowsko-poznańskie imiona Kazek, Józek, Staszek itp.

W Warszawie nikt tak nie mówi, drogi panie Kazku Koźniewski. Poza tym zgadzam się z panem Piecykiem, Królikiem itd., że zarówno książka, jak i film „w deseczki”.

SETKA EKSPORTOWA, CZYLI „WARSZAWA 6 RANO”

- Patrz pan, panie Królik, pyskuje się na polskie filmy, byle łachmyta sobie zęby niemy wyciera, a na „Piątke z ulicy Barskiej” większa wygrana padła podobnie na międzynarodowej loterii kinematograficznej w ciepłych krajach.
- Owszem, paść padła, ale nie w ciepłych krajach, tylko w Cannes.
- A gdzie to jest te całe Cannes?
- We Francji.
- Nie przeszkadza. Palmy rosną tam na skwerkach jak u nas chojaki?
- Rosną.
- No, to dla mnie ciepłe kraje. Zresztą nie o to się rozchodzi, tylko że zagraniczne narody poznali się na naszym artystycznym wyrobie, a tu na miejscu każdy nosem kręci: a to mu nudne, a to artyści knocą, a to, a to sio. A tam się pokazało - towarek prima, setka eksportowa.
- Ja się tam nie dziwię, najlepszy nasz reżyser podobnie go machnął, niejaki Ford.
- Dobry remiecha.
- Gront, że krótko trzymał tych pięciu młodziaków, co te „Piątke” odgrywają. Namęczył się z niemy na próbach, zaczem ich na artystów wy kierował.
- Dostali za swoje, ale wytresowani na blache i nawet pretensji do Forda nie będą wnosili, bo ich na ludzi wyprowadził i kawałek chleba dał im w rękę.
- Dobry reżyser, tylko troszkie raptus.
- O jedno tylko mam żal do niego, że krakowiaka między warszawskich chłopaków wmieszał i jeszcze najważniejszym w całej piątce zrobił.
- O kim pan mówi? Tam. nie ma żadnego krakowiaka.
- Jak to nie ma? A K a z e k? - Przecież on musi być z Krakowa. Jakby był z Warszawy, nazywałby się K a z i e k. Na Ochocie, na Szmulkach czy na Woli nie ma Kazków ani Józków, ani Staszków, ani żadnych tam Zdziśków. Jest Kaziak, Józiek, Stasiak, Zdzisiek Chociaż miasto Kraków uważam i pasjamy lubię, nie może krakowiak za dużego kozaka między warszawiakami odstawiać.
- Kto wie, może zaszła pomyłka z tem imieniem? Zresztą, jak się zwał, tak się zwał, żeby tylko dobrze grał.

- Nie zgodzę się z panem szanownem, każde miasto swoją specjalność posiada, nie można robić bigosu w świętych pańskich.
 - Gront, że w Cannes tego nie zauważyli i nie tylko że jedną z głównych wygranych naszemu filmowi przyznali, ale jeszcze Forda i artystkie, niejaką Śląskie, na bal zaprosili.
 - Na tem balu było podobnie co widzieć. Tak zwane gwiazdy filmowe poprzebierali się za różne mazepy. Jedna przysłała cała na goło z pałaszem w ręku, druga miała kolczyki w charakterze elektrycznych latarek.
 - Ale chyba się nie palili?
 - Owszem, palili się.
 - To niemożliwa rzecz.
 - W jaki sposób niemożliwa?
 - A w taki, że przez cały bal przy ścianie musiałyby stać.
 - Dlaczego?
 - Żeby jej kontakt nie wyleciał.
 - Mogła mieć z tyłu nieduże dynamo.
 - Chyba że tak.
 - Jedna nasza Śląska, gładko czesana blondyna, jak się należy była ubrana w Cepelii. I przez te skromność miała duże powodzenie.
 - Za same skromność mogłaby co najwyżej zostać przyjęta do Związku Zawodowego Uciśnionych Dziewic. Powodzenie miała dlatego, że w tej „Piątce”, jak w każdym zresztą filmie, podgrywa na duży złoty konkursowy medal.
 - Jednym słowem, cieszymy się, że „Piątka” nam się udała i możemy ją uważać za polski „Rzym godzina jedenasta”.
 - Na razie to jest „Warszawa szósta rano”
 - Nie szkodzi, podpędzimy ten zegar.
- „Piątka z ulicy Barskiej”
Polski film fabularny, 1955 r.

NASZA „PIĄTKA” WYGRAŁA

- Słyszałeś pan, panie Piecyk, że nasza „Piątka z ulicy Barskiej” wygrała poważną nagrodę w Cannes?
- W czym takim?
- W Cannes. Miasto tak się nazywa we Francji, gdzie zawody filmowe się odbywali. Z całego świata było tam nawiezione filmów jak siana, a pomimo tego Polska wygrała.

- Co pan powiesz? To przyjemnie posłuchać, ciekawość tylko, jak się takie zawody filmowe odbywają?
- Na wytrzymałość.
- To znaczy jak?
- Zwyczajnie. Jak na meczu bokserskim. Wybiera się oblatanych fachowców na sędziów, zamyka ich się w kinie i puszcza się im obrazy.
- I bez kolejki biletu dostają?
- Nie potrzebują żadnych biletów, darmo wchodzi jeszcze im za to płacą.
- Ile?
- Detalicznie nie wiem, ale pewno ze dwadzieścia złotych dziennie diet otrzymują.
- Dobrze mają takie lebiegi. Nic nie robią, w kinie siedzą i jeszcze diety za to odbierają.
- Posłuchaj pan dalej, to się pan przekonasz, że nie takie to znowuż meczyje, że nie ma im czego tak bardzo znowuż zazdrościć.
- Dlaczego?
- Dlatego, że muszą dziesięć obrazów dziennie obejrzeć, prędzej ich nie wypuszczą.
- To znowuż nic takiego.
- Nie bądź pan taki kozak. Wytrzymałbyś pan po całym dniu pracy oczów na takiej, dajmy na to, „Trudnej miłości”?
- No nie, na tem bym nie wytrzymał. Ale tam się chyba tak nie znęcają.
- I jeszcze gorzej też. Co który naród w filmowej branży nakitosi, może na konkurs przytargać i sędziowie mają prawo wszystko obejrzeć. O litości nie ma mowy. Totyż dwa, trzy najgorsze nawet obrazy sędziowie zupełnie dobrze wytrzymują. Nawet śmichy-chichy robią, różne grandy po ciemku uskuteczniają, jak to w kinie. Ale już pod wieczór zaczyna się tragedia. Kręcą się na krzesłach, jęczą, niektórzy do drzwi się dobijają, niby tyż to za swoją potrzebą, ale zamknięte na mur. Szemrane cwaniaki jaśki ze sobą przynoszą i uderzają w kimono. Trafiają się takie obrazy, że cały sąd konkursowy pod krzesła włązi, żeby się na nich nie patrzeć.
- No dobrze, a jaki film otrzymuje nagrodę?
- Taki, który chociaż jako dziesiąty przed samym fajerantem późnym wieczorem idzie, a żaden z sędziów na niem nie kima, nie błaga, żeby go dobić, żadnego nie trzeba na świeże powietrze wynosić i zimną wodą polewać.
- I na naszej „Piątce” nie było takiego wypadku?
- Skąd? Cała sędziowska ekipa do końca trzymała się dzielnie, bis „Piątce” biła i krzyczała: „Mało”!
- No wiesz pan, że to niemożliwy zaszczyt.
- Rzecz jasna. A przyczynił się przede wszystkim Fordziak.
- Samochód?

- Nie, reżyser. On, uważasz pan, artystów powyuczał, on fotografiste wynajął, któren wszystko pozdejmął na taśme. Nic się tam bez niego nie działo.
- Jak to? To i podczas wycisku na mokro w kanałach też był obecny, kiedy to piątka napała się z wojennym podżegaczem Zenonem, któren trasę W-Z zamieruje w powietrze wysadzić?
- Bezwarunkowo był i przez reżyserskie trąbę całą akcją kierował: „Kaziek, w ucho Zenona! Zenon, nie daj się! Franek, skacz do wody, bo z pensji wytrąć!”
- No, dobrze, a gdzie on tam siedział, przecież cały kanał w wodzie?
- Na kajaku zasuwał razem z fotografistą i aparatem.
- A powiedz mnie pan, jak później milicja wpada, żeby Zenona przytracić - taki niewyraźny obraz się robi, wszystko jak przez bieżące wode widać, dlaczego to?
- Forda z kajakiem wywrócili w wache i aparat poszedł na dno.
- A może to artyści naumyślnie takie drakie wytworzyli? My się męczym w wodzie, walczym... wykąp się i ty, niechcący naumyślnie w kajak kopli i gotowe.
- Niewykluczone, że tak było, zwłaszcza że ta cała piątka, to wesołe młodziaki.
- Najwięcej mnie się spodobało, jak ta narzeczona wyciąga Każka z wody, sztuczne oddychanie mu robi i, uważasz pan, wtenczas w tem kanale kościelny śpiew chóralny się rozlega. Kto to może śpiewać?
- Chór milicji, która na pomoc śpieszy, zresztą, to nieważne kto, chór musi być w tem miejscu, żeby publika wiedziała, że się obraz kończy. Taki jest filmowy przepis. Jak słyhać chór, dęte orkiestre albo „niech żyje!” znaczy, trzeba się zbierać, bo goście na drugi seans pod drzwiami czekają. A sala także samo musi być przewietrzona.
- W każdym razie obraz taki więcej przepiękny. Jeszcześmy, faktycznie, z kolorowych ładniejszego nie mieli.

„Piątka z ulicy Barskiej”
na Festiwalu w Cannes, 1955 r.

Podczas Międzynarodowego Festiwalu Studentów i Młodzieży, odbywającego się w roku 1955 w naszej stolicy, wszystkie prawie teatry warszawskie były oddane do dyspozycji zespołów młodzieżowych z całego świata, toteż zaraz po jego zakończeniu pan Wątróbka stęskniony za polskim słowem scenicznym, rozpoczyna obchód teatrów. W Narodowym, trafia na Szyllerowską tragedię o Marii Stuart.

Aczkolwiek w recenzji, zarówno on, jak i pani Gienia, biorą zdecydowanie stronę nieszczęsnej królowej Szkocji, nie szczędząc ostrych słów władczyni Anglii Elżbiecie, obydwu monarchiniom jednakowo się ta recenzja podobała. Same mi to mówiły.

Oczywiście mam tu na myśli świetne odtwórczynie tych postaci - Irenę Eichler i Irenę Horecką, które rozbawione prosiły mnie o przekazanie państwu Wątróbkom wielu miłych słów. Zrobiłem to.

ODDAJ KORONE!

- No, nareszcie nasze artyści wzięli się troszkie do roboty. W czasie Festiwalu nad Wisłą tylko leżeli i piegi na słońcu sobie przypalali, a różne Murzyni, Indiani i insze faraoni w pocie czoła za nich po naszych teatrach tyrali, masowe tańce i nabożne pieśni rewolucyjne odstawiając.

Ale Festiwal się skończył i trzeba o rozrywkowym planie pomyśleć. Totyż tyle jest teraz ciekawych sztuk w teatrach, że po prostu nie wiadomo, gdzie się najpierw udać, ale że Gienia najlepiej życiowe dramata do płaczu lubi, wybraliśmy się najsampierw do Narodowego na plac Teatralny na tragédie w pięciu aktach pod tytułem Maria Stuart, streszczoną przez obywatela NRD nazwiskiem Fryderyk Szyller.

Jest to więzienny dramat rodzinny z życia angielskiej rodziny panującej. Jak wiadomo, Anglicy do dziś dnia lubią mieć na czele królewską osobę płci damskiej. A o wiele jest w rodzinie parę córek, każda jedna ma życzenie w koronie sobie troszkie pochodzić i na tem tle dochodzi czasem do tak zwanych gorszących zajęć familijnych z sądownym zakończeniem.

Od czego się w danym razie zaczęło, detalicznie nie wiadomo, bo w pierwszym akcie tej sztuki już jedna angielska królowa, ta właśnie Maria Stuart, odbywa odsiadkę w mamrze u swojej ciotecznej siostry, niejkiej Elżbiety, która jej podobnie królewską posadę sprzed nosa sprząta.

I nie dosyć na tem, nie tylko w pace ją trzyma, ale jeszcze niewinny wyrok na nią wydała na gimze, czyli kare śmierci przez ścięcie tasakiem. Tu trzeba objaśnić, że ta Maria Stuart była to ciemna szatynka przy kości, z niemożliwym szczęściem do mężczyzn. Który na nią spojrział - gotów. Nawet w więzieniu przygruchała sobie eleganckiego chłopaka, starszego przodownika straży więziennej, niejkiego Mortimera, który, nakryty później na przenoszeniu grypsów, życie zmuszony był sobie odebrać.

W ten deseń Elżbieta, ruda facetka jak marchewka, bojała się nie tylko o koronę, ale także samo o niejkiego lordziaka Dudleja, który to przytomniak kolejno uderzał do Marii i do Elżbiety, żeby się za wszelką cenę do królewskiej rodziny wkierować.

Nie będę tu opowiadał całej treści przebiegu, bo sztuka się ciągnie trzy godziny. Zaznaczyć tylko muszę, że najładniejszy jest czwarty akt, w którym Elżbieta przybywa do więzienia na widzenie z siostrą.

Maria Stuart w skromnej czarnej sukni z czterdziestki pada przed nią na kolana i błaga o zastosowanie amnestii, a także samo zawieszenie wyroku.

Ale Elżbieta, ubrana w zielone welwetowe salope, ze spacerową koroną ze sztucznych pereł na głowie, kategorycznie się nie zgadza i jeszcze fatalnie przygaduje siostrze, że jakoby nieboszczyka pierwszego swojego męża kazała zgładzić z tego świata i że miała romans z dworską orkiestrą symfoniczną na instrumentach szarpanych, czyli tak zwanym lutnistami. Nadmieniła tyż, że zdaje się, że Maria Stuart ma zmarszczki.

Bolesny to jest widok, jak Maria Stuart, złamana życiem, na kolanach prosi o litość cichutkim głosem. Dopiero jak słyszy o tych zmarszczkach, podrywa się z ziemi, bierze pod boki i taką mniej więcej mowę do królowej Elżbiety zakłada:

„Przede wszystkim, ruda pejo, pilnuj swoich piegów, a nie moich kochanków! Po drugie, podrzutku z nieprawego łaża, pokaż metrykę chrztu, gdzie jak wół jest napisane, że ojciec nieznany, bo wujo Henio z litości cię dopiero później, zołzo, zaadoptował! Po trzecie, masz krzywe kopyta, a po czwarte, oddaj posadę, zgago jedna, coś mnie królewskie władze nachalnie ukradła.”

Cała ta przemowa ładnie do wiersza jej się składała. W tem miejscu moja małżonka, która piętnaście lat się prawuje ze swoją siostrą o dywanową otomanę po rodzicach, nie wytrzymała i krzykła na cały głos:

„Mania, za koronę ją i o ziemię, giestapówkie!”

Ale Maria Stuart rozłożyła ręce i odezwała się w te słowa :

„Trudno, co będzie, to będzie, czeka mnie gimza na szafocie, ale com cholerze powiedziała, tom powiedziała!”
- i zemglona padła na ziemię.

Cały teatr płakał i krzyczał bis.

Co było dalej, czy ruda peja ucięła Marii Stuart głowę, czy też zastosowała zawieszenie, nie będę tu nadmieniał, żeby publicznie zaciekawienia nie odbierać. Bo sztuka pierwszorzędna, chociaż z życia kapitalistycznych wyzyskiwaczy.

„Maria Stuart” Fryderyka Schillera z Ireną Eichlerówną
w roli tytułowej. Teatr Narodowy, 1955 r.

Niejaki Pan Wysmyk funkcjonariusz Pałacu Kultury i Nauki namówił swego przyjaciela na obejrzenie w Teatrze Wojska Polskiego, rezydującym właśnie w Pałacu, arcydzieła Wyspiańskiego pod tytułem „Wesele”.

Przyjaciel poszedł z rodziną i zamiast słów wdzięczności taką oto wygłosił do pana Wysmyka pretensję:

„WESELE”

- Coś mnie pan najlepszego narobił, panie Wysmyk szanowny?

- Z czym?

- Jak to z czym? Żona od trzech dni ze mną nie rozmawia, chłopaka mnie o mały figiel ze szkoły nie wyrzucili...

- No dobrze, ale powiedz pan nareszcie, o co się faktycznie rozchodzi?

- Jeszcze pan nie wie? O te „Wesele”, na któreś mnie pan napuścił, i to z dziećmi.

- I co, zła sztuka?

- Zła czy nie zła to rzecz druga, ale się rozchodzi o zgorzenie młodzieży.

- Co, gdzie? Jakie pan tam masz zgorzenie?

- Jak to gdzie, toś pan chyba nie był?

- Faktycznie, na całości nie byłem, bo jak panu wiadomo, przy windzie pracuję, to tylko wpadam na chwileczkę na salę, jak jestem na dole.

- No to dlategoś pan nie słyszał, jak się artyści wyrażają. Mnie, uważasz pan, nie zajemponowali, bo nie takie wiązanki się słyszało i sam się lubię czasem publicznym słowem posłużyć, ale o dzieci się rozchodzi. I żona także samo nie znosi, bo musisz pan wiedzieć, że z delikatnej rodziny pochodzi. Ojciec damski fryzjer, to panu wystarczy. To, uważasz pan, jak na scenie pierwsze takie słowo powiedzieli, sądziłem, że się przesłyszałem. Patrzę na żonę, ona na mnie i nie wierzę swoim uszom. A tu artyści jak nie rąbną jeszcze lepiej - zbaranieliśmy.

- A detalicznie, jakie to byli słowa?

- Czeka pan, zaraz panu przeczytam, bo Rysiek, mój chłopak, zapamiętał i zaraz w domu zapisał. Pojęty, szczeniak, do złego. Odebrałem mu ten kajet, bo jakby go zaniósł do szkoły, wyrzuciliby go na zbity łeb. Walkie z chuligaństwem się niby prowadzi i takie sztuki się odgrywa, i to gdzie - w Pałacu Kultury i Nauki! Żona mówi, że do gazet warto to podać.

- Przeczytajże pan nareszcie, co to jest takiego!

- O, masz pan...

Ptok ptokowi niejednaki
człek człękowi nie dorówna...
nie polecie orzeł w

już pan wiesz w co. Do rymu.

- No, to znowuż nic ważnego.

- Rzecz jasna, że dla mnie i dla pana nic, ale dzieciak, jak to słyszy w teatrze, to co on będzie mówił w szkole? Ale to jeszcze frajer. Potem, uważasz pan, przyjeżdża konno na wesele ten starszy facet z siwą brodą, co się za wróżkie zatrudnia, i przepowiada przyszłość, jak przed wojną Waclaw Pyffelo, Bednarska 17.

- Aha, ten cały Wernyhora.

- Właśnie. Nawróżył, namieszał, wskoczył na konia i pojechał do cholery. No to wiesz pan, jak się o tem koniu jeden artysta za Krakowiaka przebrany wyraził? Rysiek, ma się rozumieć, zapisał. O, tu pan to masz:

Ogniem piernół, ogniem łysnął,
jak się naraz bez płot cisnął...

- Co pan chcesz - koń jak koń, tylko dlaczego ogniem?

- Nie o to się rozchodzi. Wiadomo, koń zwierzyna domowa, rozumu nie posiadająca, nie zdaje sobie sprawozdania, co i kiedy wypada. Nie tylko w teatrze, ale na pogrzebie może to samo skutecznić.

- Faktycznie, jak żeśmy za okupacji dziadka chowali konnem karabanem drugiej klasy, dwa czarne ogiery przez całą drogę z Karolkowej na Bródno bez przestanku nam to robili. Jeden nie skończył, drugi zaczynał. Karabanista mówił, że to po łubinie.

- I nikt pretensji wnosić nie może, ale po co o tem wspominać w obecności pół tysiąca ludzi, przy dzieciach? W teatrze trzeba się liczyć ze słowami.

Ale to jeszcze nie wszystko. W ostatniem akcie otyły, nieduży Krakowiak powiedział taką rzecz, że żona zabrała dzieci i wyszła.

- I Rysiek nie zapisał?

- Nie znasz go pan, owszem, zapisał.

- No to czytaj pan.

- Chcesz pan, żeby nasz w tramwaju zdjęli, żebyśmy mandat za chuligaństwo w publicznem miejscu zarobili?

- No to wał pan po cichutku, na ucho.

- Jak tak, to słuchaj pan:

Pan se ino serce ziębi
tem myśleniem, sumowaniem,
boby się pan usroł na niem.

No i cóż pan na to?

- Faktycznie, niedelikatnie. Można kogoś grzeczniej w towarzystwie objechać i też zrozumie, nie potrzeba się zaraz wyrażać.

- Tak jest, i to masz pan na każdym kroku. Od chamów, chomątów, orczyków sobie wymyślają, aż się dymi. Jeden na przykład młodzik zgubił czapkę i jakiś tam róg, to z miejsca go się sztorcuje: „Ach, ty chamie, gdzieś ty czapkę z pawiem piórkiem zgubił? Gdzieś, żłobie, róg podział?” Ja nawet nie wiem, czy to jest, uważasz pan, po linii? Co prawda wesele u kulaków się tam przedstawia, ale w każdym bądź razie jest Front Narodowy i

trzeba troszkie delikatniej z ludźmi. To mogło być dobre dwa, trzy lata temu w tył, ale nie teraz, kiedy wszyscy musiem się do planu przyczyniać... I podzegania troszkie mamy w niewłaściwym kierunku... Jednym słowem, po mojemu cała ta sztuka jest nie na czasie.

- No dobrze, a jak pańskim zdaniem artyści odgrywają?

- Dymśza podtrzymuje całe przedstawienie.

- Jaki Dymśza, przecież on tam nie gra!

- Mnie pan będzie mówił? Ja Dodka nie poznaję? Wszystkie jego filmy pamiętam na wrywki, a teraz świeżo na tej „Irenie w domu” byłem. Nikt tak pijanego nie odegra jak on. Wszyscy na tym weselu są mniej więcej na gazie, i pan młody, i teść, i drużbowie, nawet starozakonny gołał gdzieś na boku dwie pejsachówki. Przez co nie bardzo mogłem się połapać, o co faktycznie w tej całej sztuce się rozchodzi. Tylko duchy trzeźwe - chociaż Stańczyk był, zdaje się troszkie podkropiony. Ale Dodek wszystkich załatwił, organistę tam, zdaje się, gra, niejakiego Nosa, to takiego oliwe wytwarza, że myślałem, że się zapłaczę ze śmiechu. Zwłaszcza że wuja Kondraszewskiego mnie przypominał, którego pod alkoholem wyłącznie do wiersza mówi.

- A dekoracja?

- Dekoracja, uważasz pan, mnie się nie spodobała. Uważasz pan - propaganda. Sufitu w tej wiejskiej chałupie nie ma, tylko dziura i nieba widać. Rzecz wiadoma, że za sanacji na wsi zapalka szła na cztery do siedmiu razy, ale sufitu byli. Nie przesadzajmy, dobre jest tylko to, że satyra na tak zwany maraton tańca jest na końcu pokazana. Byli przed wojną takie konkursy taneczne na wytrzymałość. Do piętnastu dni i nocy czasem konkursowe pary te tańce odstawiali. Odpocząć można było tylko pięć minut na godzinę, i dawaj apiac tego samego. Rzecz jasną, że zawodnicy spali na stojąco, ciut-ciut tylko poruszając nogami. Obrzydliwość było na to patrzeć.

Ładnie się to tu bierze pod krytykę. Wszystkie pary tańczą jak we śnie, a słomiany flimon na patyku jem podgrywa i jeszcze sztorcuje: „Tańcz, tańcz, cała szopka!”

To mnie się spodobało.

Ale ze słowami w teatrze liczyć się trzeba.

„Wesele” Stanisława Wyspiańskiego.
Teatr Wojska Polskiego. Warszawa, 1955 r.

Następnie poszła na warsztat Operetka.

Jej wielkie kłopoty repertuarowe i małe lokalowe rozpatruje pan Walery życzliwie i z wielką znajomością rzeczy.

CZERWONE DOMINO

Zgodnie z okólnikiem numer taki to a taki w sprawie walki z nudą, otrzymali nasze teatry dyspense duszpasterską, że mogą już tak zwane operetki odstawiać.

Cóż to jest operetka?

Operetka jest to sztuka teatralna z muzyką ulgową, znaczy się do słuchu, oraz co najgorszym z jednym cesarzem, królem albo księciem i jednym kociakiem ludowym, jak Krysia Leśniczanka, Anina, hoża rybaczka, a w ostatnim już razie uciśniona fordanserka z nocnego lokalu, jak Czardaszka.

Do cesarza jeszcześmy na razie nie doszli, aczkolwiek możemy już oglądać na scenie księcia w tak zwanym miłosnym pitigrilu z przedstawicielką drobnotawarowego obrotu rybami, wyżej wymienioną Aniną.

Wesoła ta sztuka z tańcami odgrywana jest w teatrze na Puławskiej pod tytułem „Noc w Wenecji”, o czym nasz poucza gondola przeciągana przez scenę na kółkach.

Ale o tem potem. Cała chwestia zaczyna się od tego, że w pierwszym akcie widzimy nadwodny wenecki Kiercelak, czyli miejscowe „ciuchy” z kupą handlujących i normalną bazarową ferajną. Od razu zajężdża gondolą Anina-rybaczka z koszem pełnym towaru i z pieśnią masową Józefa Prutkowskiego pod tytułem „Tuti fruti” na ustach, rozprawdza między zgromadzoną wenecką publicznie większą partię śniętych dorszy, miętusów i ulików. Sadyfakcja popatrzeć, jak to idzie. Nie szkodziłoby, żeby dyrekcja naszej Centrali Rybnej pofatygowała się na te pouczające przedstawienie.



Rzecz jasna, że streszczać sztuki tu nie zamierzam, nadmienię tylko krótko, że Anina-rybaczka pozostaje się w związku pozamałżeńskim, czyli - co tu zresztą ukrywać - żyje na kocią łapę z prezesem miejscowego cechu fryzjerów nazwiskiem Karmelek, którego zresztą kilkakrotnie już jej nawiewał przy pomocy wspomnianej wyżej wodnej taksówki. Jest tam jeszcze z ważniejszych osób fabrykant jajecznego makaronu, uderzający do pewnej pomocy domowej, zatrudnionej u przedstawiciela tamtejszej Dzielnicowej Rady Narodowej, radcunio, facet niedzisiejszy, posiada małżonkę w kwiecie wieku, która wpadła w tak zwane oko księciu, właścicielowi całego weneckiego interesu, rybaczka Anina, jak nasz poucza program, była mleczną siostrą radczyni i obydwie razem z facetką do wszystkiego zrobili niemożliwych balonów z księcia i radcunia przy użyciu tak zwanego czerwonego domina, czyli dwóch metrów perkalu bordo. A wszystko to się dzieje w nocy podczas festiwalu w tamtejszym Parku Skaryszewskim. Najwięcej rozrabia mleczna siostra i fryzjer Karmelek.

Wszyscy artyści tańczą, grają, śpiewają w deseczkie, w dykte, można powiedzieć. Niestety, nie mogę tu wymienić całego afisza po sprawiedliwości, weźmiem tylko początek i koniec i zaznaczę: mleczne siostry gra, doskonale podebrana do tej roli, artystka, niejaka Beata Artemska, a gondola posuwa na kółkach pod kierunkiem brygadiera sceny, Kazimierza Kapusty.

Jeżeli więc rozchodzi się o walkę z nudą, operetka walczy, szkoda mrugać, pierwszorzędnie, chociaż ma ciasno. Artystyki podobnie ubierają się w gabinecie dyrektora, balet w buchalterii, a chór w ambulatorium dentystrycznym, skutkiem czego nie wiadomo czasem, czy odbywa się tam próba, czy też usuwanie zapalenia okostnej bez znieczulenia.

Ale gdzie indziej bywa jeszcze gorzej. W kinie „Moskwa” do gabinetu kierownika przechodzi się przez z przeproszeniem, obikację. Alegancko, co prawda, przez damską, ale, bądź co bądź, przechodzić trzeba.

Co na to wyższe sfery miarodajne od kultury, sztuki i kanalizacji?

„Noc w Wenecji”. Operetka.
Teatr Nowy. Warszawa, 1955 r.

CARMEN I KOŁDRA PUCHOWA

Dużo się nieraz dało nam słyszeć o tej operze pod tytułem „Carmen”. Totyż jak w kinie „Roma” na Nowogrodzkiej, troszkie na siłę przerobionem na teatr zaczęli te sztuki przedstawiać wybraliśmy się z małżonką zaraz pierwszego dnia.

Gieni, nie można powiedzieć, na razie bardzo się spodobało. Hiszpańskie „ciuchy”, czyli plac Szembeka w mieście Sewilli, przekupki z cytrynami i pomarańczami wykupionymi w tamtejszych Delikatesach - wszystko jak u nas. Życiowa sztuka, znaczy się. Nawet nie miała pretensji o to, że Carmena odbija narzeczonego, starszego przodownika policji, jednej niedużej, płacziwej facetce, jednocześnie na siłę chce sobie przygruchać samego komisarza, zdaje się, człowieka żonatego. Śmiała się, bis biła i w ogólności była zadowolniona. Dopiero, jak się dowiedziała, że ta cała Carmen to Cyganka - zdechł pies! Odwróciła się i wcale nie chciała się patrzeć.

- Co mnie tam Cyganki obchodzą - mówi - lenie, fletuchy, włóczykije, tylko patrzą, gdzie co ukraść.

- Geniuchna, ty się mylisz, przecież to jest Cyganka pracująca, w fabryce cygar się zatrudnia.

Ale nie chciała mnie słuchać. Rozchodzi się o to, że w dwa lata po naszym ślubie jedna Cyganka przyszła Gieni wróżyć i kordkę puchową nam rąbła. Pomimo tego ja już dawno zapomniałem i bronię Cyganów, jak mogię. A tu się szum robi na scenie, raban, zakłócenie spokoju. Pakazuje się, że Carmen dziabnęła nożem koleżankie w fabryce i zakochana policja zmuszona jest do mamra ją zabrać.

Genia tylko na to czekała. Sztukła mnie łokciem i mówi:

- No, kto miał rację? Dobra cholera ta twoja Carmen, nożem się posługuje. Wszystkie one takie.

- Geniuchna, ty się mylisz - mówię na to. - Przecież nasza Polska Ludowa w Nowej Hucie paręset sztuk Cyganów zatrudniała przy budowli i nie było takiego wypadku.

- No tak, ale kradzieże się zdarzali.

- Nowa Huta nie seminarium duchowne i nie możemy na początek za dużo od ludzi wymagać. W każdym bądź razie Carmen śpiewa jak słowik, kiwnij ręką na kordkę i słuchaj.



Ale gdzie tam, do wszystkiego zaczęła się czepiać. A to jej za gorąco, a to artyści zanadto odkarmione, puciołowate.

- Po mojemu są w sam raz. Podstawne, same w sobie, jak się to mówi, przy kości. Zresztą o wiele nawet mają troszkę nadwagi, to jest propaganda. Rozchodzi się o to, że w operze bywa zagraniczna publika i musiem pokazać, jaką opiekę się nad kulturą i sztuką u nas roztacza. Nasz artysta świadczy o nasz. O naszym odżywianiu. A po drugie Hiszpani są mordziaste, weź chociażby pod uwagę takiego Franka. A w ogóle przestańmy się sprzeczać, bo ludzie zaczynają na nas psykać.

Troszkie się uspokoiła, nawet łzy miała w oczach, jak Don Jose - ten starszy przodownik - przez tę nieszczęśliwą miłość z policji nawiał i za szmukiel się złapał. Gumę do żucia, swetry i suchą kielbasę w tamtejszem Zakopanem przez granicę przerzucał. Nic mu to nie pomogło, bo w krótkim czasie Carmena rzuciła go dla jednego magika, którego w cyrku na krowie czy byku jeździł. Na dobytek w sprzeczce miłosnej, glinoszczak nogami się nakrył, chociaż sam również był chłop nie ułomek. Taki miała temperament.

W ogólności było co widzieć i posłuchać. Wszyscy artyści zasuwali swoje arie jak najlepsze sześciolampowe radio z siódmą prostowniczą. Balet, bogata wystawa, dekoracje takie, że przyroda przy nich wysiada. Toteż publika, jak się to mówi, szalała. Kwiaty wnosili koszami. Jednym słowem, taaakie przedstawienie.

Tylko Gienia wszystko na końcu zepsuła. Kiedy dymisjonowany przodownik w charakterze oberwanego łapciucha z nożem zapasem w państwowym cyrku nr 1 przed położeniem Carmeny zimnym trupem najpiękniejszą arię „Zginiesz, zgago, z mojej ręki” zapylał, moja żona krzyknęła:

- No, zarznij ją pan nareszcie! Pół do jedenastej, bramę nam zamkną!

Co może zrobić jedna puchowa kordła w kopercie ze wstawkamy.

„Carmen”, opera Georges'a Bizeta.

Opera Warszawska, 1957 r.

Wrażenia państwa Wątróbków z opery „Carmen” nie potrzebują w zasadzie żadnych uzupełnień ani wyjaśnień.

Chyba to jedno przydałoby się dodać, że opinia pana Walerego o naszych śpiewakach operowych, że „są zanadto pucółowate”, wywołała wśród nich energiczną akcję odchudzania się.

W kilka miesięcy po ukazaniu się tej recenzji w „Expressie”, spotkałem jedną z naszych primadonn i ledwo ją poznałem - straciła chyba połowę swej ciężkiej wagi. Kiedy gratulowałem jej tej nowej smukłej linii powiedziała:

- To robota pańskiego Wątróbki.

Byłem dumny. Ale niedługo, okazało się bowiem, że artystka bardzo lubi naleśniki z serem i zjada ich na deser spory półmisek. Wróciła wkrótce do dawnej imponującej formy. Tłumaczyła to zresztą nie bez dumy:

- Taki głos musi mieć gdzie siedzieć!

I faktycznie miał.

Ostry kontrast w stosunku do „Carmeny” wystawionej naszej operze w sposób tradycyjny, w naturalistycznych dekoracjach, stanowił spektakl Szekspirowskiej tragedii Romeo i Julia w wykonaniu artystów Teatru Dramatycznego. Nowatorska niezwykła reżyseria i inscenizacja umieszczają akcję na kilku małych obrotowych platformach, wirujących na scenie przy otwartej kurtynie, dała panu Wątróbce powód do nazwania tego wysoce oryginalnego przedstawienia w następujący sposób:

ROMEO I JULIA Z ELEKTRYCZNYM NAPĘDEM

Publika lubi sztuki o miłości i pogrzebach. Totyż nasze teatra przedstawiają nam co i raz tego „Ramea i Julie”. Ale ponieważ że ta dana sztuka odgrywana jest podobnie ładne paret lat, troszkie się już opatrzyła i dlatego za każdym razem trzeba wprowadzać jakieś urozmaicenia.

Tak samo było i tą razą. Zebrali się artyści teatru w Pałacu Kultury i Nauki na naradę produkcyjną i dawaj medytować, co z tem fantem zrobić.

- Może wprowadzić tańce wirowe i narodowe? - mówi jeden.

- Coś ty z choinki się urwał, przecież to już było. Cała sztuka w „Romie” od początku do końca została odtąńczona. Julcia umierała w walczyku w trzecią stronę, nawet kapucyn przy ślubie czeczotkie na miejscu rąbał - obciął go drugi.

- Prawda, wyszło mnie z głowy. No to może radiowem sposobem. Julcia na balkonie marzy do jednego mikrofonu, a Romeo na dole oświadcza się do drugiego.

- Ach że ty, ofiaro utraty pamięci, przecież to także samo było i to tu przez ścianę w Sali Kongresowej. „Express” urządził, Marie Malickie na to specjalnie z miasta Łodzi wypisali.

- Faktycznie, niech ja nic dobrego nie mam, zapomniałem!

- A może na karuzelach! - zaznacza jedna artystka - Romeo i Julia z elektrycznym napędem znaczy się.

- Tego rzeczywiście nie było.

- No to dawaj!

Wynajęli w wesołym miasteczku trzy karuzele, staszczyli do teatru, ustawili na scenie i „pajechali”! Faktycznie, jest co widzieć, jak Romeo po zabójstwie niejakiego Tybalda zapycha w lewo na jednej karuzeli, a staroświeckie gliny na drugiej ganiają go w prawo i w ten deseń nie mogą go przykaraulić.

Nie będę tu streszczał całego przebiegu, bo każdy jako tako po teatrach oblatany warszawiak zna te sztuki na wrywki. Zaznaczę tylko, że z powodu dekoracja również na karuzelach jeździ, musi być tylko częściowa. Na przykład Julcia domu nie posiada, tylko schody i jedne ściany z oknem. Futryny się trzyma i w ten deseń miłosną gadkę do Romea zakłada. Ta balkonowa scena bez balkonu się odbywa, bo na takowem, jakby się karuzela zaczęła kręcić, mgłości dziewczyna magłaby dostać.

W taki sposób noc poślubna nie w domu się odbywa, tylko na świeżym powietrzu. Romeo i Julia, jako państwo młode, na największym placu w mieście Weronie pluszową pałatkę sobie ustawili i naocznie świadome macierzyństwo uskuteczniają. Tamże Julcia po zażyciu trucizny publicznie kituje. Specjalnie wzruszająca jest chwila, jak żałobna rodzina odjeżdża na cmentarz jedną karuzelą, a niejaki Parys, niedoszły małżonek Julci, ze ślubnym orszakiem drugą do domu zasuwa. Na trzeciej kręci się chór miejscowych chuliganów i mała orkiestra dęta. W tym miejscu osoby więcej wrażliwe proszone są o przymknięcie oczów, bo można spaść z krzesła z powodu zawrotu głowy.

Ale wszystko się dobrze kończy, bo chociaż, jak wiadomo, Romeo zażył trucizny, a Julcia dźgła się w popiersie sztyletem, wykurowali się jakoś, bo kiedy zachwycona publika bis jem bije, przychodzą żywe i całe, kłaniają się, dziękują za oklaski i wzięwszy się pod de pache odchodzą w sine dal, a Julcia wyraźnie za pałatką się rozgląda.

Jednym słowem, wszyscy artyści odgrywają na dużą premie. Z czego się okazuje, że i na karuzelach można odstawić „Romea i Julie” ku tak zwanemu ogólnemu zadowoleniu.

„Romeo i Julia”, dramat Williama Szekspira.

Teatr Dramatyczny. Warszawa, 1956 r.

Przyjazd amerykańskiej opery murzyńskiej z arcydziełem Gershwina „Porgy and Bess” zelektryzował Warszawę. Oczywiście wszyscy chcieli być na tym przedstawieniu, pod kasami rozgrywały się dantejskie sceny. Pan Walery zdobył jakoś bilety i był w teatrze z panią Gienią. Naraziło go to na lekki konflikt z małżonką, gdyż za, nadto podobno interesował się samą tylko Bess, zbyt mało uwagi poświęcając reszcie aktorów. Dziwnego zresztą w tym nic nie było, gdyż wykonawczyni roli Bess oprócz wspaniałego głosu, miała również rewelacyjne nogi, z czym się absolutnie nie kryła.

Może to właśnie sprawiło, że pan Wątróbka nie docenił w pełni muzyki Gershwina., a z innych wykonawców zapamiętał tylko jednego aktora, i to dzięki ogromnemu jego wzrostowi. Istotnie był to olbrzym, ale o „sztukowaniu” oczywiście nie było mowy.

MUSZĘ BYĆ NA MURZYNACH

Nieemożebnego dubla dali naszej Warszawie te Murzyni z tą swoją operą. Wszyscy się uparli ich zobaczyć. Nawet tacy, co nigdy w życiu w teatrze nie byli i zasadniczo sztuki dramatyczne, jak to się naukowo mówi, chromają.

A że, jak nasz poucza statystyka, Polaków jest dwadzieścia parę milionów, a miejsc w teatrze na wszystkich przedstawieniach dwanaście tysięcy, zrobiło się troszkie przyciasno. Do wszystkich warszawiaków rodziny z prowincji i z Ziemi Odzyskanych się pazjeżdżali. Nawet babcia Stankiewicz spod Garwolina, która sto trzydzieści sześć lat w dobrym zdrowiu bez teatru przeżyła, tyż podobnież zapowiada swój przyjazd na Murzynów. Co tu więc mówić o Gieni. Pierwszego zaraz dnia, jak przeczytała lekrame w „Expressie”, zaraz mnie zaznaczyła:

- Walerek, muszę być na Murzynach, chociażby po twojem trupie.

I faktycznie, o mały figiel do tego nie doszło. Trzy noce w ogonku pod „Orbisem” spędziłem. Zapalenia oskrzeli się nabawiłem, trzysta złotych w oczko przegrałem, ale koniec końców bileta żem zdobył. I muszę zaznaczyć, że faktycznie warto się było pomęczyć. Murzyni jak żywe, jedne co prawda w odpowiedzialnem czarnem kolorze, drugie dużo bledsze, troszkie jakby się w tej podróży wytarli, ale tyż oblecą.

Ale najwięcej mnie się spodobał jeden sztukowany. Znaczy się z dwóch niedużych Murzynów uskuteczniiony jeden nienaturalnego wzrostu. Robi się to zwyczajnie i po prostu. Mniejszy bierze większego na barana i ubiera ich się obydwóch w jeden garnitur męski specjalnie w tem celu uszyty. Ten mniejszy całkowicie się ukrywa w spodniach razem z głową, tak że widziem popiersie tylko jednego. Faktycznie wytresowane są oba na medal, tak, że publika, zwłaszcza z prowincji, za cholere się na tem nie połapie. Ale nas, warszawiaków, w taki kant nie da się uderzyć bo na festiwalu smoka złożonego z czterech Chińczyków, co przez stół skikał, widzieliśmy.

Jednakowoż nie da się powiedzieć marnego słowa, Murzyn - chociaż składany - gra jak jednostalny. I to jak rozrabia!

Także samo zasługuje na uwage jedna Murzynka, niejaka Bess, która takie sambe zasuwa bez podwiązek, że kankan w „Życiu paryskim” na Puławskiej jest przeciwko niej noworoczna zabawa z Dziadkiem Mrozem dla dzieci w przedszkolu. A że przeważnie po lewej stronie sceny się trzyma, cała publika płci męskiej stale i wciąż w lewo się patrzy.

Ja tam jeszcze najmniej. A mimo tego w drugim akcie Gienia w kostkie mnie kopła i mówi:

- Co się tam stale i wciąż odwracasz. Życiem starszych Murzynów się interesuj pod kapitalistycznym uściskiem. Patrz, jakie nędzy cierpią, jak mieszkają, jak jem tynk ze ścian leci.

- To ja na to trzy noce pod „Orbisem” figurowałem i tyle pieniędzy wydałem, żeby tu obserwować jak tynk ze ścian oblatuje? To, to ja mogię co dzień za darmo na Medeemie albo na Muranowie zobaczyć - odciąłem się żonie, ale już w znacznie cięższych waronkach mogłem podziwiać te wielką sztukie murzyńską z masowemi pieśniami i tańcami figurowemi.

Totyż muszę jakoś to zrobić, żeby za wszelką cenę jeszcze raz ujrzeli moje oczy te całe przedstawienie bez technicznych trudności. Tylko nie wiem, czy zdążę?

Gotowy jestem się poświęcić i do Ameryki za niemy pojechać, tylko się boje, że mnie Gienia nie puści!

„Porgy and Bess”. Opera George'a Gershwina.

Gościnne występy amerykańskiego teatru.

Opera Warszawska, 1956 r.

KORDIAN I CIZIA

Strasznie dawno nie byłem już z panem Piecykiem w teatrze, toteż skwapliwie skorzystałem z jego propozycji wspólnego wybrania się na „Kordiana” do Narodowego. Muszę przyznać, że pan Teos słuchał sztuki z zapartym oddechem. Od czasu do czasu tylko oglądał się za siebie, gromiąc wzrokiem osoby pokaszlujące, których nigdy nie brak na warszawskiej widowni. W przerwach zamienialiśmy tylko krótkie krytyczne uwagi. Omówienie sztuki pozostawiając na koniec.

Istotnie, kiedy znaleźliśmy się w autobusie 125, pan Piecyk rzekł z uznaniem.

- Wiesz pan, że z glikiem, ze smykałką zrobione całe przedstawienie. Nie spodziewałem się tego po „Orbisie”.

- Dlaczego po „Orbisie”?

- Jak to, to pan nie wiesz, że te sztuki wiezie Orbis w charakterze wycieczki do Paryża i dlatego jest wyreżyserowana systemem walizkowym? Cały „Kordian” w paru walizach się panu zmieści. Dekoracje prawie że nieobecne. Takie, dajmy na to, drzewo w pierwszym akcie; trzy arkusze dykty złapane na holcśruby. Rozkręca się, każdy artysta bierze swój arkusz pod pachę i do wagonu. Najgorzej będzie miał car z tronem, ale książę Konstantinow mu pomoże i zatachają jakoś do sypialniaka. Skompinowane wszystko techniczne. Nawet Ojciec Święty nie będzie się musiał w drodze z papugą używać, bo nakręcana. Szkoda każdego słowa, akcja „O” przeprowadzana do samego spodu. Tu gdzie inny mniej oszczędnościowy reżyser wpuszczał paręset artystów w charakterze tłumu do wznoszenia okrzyków, „Orbis” postawił jednego, dwóch. Troszkie więcej popyskują, ale za to Paryż zobaczą, każdy się zgodzi. Zresztą jak nie, to nie. Może derekcja nie wziąć żadnego, bo krzyk na dwa tysiące osób ma nakręcony na płycie. W Paryżu gramofonu pożyczycy i może zasuwać takie „hurra”, że na ulicy będzie słychać.

- No dobrze, a jak pan ocenia sam pomysł pokazania w Paryżu właśnie „Kordiana”? - spytałem.

- Pomysł jest w kichy.

- Pierwszorzędny, bo Francuzi w Paryżu jak raz tyle rozumieją z tej sztuki, co Polacy tu, na miejscu, to znaczy, że nic - wtrącił jakiś wytwornie ubrany przez Centralę Odzieżową szpakowaty pan przysłuchujący się z zainteresowaniem naszej rozmowie.

Pan Piecyk spojrział na niego przeciągle, a potem powiedział:

- Jak będzie w Paryżu, nie wiem, ale tu, u nas na miejscu, nie rozumieć „Kordiana” może tylko ciemniak bez wyższego wykształcenia domowego i szkoły powszechnej.

- Tak? Co pan powiesz? No, w takim razie może mnie pan wytłumaczysz, jak to się stało, że ten cały Kordian w jednym akcie kule w skroń sobie ładuje gdzieś u nas na prowincji, a w drugim już żyje w mieście Londynie, i to nie sam, ale z blond cizią w czerwonej koszuli. Troszkie to jest, jak się to mówi: „zabili go i uciekł”.

Pan Piecyk uśmiechnął się z politowaniem i odrzekł:

- Jeżeli tylko o to się panu rozchodzi, to mozem w dwóch słowach panu szanownemu to wyjaśnić...

- Samobójstwo Kordiana trzeba traktować jako symbol... - usiłowałem wyręczyć pana Teosia, ale nie pozwolił na to i sam zaczął mówić:

- Widziałeś pan szatynę w pluszowej sukni i kapeluszu z rajerami, niejaką Laureę?

- No, rzecz jasna, że widziałem.

- I skompinowałeś pan, że mocno się Kordianem przejmuje?

- No to co?

- No to to, że wyraźnie zamieruje się za niego przejść. A potem od kogo Laura dowiaduje się o samobójstwie popełnionem przez Kordiana?

- Jak to od kogo? Od Grzegorza.

- Którego Kordian w charakterze pomocy domowej zatrudniał.

- Tak jest. Kropka w kropkie.

- A trupa na scenie widziem?

- Nie widziem.

- To znaczy, że co? Znaczy, że samobójstwo - symbol, lipa. Znaczy się, że Grzegorz z Kordianem Laurkie do wiatru wystawiają. Kordian wybiera wolność, na lewe papiery udaje się do Londynu i odmawia powrotu. Jasne?

- No faktycznie, jasne.

- Tam właśnie padływa sobie z tą miejscową blond cizią. Jedno jest przykre, że koniec końców przegrywa w obrazki należące do niej kosztowności i biżuterie. A kiedy ona rozpacza, w bajer ją bierze, że posiada konia z podkowami z dukatowej trójki dentystycznej i że za każdą taką podkowę można zabawę na dwadzieścia cztery fajerki wyprawić w najdroższym interesie. A koń temczasem w ogóle okazuje się nie podkutem. Jednym słowem, co tu obwijać w bawełne, „farmazon”. Z tego widziem, jak emigracja do Londynu demoralizuje naród.

Dalszy ciąg, że po amnestii wraca do kraju, wstępuje do odrodzonego wojska polskiego i cara chce zimnem trupem położyć, przy czym sam dostaje chłopaczyna w czapkę, już pan chyba rozumiesz?

- Tak jest, tylko jeszcze troszkie wydaje mnie się niejasne, co tam robią te diabły i anioły.

- A o odwilży w sztuce pan słyszałeś?

- Proszę...?

- Mniejsza o to. To, uważasz pan, jest tak. Jeszcze niedawno nie pasowało grać w teatrach szopki, a święty Mikołaj był zamrożony. Teraz zelzało, na dowód czego mamy w „Kordianie” paru szatanów i troszkie anielic, co chcą się do Paryża wybrać. Kto wie, może na drugi rok pojedzie już święty Józef z królem Herodem?

„Kordian” Juliusza Słowackiego.
Teatr Nanodowy. Warszawa, 1956 r.

No cóż, troszkę dziwnie wyobrażał sobie pan Piecyk występy Teatru Narodowego w Paryżu. Również zaskakująco tłumaczył fabułę Kordiana swemu nowemu znajomemu. Nie wtrącałem się do tego, gdyż nie podjąłbym się wyłożyć należycie treści Kordiana.

Jednak pewne insynuacje pana Piecyka na temat wyjazdu naszego teatru do stolicy Francji muszę uznać za niewłaściwe. Miałem zamiar wytknąć mu to przy najbliższym spotkaniu, cóż kiedy, pochłonął nas nowy temat.

Pan Walery wraz z małżonką znowu zawitał do operetki na Puławską. Tym razem obejrzał Piękną Helenę w dowcipnej przeróbce Marianowicza i Minkiewicza.

HELENA i ZOOTECHNIK

Gienia od czasu jak się splotała na „Dziadach” w Polskim Teatrze, przepada za Mickiewiczem. Totyz jak uslyszala w radiu, ze na Pulawskiej graja jego sztuki historyczne pod tytulom „Piekna Helena”, kazala mnie zaraz jechać po bileta.

Jest to dramat malzenski w trzech aktach z zycia wyzszych czynownikow państwowych w staroswieckiej Grecji, ze spiewamy i tańcamy. Rozchodzi się o to, ze pewien starszy facet, zatrudniony w charekterze króla, posiadał za żonę twarzową, podstawną blondynkę, która w swoim czasie zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie piękności, czyli ze została się tak zwaną „Miss Grecją”.

Rzecz jasna, ze podsunął się jedana młodziak, również tak samo laureat zgadywanki literackiej w tamtejszej „Zgaduj Zgaduli”, i małzonkie mu kilkakrotnie poderwał.

Ostatecznie wypadek ten nie jest odosobniony. W Warszawie było coś podobnego z facetem, któren wygrał w identycznych okolicznościach telewizor marki „Rubens”. Uciekla z niem do Plocka właścicielka nagrody pocieszenia w tem samym konkursie, a detalicznie flakonu radzieckich perfum „Mak”, osobistość zamężna. Dopiero kiedy telewizor okazał się do kitu, mężatka powróciła do domu.

Jeżeli się rozchodzi o Piekna Helenę, to przygruchał ją sobie podczas manifestacji narodowej niejaki Parysiak, pastuch z sąsiedniego majątku państwowego. Przez delikatność względem nieszczęśliwego króla powinien on się, po mojemu, nazywać w sztuce - zootechnik.

U nas na przykład nie ma pastuchów. Może dlatego tak często brakuje masła w Delikatesach. Nie ma też dozorcego, nie mówiąc już o strózu. Jest zamiast niego „gospodarz domu”. I faktycznie może to i lepsze. Weźmy na przykład pod uwagę taką tabliczkę na drzwiach w podwórzu: „Klucz u gospodarza domu”. O wiele poważniej to wygląda - byle łachudra już nie przyjdzie.



Zootechnik na razie Heleny nie zwrócił, wprost przeciwnie - w obecności męża i sfer rządowych zabiera ją na ksiuty helikopterem. I tak się ta sztuka kończy. Opowiadać, co tam było więcej, nie ma potrzeby, bo i tak wszyscy pójdą. Muszę tylko nadmienić, że artyści jak jeden odgrywają na sto dwa. Pan Witas ubrany był za

króla Menelausa, za Helcie była rozebrana pani Artemska. Publika była niemożebnie bis i obstawiała artystów kwiatami. Na końcu wszyscy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego:

- Mickiewicz, Mickiewicz!...

Ja się patrzę na Gienie, Gienia na mnie i mówię:

- A to ciemniaki, nie wiedzą, że Mickiewicz dawno już nie żyje.

A tu patrzyć, z drugiego rzędu wstaje jakiś wysoki bronet, przeskakuje przez publikę w pierwszym rzędzie i melduje się na scenie...

- Co to za Mickiewicz? - mówi do mnie Gienia. - Chyba nie ten z Krakowskiego?

- To musi być wnuczek tamtego.

- I też do wiersza układa?

- Widocznie to u nich rodzinne.

Dopiero przy wejściu ktoś mnie objaśnił, że to nie Mickiewicz, tylko Minkiewicz, ale faktycznie wnuczek tamtego. Tylko literę sobie zmienił w środku za czasów jednostki, bo wtenczas mieć dziadka, któren przeważnie za granicą przebywał, nie należało do przyjemności.

Ten wnuczek był piśmienny, specjalista od pięknych mężatek, rzecz jasna w druku. Już niejedną obrobił tak, że było co poczytać. On właśnie wziął w swoje ręce „Piękną Helenę” i wytworzył z niej te pouczającą sztukie.

A teraz o czym ona nas poucza? Poucza o tym, że o wiele znajduję się w tak zwanej sile wieku, nie mogę się narywać na opatentowane piękności. Wszystko jedno, czy to będzie Miss Grecja, czy Miss Góra Kalwaria, czy Najpiękniejsza warszawianka z konkursu Expressu. Bo musiem pamiętać, że licznik bije, czyli że czas ucieka i zawsze mogę być narażone, że jakiś zootechnik czy inszy cwaniak króla Menelausa z nas wystruże.

„Piękna Helena”, operetka w przeróbce Janusza Minkiewicza.
Operetka Warszawska, 1959 r.

„Czekamy na Godota” to słynna sztuka, która szybko obiegła sceny całego świata, budząc entuzjazm lub gorące sprzeciwy. Jedni uważali ją za utwór genialny inni za dziwactwo napisane dla snobów, udających, że coś z niej rozumieją.

Istotnie sztuka jest trudna, pełna metafor, niedopowiedzeń i symboli. Ale jak dla kogo. Taki na przykład pan Ziółek nie miał tych trudności. Rozumił, o co chodziło autorowi, ale był na niego wściekły...

CZEKAMY NA WARIATA

- Coś pan taki przegrany, panie Ziółek?

- Wyczekałem się, uważasz pan, tak, że ledwo żyję.

- Na kogo?

- Na Godota.

- Co to za jeden?

- A kto jego wie.
- Jak to, czekałeś pan i nie wiesz pan na kogo?
- Nie tylko ja, sześćset osób na sali i pięć na scenie czekało.
- W teatrze znaczy się?
- Rzecz jasna. Sztuki takie wyczekujące grają. Taka więcej satyra, uważasz pan.
- To znaczy, że co?
- Znaczą, że balona robią.
- Z kogo?
- O to się właśnie rozchodzi, że z nieszczęśliwych ludzi.
- A detalicznie?
- Z umysłowo chorych.
- Z wariatów?
- No, tak jest. Z wariatów robią balona, a z publiki wariata. Mniejsza o publikę, ale uważam za rzecz niewłaściwe podśmiewać się z nerwowo dziabniętych. Raz, że w dzisiejszym czasie każdego to może spotkać, a po drugie, nieładnie.
- No dobrze, a jaka treść?
- Treści, uważasz pan, nie ma żadnej. Rzecz się dzieje na polu. Możem się domyślić, że w okolicy Tworek. Zaczyna się od tego, że dwóch jakichś włóczęgów, chuliganów czy coś w tym rodzaju czeka pod drzewkiem na tego właśnie Godota. Kto to jest, detalicznie nie wiadomo, ale możliwe, że dyrektor PGR-u, bo co i raz pastuszka przysłała, że chwilowo nie może przyjść, ale prosi, żeby na niego jeszcze poczekać. Jaki interes ma do tych ciapciaków, nie wiadomo, może z furą marchwi albo rabarbaru na lewo opędzlować jem zamiaruje.

No to się czeka. I w tym trakcie zjawiają się te wariaci. Z powodu socjalistycznego braku dozoru wyrwali się widocznie ze szpitala. Jeden, uważasz pan, udaje konia, a drugi furmana, sznurek na szyję mu założył i batem koleżki pogania. Ten, uważasz pan, bryka, kopie, gryzie i w ogóle prowadzi się prawidłowo - jak wariat, którego jest za konia. Tamten znowuż, co odstawia furmana, ubrany jest nawet przyzwoicie, tylko, że ma damskie żółte pantofle na wysokim słupku. Leje tego swojego konia batem, cęfa go, krzyczy: „prrr!” i „wioooo!” - ale mnie to, uważasz pan, nie bawiło. Te łazęgi połapali się, że mają z wariatami do czynienia, i dawaj z nich drakie skutecznie, jak to chuligani! Drżają tego, którego jest za konia, z furmanem się przekomarzają i temuż podobnie. Potem furman wyjmuję domową wałówkę, jakiegoś kurczaka czy coś w tym rodzaju, i zaczyna wtrajać. No, to te łazarze chcą mu drób odebrać, ale każdy wariat ma swój rozum. Sam kurczaka opycha, a jem odpala kości. I tak się kotłują w kółko. A my furt czekamy na tego Godota, może, jak nadleci, coś się zacznie. Na tem się kończy pierwszy akt.



- No dobrze, a artyści, jak grają?

- Robią, co mogą. Jednego z tych oprychów odgrywa ten Mondzio z radia. Ale nie ma swojej roli. Nie można powiedzieć ze skóry wylazi, żeby jakoś rozbawić publikę. Udaje na przykład, że ma za ciasne buty, ściąga i w trawę ich. To ma być troszkie taka satyra na centralę obuwia. Że same małe numera są w Cedeciaku, a jak ktoś ma większe nogi, musi boso chodzić. To nawet dosyć do śmiechu było. Także samo przygadał Mondzio naszej dystrybucji za pomocą skarpetek. Jak zdjął te buty, pokazało się, że ma same cholewki i pięty, palce w drobny mak się rozlecieli. Troszkie i z tego żeśmy się uśmieśli, ale nie za bardzo.

Ten znowuż, także samo dobry artysta, co tego drugiego cwaniaka odstawia, robi żarty takie więcej asenizacyjne. Co i raz pod drzewko lata, a Mondzio mu podgwizduje. Niezłe to, ale raz. Za trzecim już nie tak bawi. Po prostu chłopaki na głowach stawali, już nie wiedzieli, co robić. Tylko zem patrzył, jak się który wysiusia na scenie.

- A drugi akt?

- To samo od początku. Czekamy na Godota, a tu apiac pokazują się wariaci. Z tą różnicą, że furman dodatkowo niewidomego odstawia. Przewraca się, nie może się podnieść. Niesmaczne i męczące. A Godota jak nie ma, tak nie ma. Żona kopła mnie koniec końców w pischel i mówi: „Jeżeli ten łobuz za pięć minut nie przyjdzie, idę do domu”.

- Co za łabuz?

- No, ten Godot.

- Toś pan z żoną był?

- Wiadomo, jest tu, w tramwaju, i patrz pan, parasolką mnie grozi. Powiedziała, że się ze mną w mieszkaniu rozmówi. A co ja winien, myślałem, że to jest satyra na ogonki.

- To Godot w ogóle nie przyszedł?

- Jakbyś pan wiedział. Pod koniec, znowu pastuszka przysłał, że bardzo przeprasza, ale może drugą razą. Żona, jak to usłyszała, chciała skoczyć na scenę nalać tego chłopaczynę, ale chuligani to za nią załatwili. A co on winien, nic. Do derekcji trzeba wnosić pretensje. Co najmarniej tytuł powinna zmienić na: „Czekamy na wariata, co bilet kupi”.

- A swoją drogą, mówisz pan, że było pełno.

- Młodziaki chodzą w celach naukowych, bo takich publicznych wyrazów byle gdzie pan nie usłyszysz.

- To tak jak w tem „Weselu” Wyspiańskiego.

- W „Weselu”? Wyspiański przeciw tego Godota, to delikatny człowiek, salonowiec, można powiedzieć. Takiej „łaciny” jak tu to możesz pan tylko od wozaków pod towarową stacją się nauczyć. Ale dla dorosłych nic nie ma.

„Czekamy na Godota”. Sztuka Samuela Becketta
Teatr Współczesny. Warszawa, 1957 r.

TWARDOSZCZAK

- Jakże się panu, panie Teosiu, podobał „Twardowski?” - zagadnąłem pana Piecyka, spotkawszy go przy wyjściu z gmachu Warszawskiej Opery. - Jak pan ocenia artystyczny wkład wykonawców, co pan myśli o wysiłku dyrekcji, pozwalającym zrealizować w tak trudnych warunkach to imponujące widowisko?

Pan Piecyk pomyślał chwilę, po czym odrzekł:

- Owszem, wykonawcy zwijali się tak, że chwilowo zapominało się nawet o ich nieszczęściu, ale derekcja, panie szanowny, jest w grubym nieporządku, tak nie można...

- O czym pan mówi? O jakim nieszczęściu się zapomniało?

- Ja, panie szanowny, rozumiem - rozrywka umysłowa takim upośledzonym osobnikom jest potrzebna, bo to jem pozwala oderwać myśli od swojego nieszczęścia. Także samo ochotniczą sztukie teatralną masowo popieram, ale na afiszu wyraźnie powinno być zaznaczone, co i jak jest, bo inaczej publikie w błąd się wprowadza.

- Nie rozumiem, uważam, że na afiszu niczego nie brakowało.

- Jak to niczego, a gdzie pan masz wzmiankę, że przedstawienie odbywa się w wykonaniu zespołu świetlicowego wychowañców Instytutu Głuchoniemych w Warszawie?

- No, wie pan! Skąd panu to przyszło do głowy?

- Jak to skąd? Przecież całe przedstawienie na migi się odbywa według nowego scenariusza niejakiego Jerzego Waldorffa - to pewnie będzie derektor tego Instytutu, bo faktycznie wie, czego może od swoich uczniów żądać. Scenariusz jest zrobiony na medal, ja panu to mówię, bo przyrodniego braciszka niemowe miałem i umię się w tym języku porozumieć z całą swobodą, także samo potrafię tabliczkie mnożenia, kolejno i na wrywki, palcami wykonać. Toteż rozumiałem wszystko od a do zet.

Historia starożytna nasz poucza, że Twardowski, któren chociaż był tak zwanem czarnoksiężnikiem i pozagrobową siłę posiadał, w domu przy żonie dudy w miech. Tak jak ten gienierał ala Nelson, co zrazy z grzybkamy wyrmyślił, musiał się Twardowski gospodarstwem zajmować. Widziem go w pierwszym akcie przy kuchni, jak żonie kaszkie manne na śniadanie gotuje. Męczy się przy tem niemożebnie, bo głowy do tego nie ma, trzy kucharskie książki przewraca tam i nazad i nie może artykułu o kaszce znaleźć. A tu przychodzi jakiś

jego koleżka, także samo z fachu, zdaje się, czarodziej, bo za diabła przebrany i napuszcza go, żeby rzucił do cholery te kaszkie i wyskoczył z nim na jednego. Twardoszczak daje się koniec końców zbajerować i urywają się oba z domu przez komin, żeby ich w przedpokoju nie przytraciła pani Twardowska, niemożliwy zakapior baba.



Po dachach na miasto zapychają, koty, dranie, ich o mało przy tem nie pogryźli, bo to marzec, ale koniec końców znajdują się w pierwszorzędnym interesie gastronomicznym z danciem. Luksus, można powiedzieć... Lokal urządzone w deche, na środku wejście do baru w charakterze diabelskiej twarzy. Wchodzi się diabłowi do buzi, a tam bufecik z boku figuruje i w gaz niewąsko można uderzyć.

Po mojemu taka sztuka jest troszkie nie na czasie, bo to, z jednej strony, pisze się o ciosie w ankołizm, a na scenie Twardoszczak zalany w huźdawkie, diabeł zagazowany w dym i fordanserki do rosółu rozebrane i wszystkie co do jednej pod muchą.

Twardoszczak okazuje się nie tylko niemożliwą oliwą, ale w dodatku debetowym gościem bez pokrycia. Rachunki wszędzie podpisuje i co i raz zmienia lokal. Bo widziem go coś w trzech czy czterech restauracjach i inszych podejranych metach. Jak już interesa pierwszej kategorii nie chcą mu więcej kredytu udzielać, na prowincje wyjeżdża i w karczmie pod firmą „Rzym” usiłuje, jak to mówią, wyłudzić pokarmy i napoje, ale że rachonków podpisanych już się troszkie nabięrało, staroświecka milicja na życzenie restauratorów tam go nakrywa i chce brać do mamra. Ale on już najeżdża na rowerze, któren w charakterze koguta z pedałami jest uskuteczniiony.

- Zaraz, zaraz, panie Teosiu, zdaje się, że pan niezupełnie dokładnie interpretuje treść świętego baletu-pantominy.

- Dlaczego niedokładnie! Pan się będzie ze mną sprzeczał, jak ja „Powrót taty” za pomocą dziesięciu palców i lewego łokcia deklamuje!? To pan żeś nie zrozumiał!

- Mniejsza o to, niech mi pan powie, jakie wrażenie zrobiło na panu wywoływanie przez Twardowskiego ducha królowej Barbary w obrazie piątym?

- Fotomaton.

- Jak to fotomaton?

- Zwyczajnie, wykantował niemożliwie Twardoszczak króla Zygmunta i zaczęł ducha wywołać, aparat fotograficzny do momentalnych zdjęć paszportowych w ośmiu pozach z fotomatonu wypożyczył i czary-mary na scenie z nim odstawiał. Tryk, można powiedzieć, czyli apteczne złudzenie ludzkiego oka.

„Pan Twardowski”. Balet Jerzego Waldorffa.
Opera Warszawska, 1957 r.

Głośna przed wojną sztuka Karola Čapka pt. „R.U.R.” o buncie robotów, czyli sztucznych ludzi, została w roku 1959 wznowiona przez Teatr Kameralny, gdzie ją zobaczyli państwo Wątróbkowie.

Wrażenia ich z tego oryginalnego przedstawienia można przeczytać niżej. Nie od rzeczy tylko będzie wyjaśnić pewne drobiazgi.

Otóż jednego z bohaterów sztuki architekta Alquista grał, znakomicie zresztą, Jan Ciecierski, a ponieważ od lat kreuje on w radiowej powieści-rzecz „Rodzina Matysiaków” rolę pana Matysiaka, osłuchany z tą wieloletnią audycją pan Walery nazywa w recenzji architekta Alquista po prostu Matysiakiem.

Poza tym wszystko jest zdaje się jasne.

Dodam tylko jeszcze może, że „dyrektorową, podstawną blondyną przy kości”, była Justyna Kreczmarowa, a jej mężem, dyrektorem, Marian Wyrzykowski.

Że pan Walery zaczął recenzję od uwagi o królach w związku z wizytą w Warszawie pewnego pomyłonego Amerykanina, który na Okęciu koronował się na króla polskiego, nikomu to chyba nie przeszkodzi.

SZTUCZNE FACECI

Dużo w ostatnim czasie piszą po gazetach o królach. Właśnie w zeszły piątek nadleciał do nas do Warszawy jeden starszy facet z Ameryki, którego z przenośnym tronem zasuwa po całym świecie i wszędzie koronacje uskutecznia.

U nas rzecz jasna koronował się na króla polskiego. Kto wie, może by nawet i dobrze chłopina rządził, tylko że jest nieczasowy. Zaraz po koronacji zabiera tron w troki i zapycha do swojej następnej stolicy. W Warszawie tylko tyle, że przenocował, co mógł zrobić przez te parę godzin, kiedy my już blisko tysiąc lat nie możemy sobie dać rady z tem cholernym narodem. Słuchać nie lubi i robić mu się zanadto podobnie nie chce.

Ale owszem, ten wszechświatowy król jest sympatycznym facetem i nie można powiedzieć - do twarzy mu jest w koronie i z parasolem w miejsce berła w rękę. Jak pierwszą koronację uskutecznił na króla amerykańskiego, to nawet troszkę cykorii wywołał u tam tejszych czynników miarodajnych.

U nas na Okęciu ludzie przyglądali mu się z pięć minut, aż ktoś powiedział:

- Król jest kopnięty. - I wszyscy się rozeszli.

W ten deseń zostaliśmy się bez króla i same musiem się rządzić. Stąd są te różne przejściowe trudności.

Mógłby ktoś pomyśleć, że najłatwiej jest rządzić ludźmi sztucznymi. Jak nasz poucza historyczna sztuka pt. R.U.R. odgrywana w obecnym czasie na Foksalu. W przedwojennych Czechach zrobiona była taka próba fabrykacji sztucznych ludzi taśmowym systemem niejakiego Baty, który jak wiadomo, tamże mechaniczną fabrykę obuwia prowadził.

Nie można powiedzieć, udało się im wytwarzać całkiem nienajgorszych sztucznych ludzi, z tak zwanym elektrycznym mózgiem. W damskim, męskim i nijakim rodzaju. Faceci nazywali się Roboty, a cizie Robótki. Na oko Roboty byli podobne do prawdziwych ludzi. Tylko w oczach takie więcej dzikie, uczesane na grzywkę albo na jeża ala Tworki. W obcisłych portkach po scenie chodzili, sprężynowatym krokiem, takim jak w tak zwanym rekontrolu. Derekcja była z nich ogromnie zadowolona, bo darmo tyrali w różnych fabrykach. Także samo o podwyżkach czy rodzinnym dodatku nie mogło być mowy.

- A to dlatego, że nie mogli mieć rodzin, z powodu że nie mieli odpowiednich warunków fizycznych. Właściwie to mieli, tylko że w stanie nieczynnym. W ogóle byli urządzone troszkę na zasadzie samochodu. Posiadali sprzęgło, hamulec, kichy, biegi, gaz, a wiadomo, że samochód dzieci mieć nie może, chociażby dlatego, że nie potrafi się do tego wziąć. Ale dokąd produkcja szła planowo, wszystko było dobrze i schodzili z taśmy sztuki prawidłowe, bez felerów i odchyień. Dopiero jak na zamówienie świata kapitalistycznego inżynierzy puścili maszyny na olaboga, żeby normę przekroczyć, zaczęli się trafiać braki.



Te właśnie wybrakowane pyskate Roboty zrobili bont i położyli zimnym trupem całą derekcję, razem z derektorową, podstawną blondyną przy kości... Jednego tylko zostawili, a mianowicie niejakiego Matysiaka.

Sami będziem się wytwarzać - ludzie nam niepotrzebne.

Puścili maszyny w ruch, ale wychodzili im same buble, z jedną nogą krótszą, albo pikasy z jednym okiem na czole. Oprócz tego z końcówką nie mogli sobie dać rady. Bo plany i recepty zostali przez nieboszczkie derektorowe spalone.

Przylecieli Roboty do Matysiaka w prośby i groźby, żeby jem zdradził tajemnice, jak się robi ludzi. Ale on starszy człowiek już zapomniał. Czarna rozpacz ich ogarnęła, aż faktycznie żal nam ich się zrobiło. Nie wiadomo co by z tego wyszło, żeby nie to, że jedna niczegowata sobie młoda Robótka zabrała się na całe pare do pewnego Robociaka imieniem Winicjusz. Zaczęła kręcić w niem różne śrubki, naciskała gaz, włączała sprzęgło, łapała za lewarek, aż motor w niem zaskoczył. Nie tylko wykryła sekret całej produkcji, ale jeszcze kudy ją ulepszyła. Mechanizm był uruchomiony we wszystkich szczegółach. Wtenczas wzięła go pod depache i znikli za dekoracją.

Co się z temi sztucznymi ludźmi dalej stało, detalicznie nie wiadomo, bo firanka się zasłoniła i poszliśmy do domu.

Idziemy tak z tego Kameralnego ulicą Foksal i myślimy o tej całej fabrykacji, aż tu Gienia jak nie drygnie cała, jak nie krzyknie.

- Walerek, uciekajmy - sztuczne ludzie.

Wytrzeszczam oczy po ciemku i faktycznie idzie dwóch i jedna Robótka. Kropka w kropkie takie same jak na scenie. Wariackie włosy, czarne swetry, sprężynowy krok. Chcieliśmy już nawiewać na drugie strone, ale jeden Robot złapał te Robótkie za koński ogon, na głowie i krzyknął:

- Ciało, babina, chodź do stodoły - i zawrócili.

Gdzie oni w Warszawie stodołę znaleźli, faktycznie nie wiem.

W każdym bądź razie byli to Roboty z tych ulepszonych.

„R. U. R.” Karol Čapek.

Teatr Kameralny. Warszawa, 1959 r.

DWA WESELA

W związku z rozpoczęciem sezonu teatralnego, przeprowadziłem na ten temat wykład z panem Teofilem Piecykiem z Targówka.

- Co pan widział ciekawego w naszych teatrach, panie Teosiu?

- Co miałem widzieć, nic nie widziałem. Przez całe lato wszystkie teatry jedno tylko sztuki grali, pod tytułem „Nieczynny”. Po tem renemancie i przyjęciu towaru, zdążyłem być dopiero w jednym teatrze na Foksal. A zaczęło się uważasz pan tak: Koleżka mój, niejaki Kitwasiński, pyta mnie się parę dni temu nazad:

- Panie Piecyk, idziesz pan na „Wesele pana Balzaka”?

- Na czyje wesele?

- Balzaka.

- Nie idę.

- Dlaczego.

- Nie znam człowieka.

Dopiero jak mnie objaśnił, że sztuki grają pod tem tytułem w Warszawie, tembardziej nie chciałem iść. Już raz nacięłem się na jedno „Wesele” - Wyspiańskiego.

- Jak to, nie podobało się panu tamto „Wesele”?

- Owszem, spodobać mnie się spodobało, tylko żona się na mnie obraziła.

- O co?

- To pan nie wiesz, jak się tam artyści wyrażają?

- Nie bardzo wiem, o czym pan mówi!

- „Wesela” pan nie znasz, nie pamiętasz pan, jak tam ten stary kułak krzyczy: „Człek człękowi nie dorówna, nie polecą orzeł...” Już pan wiesz w co, do rymu.

- Ach, o tym pan mówi.

- Właśnie o tem i to na każdym kroku. Rzecz jasna, że teraz już bym się nie dziwił. Teraz w każdym jednym arcydziele sztuki musi się pojawić chociaż jedno takie słowo na literę gie. Również także samo poruszona być musi z nazwiska dolna część ludzkiej autonomii, na liter cztery. Dyrektor teatru z miejsca zapytuje się dostawcy, którego sztuki dramatyczne mu przynosi.

- Ileś pan umieścił w pierwszym akcie tego, na czym siedziem?

- Jedną.

- Mało. Leć pan do domu i napisz pan jeszcze najmniej dwie.

- No, ale w „Weselu pana Balzaka” pióra Jarosława Iwaszkiewicza tego chyba nie ma?

- Owszem, jedna nieduża jest. Występuje, uważasz mnie pan, tam jeden młodziak, którego tak się nazywa jak te przedwojenne kino na Marszałkowskiej... Styłowy, nie Styłowy... aha już wiem, mam - Apollo. Właśnie ten ów Apollo, w drugim akcie zaznacza do wiersza tak jakoś: „Znasz gienierała Krupe, to pocałuj...” Może detalicznie nie ze wszystkim tak, ale słowo to jest. Mówi się trudno, inaczej sztuki by odrzucili, a szkoda by było, bo życiowa i w ogóle na medal.

Już w pierwszym akcie widziem przystojnego sympatycznego faceta w czerwonym fraku. Jest to właśnie ten wyżej nadmieniony pan Balzak, francuski poeta, którego z Paryża przybył prosto pod Berdyczów, w celu matrymonialnym. Siedemnaście lat temu nazad zakochał się w polskiej hrabini, nazwiskiem Hańska, z domu Romanówna.

Siedemnaście lat już trwa te narzeczeństwo, siedemnaście lat niemożebnie się męczą i wzdychają do siebie, a jakoś pobrać się nie mogą.

Insza rzecz, że z tego wzdychania już półtorarocznego chłopczyka mieli. Ale jeżeli weźmiem pod uwagę, że u nasz na Targówku jeden kolejarz miał siedmioro dzieci na kocie łapie, czyli bez ślubu, z maglarką, to jedno dziecko na siedemnaście lat narzeczeństwa to jest tyle co nic, wypadek przy pracy można powiedzieć. Siedemnaście do jednego, jakże to stosunek bramek, mówiąc sportowo. Dziwić się Balzakowi nie mamy dania racji. Twarzowa wdowa przy kości, oprócz tego dziesięć milionów gotówką i własny pe-gie-er. A dawniejsze literaci byli na ogół mortusowe, nie to co dzisiaj, że każdy prawie domek jednorodzinny i co najmniej Wartburga posiada. Totyż pan Balzak na siłę chciał się z hrabiną żenić i powieść w dwudziestu czterech tomach o tej swojej miłości napisał pod tytułem „Nieludzka komedia”, czyli że pani Hańska niemożebną komedie przez tyle lat z tem ślubem zgrywa. Pisze Balzak. o tej miłości po nocach i pisze, a pani Hańska już czytać nie chce i wołałaby tak zwane ćwiczenia praktyczne. Ale do tego pan Balzak nie ma już głowy. Ale melodie do żarcia ma niemożebną i właściwie nie wiadomo, w kim się więcej kocha w polskiej hrabini czy w

polskiej kuchni. Półmisek zrazów z kaszą za jednym posiedzeniem może jak nic opędzlować. A jak sobie zamawia na scenie szynkową zupę, to z sześciu fontów szynki, ćwiartki cielęciny i jednego zająca.

Publika jak o tem słyzy, ma łzy w oczach i na drzwi się ogląda, bo w tem samym budunku, gdzie Teatr Kameralny, restauracja pierwszej kategorii się znajduje, zaraz przez bramę. I jak tylko pani Hańska zgadza się koniec końców na te wesele z Balzakiem, panika powstaje w szatni, bo wszyscy jeden przez drugiego lecą do Kameralnej.

Po mojemu pan Iwaszkiewicz dole bierze od rachunków za propagandę i informacje. A jeżeli nie bierze, to ciężki frajer.

A w ogólności salonowa sztuka - kudy tam Wyspiańskiemu.

„Wesele pana Balzaka”.

Komedia Jarosława Iwaszkiewicza.

Teatr Kameralny. Warszawa, 1959 r.

Istotnie wiele smakowitych opisów gastronomicznych umieścił Jarosław Iwaszkiewicz w swej sztuce o Balzaku, który był pono znanym żarłokiem. I dziwić się nie należy panu Piecykowi, że zaostrzyły mu one apetyt na kolację. Na szczęście restauracja Kameralna mieści się w tym samym domu co Teatr Kameralny.

W gorszej już sytuacji był pan Walery Wątróbka wybierając się do Polskiego na Don Karlosa względnie na Borysa Godunowa w Operze. Obydwa znakomite przedstawienia były bowiem rekordy czasu trwania.

CZY TATA TO TATA?

Owszem, starają się nasze teatry, nie można powiedzieć, i co i raz jakąś nowość wprowadzają. Teraz na przykład konkurs na wytrzymałość publiki się toczy między Teatrem Polskim na Oboźnej i tem na Nowogrodzkiej, co to nic nie można zrozumieć, bo stale i wciąż śpiewają. W Polskim odstawiają artyści sztukie nieboszczyka Szyllera, pod tytułem Don Carlos. Przez cztery bite godziny publika z tak zwanem zapartem oddechem siedzi i nikt się prawie przed końcem nie urywa, z wyjątkiem tych, co się na ostatnią kolejkę do Falenicy śpieszą.

No to te z Nowogrodzkiej powiedzieli:

- Jak my zasuniem operę, to przez sześć godzin będziemy stale i wciąż śpiewali i nikt nie wyjdzie, chociażby mu kolejka do Grodziska sprzed nosa uciekła.

- Jaka to będzie opera, jaka?

- Borys Godunow.

- No jak tak, to faktycznie. To bardzo ładna opera.

- A niezależnie odstawiać będziemy w dechę. Sam Ładosz będzie śpiewał najgrubszym basem na świecie.

I zasuwają, a publika chodzi masowo i tu, i tu.

Na Borysie jeszcze nie byliśmy, bo Gienia przez te mrozy cielęciny nie może dostać, a chcemy wziąć ze sobą dyszek na zimno, bo na samych waflach z bufetu nie zamierzamy się męczyć.

Na Don Carlosa wystarczy owszem parę jajek na twardo. No to się wzięło i poszliśmy. Muszę powiedzieć, że ubawiliśmy się jak rzadko. Już sama drekoracja z niemożliwą smykałką jest obmyślona. Rzecz wiadoma, że

najwięcej publika się męczy podczas antraktów. Po korytarzu chodzi, na szatnię patrzy i niejednemu może przyjść do głowy nawiać. Toteż tu na cztery godziny są tylko dwie takie okazje, a tak siedzi się murem na miejscu. Nie ma więcej antraktów, nie ma - do domu.

A jak to jest możliwe? Zwyczajnie. Firanki wcale się nie zapuszczają, tylko światło troszkie przykręca i na oczach publiki same artyści dekoracje zmieniają. Król Filip II łapie tron spod siebie i chodu. Z drugiej strony królowa z kochankiem ławki wynosi, siadają na niej i jadziem, proszę państwa, jadziem, bo godzina spóźniona. Troszkie w tem fuchy jest, bo ścian się wcale nie zmienia, tylko jednym większym parabanem oklejonym chińską tapetą, różne maniebrы skutecznie. Ustawiają artyści paraban na poprzek - jest królewski pokój stołowy w mieście Madrycie. Przesuną do winkla - jest przedpokój w temże pałacu. Cafną całkiem do tyłu, postawią jeden doniczkowy kwiacent i znajduję się w pałacowym ogrodzie. Technika rzeczywiście nadzwyczajna. Można co prawda w ten sposób trajlować tylko wycieczki z prowincji, my, warszawska publika, od razu się połapaliśmy na tem czarowaniu, ale nikt nic nie mówił, bo każdemu na komunikacji po przedstawieniu zależało. Tak czy siak musiem przyznać, że ta dekoracja jest jednakowoż dużo lepsza, aniżeli była w tem teatrze dwa lata temu w tył na Marii Stuart. Wtenczas niemożliwa granda została puszczone. Zamiast bogatej wystawy mularskie rusztowanie stało na scenie jak do remontu. Szara publika bardzo się na tem nie poznała, ale był ze mną koleżka niejaki Józio Baryłka, majster budowlany, to ten mnie przez całe przedstawienie spokoju nie dawał.



- Co to jest - mówi - kto to stawiał? Patrz podłoga położona bez wasserwagi, leci to, krzywe, wprost na publikie. Rusztowanie - nie to wiedeńskie, nie to rurowe. Słupy nie w pionie, na mijany krzyż bite, grubości nie dopasowane, jednym słowem, robota nie do przyjęcia. Mularka przez to ucierpiała, tynki na frontowej ścianie nie zatarte, a zostawione w baranku z wykwitami, bo niby na czym mularz miał stoić, więc chlapał z parteru.

Cały czas Baryłka tak mnie w ucho trzeszczał, aż koniec końców mówię:

- Co ty chcesz ode mnie, idź do kasy, zażądaj książki zażaleń i napisz skargie na deryktora, Axer się podobnie nazywa.

Troszkie miał Józio Baryłka racji, zwłaszcza że po tych trzeszczących rusztowaniach też królowe wtenczas latali i osoby urzędowe. Za Marie Stuart także samo była ta sama artystka co teraz Filipową II odgrywa. Twarzowa wysmukła, a pomimo tego podstawna blondyna jedynie wyłącznie królowe przedstawiająca, a jeżeli kogoś z rządu, to niżej premierowej w każdym bądź razie nie.

Musiał Axer dostać wtenczas jak się należy wygawor, bo teraz wszystko porządnie wytapetował. Jeżeli teraz rozchodzi się o treść, to za długa, żeby ją opowiadać. Nadmieniam tylko, że ów Filip był niemożliwym w rodzinnym pożyciu facetem. Zwłaszcza na ojca się nie nadawał, bo synowi stale i wciąż dziewczyny podrywał. Wyszukał sobie posażne jedynaczki ten ów właśnie syn, kindzirowaty, sympatyczny blondynek, czyli Don Carlos, i chce się żenić. Stary mu podleciał, teściów zbajerował i sam się z nią ochajtnął. To znowuż jedna hrabina naznaczyła Donkowi randki i klucz w tem celu przysłała, to zaczął się Carlos połapał, co jak jest, ojciec już wszystko za niego załatwił. Trzeba przyznać, że ruchliwy był staruszek. Rzecz jasna, że Donek miał tego dosyć, włata do starego do biura i krzyczy:

- Coś się, tata, jak raz na mnie uparł, mało kociaków po świecie chodzi? Coś, tata, narozrabiał, teraz już nie wiadomo: czy moja narzeczona to moja mamusia, czy ja narzeczony, czy syn, a tata to tata czy szwagier? Resztę zobaczycie sami. Warto. Wszyscy artyści grają jak z nut. Ale bufet słodki, posilną zagryche trzeba wziąć z sobą.

„Don Carlos” Fryderyka Schillera.
Teatr Polski. Warszawa, 1960 r.

Czyż trzeba czymś uzupełnić tę zbiorową recenzję z trzech aż sztuk? Bo pan Walery omawia tu, jak się okazało, i Borysa Godunowa, i Marię Stuart, i Don Karlosa.

Można oczywiście wyjaśnić, że Borysa nie śpiewał doskonały recytator Henryk Ładosz, tylko Bernard Ładysz, znakomity bas naszej Opery, że królową Elżbietę w Don Karlosie kreowała Nina Andrycz, „tate” Jan Kreczmar, samego zaś Donka - Czesław Wołłejko.

Dekoracje krytykowane z murarskiego punktu widzenia przez Józia Baryłkę były świetnymi pracami Otto Axera.

ADŹKA NAGUSÓWNA

Zdawałoby się, że poszerzenie narożnej knajpy nie może mieć wpływu na upowszechnienie muzyki operowej w Warszawie. A jednak miewa - doświadczyłem tego na sobie. Był na ulicy Pankiewicza klub artystów „Spatif”, gdzie chętnie bywałem spotykając znajomych z Warszawskiej Opery. Pewnego dnia klub zamknięto, gdyż chodziło o powiększenie istniejącej na rogu restauracji.

Postępek na pewno słuszny - pijany gość musi mieć luz, bo inaczej w razie rozróbki czyni szkody w szkłe, zakąskach i sam się męczy. Ale artystów pozbawiono klubu i ja, chcąc ich zobaczyć, muszę chodzić na przedstawienia operowe, chociaż nie odróżniałem dotąd arii z „Pajaców” od walczyka w trzecią stronę. Dzięki

więc wspomnianemu powiększeniu baru „Klubowego” poznałem przed kilku dniami osobiście Aidę i zacząłem odczuwać piękno muzyki Verdiego.

Dopomógł mi w tym spotkany w ostatnim antrakcie pan Piecyk, wyjaśniając mi, jako operowej ciemnej masie, treść wspaniałego dzieła wielkiego Włocha.

- Ta, uważasz pan, breneta przy kości, zaciągnięta na ciemny mahoń pastą „Kiwi”, to jest sama Aida, córka abisyńskiego króla Nagusa i pozostaje się od ostatniej wojny w niewoli egipskiej. Jak mieliśmy zaszczyt widzieć, posiada na sobie żółte sukienki, sztukowane pół na pół czarnym jedwabiem. Rozchodzi się, uważasz pan, o oszczędność. Aida odstawia parę artystek w różnych rozmiarach. Nie chcąc narażać na zbyt znaczny ekspens Polski Ludowej wszystkie trzy grają w jednej i tej samej sukience. W zależności tylko od numeru popiersia wstawia się czarny klin albo się go wyjma. Dzisiaj gra niejaka Alicja Dankowska, z klinem. Nie tylko sukienki trzeba dobrać do artystki, musi być do niej dopasowany także samo artysta, odstawiający jej narzeczonego, czyli podporucznika armii egipskiej Radamesa. Jak w boksie - waga piórkowa z piórkową, kogucia z kogucią itd. Ten w strażackiej czapce z kacuzką to jest...

- Wacław Domieniecki, znam - pochwaliłem się.

- Właśnie, Wacław Domieniecki, mistrz wagi ciężkiej. W dniu dzisiejszym on jest za podporucznika. Śpiewają oboje jak słowiki, dlatego teatr masz pan wyładowany do ostatniego miejsca. Że się tu rozchodzi o sztuki wojenne, to żeś się pan chyba sam połapał?

- A wie pan, że nie bardzo...

- Jak tak, to słuchaj pan. Abisyńczyk i naród wojenny, stale i wciąż z kimś się naparzają. Za naszych czasów z Mussoliniem, wtenczas z faraonami? Faraoni do dużej forszy doszli na wyrobach gumowych i nie bardzo im się chciało wojować. A Abisyńczyki jako Murzyni przeważnie na puszczy zamieszkałe z samych nudów robili od czasu do czasu agresje na Egipt. Tą razą rozchodziło się jeszcze i o to, żeby Adżkie Nagusównie z niewoli odbić. Ale skok się nie udał i sam tata Nagus (Maniek Woźniczko go odgrywa) w plen się dostał. Sytuacja niżej krytyki. Jednakowoż od czego miłość. Podporucznik Wacław zakochał się w Nagusównie, chce z nią nawiać do Abisynii i tam poprosić o azyl. Co prawda nie od razu, chwilowo spotyka się z nią wieczorową porą gdzieś na ksiutach i nie wie, co robić, jechać czy nie jechać. Aida z początku chce go trajlować śpiewem i zasuwa parę niewąskich arii, ale jak widzi, że to nie pomaga, zaczyna się posługiwać nogą. Coraz większy kawałek swojej dolnej końcówki mi pokazuje, aż przy kolanie dał się zbajerować i wybrał nogie, to jest azyl. Niestety muszę pana uprzedzić, że do nawiania nie dojdzie. W ostatnim akcie wkroczy bezpieka, bo zakochaną parę lignęła faraonówna, z którą Wacław przedtem chodził. Podporucznik i Aida dostają się do pudła i potem w doraźniaku są skazane na śmierć głodową. Publika znosi to spokojnie, bo każdy widzi, że głodem jem nic nie zrobią, zaczną oni schudnąć, faraonównie cholera weźmie albo Abisyńczyki na pomoc nadlecą.

Po przedstawieniu w doskonałym, jak się to mówi, nastroju udaję się na kolację. Za wyjątkiem Aidy i Mariana Woźniczki, które, złe jak nieszczęście, zmuszone są jechać do łaźni, żeby zmyć z siebie pastę „Kiwi”, z powodu, że jutro ona gra za Halkie, a on za Janusza. Jeden Wacek Domieniecki jest wygrany, bo jako Jontek nawet perugi na noc nie potrzebuje zdejmować.

W kiepskim położeniu znajduje się także samo ten, co gra premiera w orszaku faraona. W listopadzie musi się wygolić do łysej głowy, bo jakżeś pan może zauważyć, w Egipcie nie tylko premier musi być łyśy, ale i cała Rada Ministrów. Totyż to są najgorsze role i nikt nie chce grać, zwłaszcza zimową porą.

Jak pan widzisz, życie artystów znam na wylot, bo niejaki Felek Kominek, pierwszy tapicer opery, zamieszkuje ze mną drzwi w drzwi.

Poczekamy na niego przy bramie.

Nie pamiętam już, czy doczekaliśmy się z panem Piecykiem wyjścia z opery jego znakomitego znajomego. Ale przypominam sobie, że w czas jakiś potem spotkałem na ulicy Adżkę Nagusównę, czyli znakomitą interpretatorkę tej roli, panią Alicję Dankowską, z wyraźnymi śladami odchudzającej kuracji.

- Muszę panu powiedzieć, że śpiewam już Aidę bez klina - powiedziała znana z wielkiego paczucia humoru artystka.

A ja dodałem:

- Ale zawsze genialnie!

DWOJE NA TAPCZANIE

Rozchodzi się o to, żebyś pan wziął na papier, czyli obsmarował jak się należy w gazecie derekcje tego teatru nad Wisłą, niedaleko ulicy Dobrej.

- Ateneum?

- Jak się zwał, tak się zwał, dosyć na tem, że grande się tam uskutecznia, czyli śmichy chichy z publiki robi - irytował się pan Walery Wątróbka odwiedzwszy mnie w redakcji.

- Może pan jakoś sprecyzuje swoje zarzuty, bo o ile ja wiem, grana tam teraz jest sztuka „Dwoje na huśtawce” i bardzo się ogólnie podoba.

- Właśnie od tego się zaczyna, że nie ma tam żadnej huźdawki, tylko tapczan, a właściwie dwa tapczany razem zesunięte. A więcej nie ma nic. Kurtyny nie ma, drekoracji nie ma. W ogóle nie ma teatru. Publika siedzi na okrągło jak w cyrku. Ciasno jak w tramwaju. Osobom z odciskami nie wolno siadać w pierwszym rzędzie. I co do tego powinno przed kasą wisieć ostrzeżenie, a nie wisi.

- I po cóż to ostrzeżenie?

- Po to, że artyści strasznie po nogach publikie depczą. Dwoje ich tam tylko rzeczywiście jest - mężczyzna i kobieta, ale wystarczy.

- To świetni aktorzy, Elżbieta Kępińska i Zbigniew Cybulski.

- Faktycznie jak Elżbieta kogo udeptała, to z Bogiem sprawa, nieduża noga przeważnie w bamboszach. Ale o wiele Cybulszczak wskoczył komu na mały palec fest butem, dwudziesty dziewiąty numer, na skórgumie - ciemna mogiła. To wszystko zależy od szczęścia, kto się komu trafi, a właściwie z której strony się siedzi. My podlegaliśmy pod Cybulskiego i Gienia dotychczas nie może nóg wygoić. Ale jeszcze gorzej ma publika w tem miejscu, gdzie artyści między tapczanami się spotykają, tam trzeba siadać po turecku z podwiniętymi pod siebie końcówkami.

- A co do treści sztuki, też ma pan jakieś zastrzeżenia?

- No, rzecz jasna, że mam. Uważasz pan, to jest romans życiowy o jednym młodem amerykańskim małżeństwie, które się rozeszło, ale z powodu znanych trudności lokalowych razem zamieszkuje. Tapczan stoi koło tapczanu, rzeczy są podzielone. Ona ma porządną pościel i lampę z czerwonym abażurem, a on gazetamy się nakrywa. W ogólności na każdym kroku odczuwa się mortusowy kryzys amerykański, czyli tak zwaną represję. Rozwódka, imieniem Gizelia, chodzi w pocerowanym na plecach swetrze, a Jerry, jej iks-mąż, nawet w pościeli nie zdejmuje kapelusza, widocznie z powodu zimna w mieszkaniu. Ale telefony mają dwa, każdy przy swoim posłaniu i co chwila się telefonicznie sztorcują. O wiele mnie pamięć nie myli, on robi jej stale i wciąż raban, o to, że wspólną lodówkę opędzłowała i nie chce mu oddać jego doli.



- Zaraz, zaraz, panie Walery - zaoponowałem nieśmiało - pan się chyba myli. Oni nie są małżeństwem, nie mieszkają razem. Każdy z tapczanów i każdy telefon jest w innym mieszkaniu, w innej nawet dzielnicy Nowego Jorku. A tylko reżyser umieścił je obok siebie, na jednym planie. To jest właśnie nowoczesny chwyt inscenizacyjny.

- Jak proszę? Czy byłeś pan w tym teatrze. Nie? No to co się będziem sprzeczać, kiedy ja z żoną na własne oczy widziałem, jak telefonują do siebie przez te tapczany, jak się potem godzą i tak dalej. Kiedy się zaczyna nie dla młodzieży, światło gaśnie i siedzi się po ciemku. Muszę zaznaczyć, że jak na rozdwojników, to te światła gaszą dosyć często. W ogóle za dużo przebywa się w tym teatrze po ciemku. Wskutek dlaczego, nie wiem detalicznie,

jak się ta sztuka kończy. Bo kiedy w pewnej chwili małżeństwo zaczyna się kopsać i on łapie na nią żerandola, któren wisiał jak raz nad głową Gieniuchny, złapałem małżonkę za rękę i krzyczę:

- Gienia, chodu, bo cię tu zabiją!

Po mojemu sztuka powinna otrzymać pierwszą nagrodę elektrowni warszawskiej za oszczędność prądu w godzinie szczytu, ale publikie w pierwszym rządzie za dużo nerw kosztuje.

„Dwoje na huśtawce” - sztuka amerykańska
William Gibsona.
Teatr Ateneum, 1960 r.

Oczywiście mimo inwektyw pana Wątróbki sztuka Williama Gibsona „Dwoje na huśtawce” cieszyła się rekordowym powodzeniem na tak zwanej Scenie 61 Teatru Ateneum.

Jak już opisał zresztą dokładnie pan Walery, Scena 61, będąca jakby filią tego teatru, usytuowana jest w małej salce, mieszczącej około dwustu osób, siedzących naokoło scenki, przypominającej małą arenę lub parkiet taneczny.

Kontakt z aktorami jest znakomity, ale co do tego deptania, to pan Walery przesadza. Jakkolwiek siedziałem w pierwszym rządzie, nie byłem nawet dotknięty pantofelkiem pani Kępińskiej. Moja towarzyszka tylko raz została udeptana przez Cybulskiego. Była w siódmym niebie.

Znacznie bardziej podobało się panu Wątróbce w Teatrze Polskim na dramacie Augusta Strindberga pod tytułem „Eryk XIV.”.

Chociaż i tu miał zastrzeżenia.

KRÓLEWSKIE WESELA

Gienia pasjami lubi sztuki o królach. Bo króle, mówi, ładnie się noszą, luźno, przyzwoicie mieszkają i obracają w dobrym towarzystwie. Toteż jak zobaczy w gazecie, czy gdzie na słupie, lekrame teatralne, na której facet zamiast nazwiska ma numer, zaraz się wybiera i mnie ze sobą taszczy.

W ten deseń właśnie znaleźliśmy się w Polskim Teatrze na Oboźnej, na sztuce pod tytułem: „Eryk czternastka”. Ale muszę powiedzieć, że Gienia się narwała, bo już w pierwszym akcie się pokazało, że król nie był żonaty z żadną hrabiną, tylko żył na kocią łapę z pewną cizią, którą zapoznał w swoim czasie, gdzieś przy barze w nocnym lokalu, a może jeszcze gorzej.

Ciziula ta z wojskowej rodziny, córka zawodowego podoficera niejakiego Monsa, za wojskiem przepadała i właśnie zaraz na początku sztuki widziem ją w królewskim ogródku padczas tak zwanego pitigrilu z młodem oficerkiem z ochrony rządu, ma się rozumieć szwedzkiego, bo cała rzecz w Szwecji się odbywa. I od razu ni z tego, ni z owego ktoś jem z góry chyba z kilo dużych sześciocalowych goździ sypie na głowy. Okazuje się, że ten ów ala mąż na pierwszym piętrze na werandzie siedzi i on temi goździami rzuca przez sercowe zazdrość.

- Gieniuchna - mówię na to - nacięłaś się, to nie król, tylko stolarz, może nawet cieśla.

- W jaki sposób?

- A w taki, że jakize król, może goździe po kieszeniach nosić?

Jednakowoż przekonaliśmy się później, że może, tylko musi być kopnięty. Nie będziem tu detalicznie streszczać całego przebiegu. Powiemy tylko, że wariat, jak to wariat, niemożliwie rozrabia, ze zwyczajnego

tajniaka, którego po królewskim ogrodzie się kręci, ministra robi, własnego braciszka na gimze skazuje i potem wypuszcza, mowę tronowe gubi i ani me, ani be i temuż podobnie. W ogóle sztuka jest do płaczu i do śmiechu. Zwłaszcza na weselu niemożliwa draka wychodzi. A z tem weselem to było tak: W parę lat po chrzcinach się odprawiało. Król miał już z Monsówną dwoje dzieci, nieślubnych, ma się rozumieć, bo jak ją na ślub namawiał, stale i wciąż odpowiadała: „Nie mogię, tatuś mnie nie pozwoli. Z ledwością na te nocne życie się zgodził”.

Dopiero jak Eryk czternastka zblatował starego Monsa, że wesele będzie na dwadzieścia cztery fajerki z formalnem ochlajem, dali na zapowiedzie i rozesłali zaproszenia. Ale rodzina królewska i różne tam hrabiowie poobrażali się na cement, że król z nocnym życiem się żeni i nie przyśli ani do knścia, ani na przyjęcie.

Wtenczas teść przyprowadził swoją ferajne. Jakichś niewąskich kiziorów podoficerów, jakieś przekupki z prywatnej inicjatywy, parę dawnych koleżanek po fachu panny młodej i w ogóle kogo się dało. Zaczęła się zabawa na sto dwa. Teść zalany w czarny kamień co i raz mowe zawala i kolejki wznosi. Eryk czternastka też pod gazem w przekrzywionej koronie między gośćmi lata. Jednym słowem, zabawa na Budach.

Gienia patrzy się na mnie, ja na Gienię, ale dopiero jak kielnerzy zaczęli wnosić całe ćwiartki cielęciny i pieczone połówki wieprzy na drewnianych półmiskach, moja małżonka kopła mnie w kostkie i mówi:

- Już teraz wiem, dlaczego dzisiaj mięsa w Warszawie zabrakło, wszystko zniesione do teatru na te wesele.

- Gieniuchna nie mów takich rzeczy, przecież to lipa, dyktura.

- Tak, artyści dykturę będą jedli?! Chiba jeden król, bo umysłowo słabosilny.

I ani rusz nie mogłem jej wytłumaczyć, że co innego teatr, a co inszego życie. Wyszła z teatru obrażona, bo chciała zobaczyć królewskie przyjęcie, a znalazła się na weselu wuja Wężyka. A mnie się spodobało. Artyści podgrywiają na całego, drekoracje takie więcej przepiękne, goździe prawdziwe.

Za parę dni idziem na drugie królewskie wesele, bo u nasz w demokracji przeważnie o królach sztuki przedstawiają. Ta druga jest o greckiem, chałwą karmionem, Edypie, któremu jeszcze gorzej aniżeli Szwedziakowi wyszło, bo z własną matką się ożenił.

Mocno staroświecka to podobnie sztuka, ale wystawiają ją bo:

Każden wiedzieć musi,
Że nie podrywa się mamusi.

Eryk XIV A. Strindberga,
Teatr Polski. Warszawa, 1961 r.

Jednak nie byli państwo Wątróbkowie na „Królu Edypie”, aktor grający tę rolę zachorował i sztuka została czasowo zdjęta z repertuaru. Potem pani Gienia zapadła na grypę i do recenzji nie doszło. A szkoda.

Jednak musimy się zgodzić ze zdaniem pana Walerego, że mnóstwo u nas wystawia się sztuk „z życia królewskiego”.

Oto „Salome” Ryszarda Straussa, dramat muzyczny według Oskara Wilde’a w tłumaczeniu wykonawczyni roli tytułowej Alicji Dankowskiej. Widział go w Operze Warszawskiej pan Piecyk.

A jak do tego doszło?

HERODÓWNA

- Wiesz, Teos - mówi do mnie Helcia, parę dni temu nazad - szapkie grają w teatrze, może się wybierzem?
- Coś ty, Heluchna, szopkie w lipcu, chyba ci się coś pokitosiło.
- Co to mnie się miało pokitosić? Na własne oczy lekrame na słupie czytałam, że na Nowogrodzkiej w Operze Heroda w tych dniach przedstawiają. Jest także samo stara Herodowa i Herodówna. No to co, to nie szopka?
- Faktycznie, to by się zgadzało, ale w tym czasie?
- Może na złość?

Było nie było, poszliśmy i rzeczywiście był król Herod z rodziną, to znaczy: żona i córka pod tytułem Salome, parę osób z rządu, trochę wyższych wojskowych i obstawa. Wszystko to mieściło się na schodach, tak coś jak przed wejściem do hotelu Warszawa na placu Wareckim. Wiadomo, w Tel Awiwie stale i wciąż niemożliwe upały i nikt się nie dziwi, że król Heród na ulicy gości przyjmował i na schodach w gaz uderzał. Tak że drekoracja jest, można powiedzieć, prawidłowa. Heród też przepisowy - rudy, w zielonej pluszowej kapie z łóżka. Tylko o to się rozchodzi, że nie można nic zrozumieć z całej sztuki, bo orkiestra za duża.

Polska Ludowa musi dbać o muzykantów, a że teraz w ogórkowym czasie jest w tym fachu duży mortus, bo bali nie ma ani wieczorków, wszystkich ich zgodzili do Opery, na przyboczne orkiestre króla Heroda.

Na scenie by się nie pomieścili, to ich trzymają na dole przed sceną w specjalnym wykopie. Ale tłok tam taki, że o mały figiel smyczkami oczów sobie nie powyjmają. I przypuszczam, że bębniści nieraz kolegi od basetli niechcący pałką w ciemną przyzwoicie zaprawi. Porozbierane do koszul w desusach tam siedzą i taki raban toczą, że ogłuchnąć można.

Rzecz jasna, że przyjęcie u Heroda musi się odbywać przy muzyce. Ale orkiestrze też kolacja się należy i nie powinna grać bez ustanku; żeby nie dać artystom na scenie dojść do słowa. Przez to Helcia nie mogła zupełnie się połapać w całym przebiegu, ale że ja w młodości z herodami jako diabeł po Targówku chodziłem, niemożliwie jestem w historii starożytnej oblatany i objaśnień udzielałem nie tylko jej, ale jeszcze paru osobom, co koło nas siedzieli.

Historia starożytna nas poucza, że Herodowa to była panna z dzieckiem, zaczem Heród frajerzyna się z nią ożenił.

To właśnie dziecko, czyli Salome, w krótkich abugach wyrosło na fordanserkie z dużym, po mamusi, zamiłowaniem do tak zwanego miłosnego pitigrilu. Nie tylko z całym batalionem ochrony rządu na ksiuty chodziła, ale do samego Heroda perskie oczko zaczęła zaiwaniać. Herodowa widzi, co się święci, to nieraz jej mówiła:

- Sala, proszę zostawic tatunia, dobrze?

Ale to nic nie pomagało, aż się Heród faktycznie w tej swojej pasierbicy zamazał.

Stale i wciąż za nią chodził i namawiał, żeby mamusię do wiatru wystawili. Ale ona nie chciała, bo jak raz się uparła na jednego proroka, którego Heród w więzieniu pod podłogą trzymał, z wejściem od ulicy.

Koniec końców, Herodówna obraziła się na proroka i zażądała, jak się to mówi, jego głowy.

Te właśnie chwile widziem na scenie. Heród pod muchą, bo wypił przed chwilą dwie duże sztamajzy rodzynkowego wina i zagryzł makagigą, pościel kazał wynieść z pałacu na schody, na jaśku usiadł i dawaj rozrabiać. Tańca z rozbiórką, czyli tak zwanego skryptisu, się łobuzowi zachciało. Salome niby też to do pucu się nie zgadza, to on bierze z tacy jafskie pomarańcz i jej wręcza. To już i mnie zgnięwało, więc mówię do żony:

- Co on łachudra pomarańczą ją blatuje?

- Co ty chcesz, eksportowy artykuł, delikatesowy.

- No tak, to byłoby dobre w Warszawie, ale nie w Palestynie, gdzie pomarańcze tańsze niż kartofle, i nie na Boże Narodzenie tylko, ale przez okrągły rok są.

Ale zalany Heród zbajerował jakoś Salomeje, która zaczęła tańczyć. Jak Helcia widzi, że ona co i raz jakiś ciuch zdejmuje z siebie i rzuca na ziemię, zaznacza:

- Co i ona padkropiona, do czego to dojdzie?

- Nic nie szkodzi, sztuka jest dozwolona od lat osiemnastu.

Dopiero jak Salome prawie do rosołu w tem tańcu się rozebrała, podlecieli do niej jakieś dwie cizie za Murzynki przebrane i przykryli ją kocem.

„Widocznie cenzura jest na sali” - pomyślałem sobie.

W każdym bądź razie ta Herodówna ma się w co rozebrać, a także samo w deche tańczy, śpiewa i tłumaczy. Wytłomaczyła podobnież derekcji, żeby się zgodzili odegrać tę piękną sztukie.

W tem trakcie Heród zabalsamowany w czarny kamień usnął na schodach i wtenczas Herodowa podleciała do niego, rąbła mu z palca pierścioneek z brylantem i odpaliła jakiemuś młodemu oficerkowi z obstawy.

- Dobrze mu tak - mówię - nie śpij, bo cię okradną.

- Patrz, jaka cholera, własnego męża robi na szaro - nadmieniła Helcia.

- Widocznie tak jak córunia za wojskiem przepada - odrzekłem.

- Może pan wreszcie skończy z tymi uwagami - odezwał się jakiś łysy, co koło mnie siedział.

- Bo co?

- Bo przeszkadza pan innym słuchać, a w dodatku błędnie pan objaśnia. Herodiada nie kradnie pieścionka, tylko wręcza go żołnierzom na znak, że mają zabić proroka.

Nie zdążyłem jeszcze obciąć jak się należy łysiego, kiedy Helcia klasła w ręce i krzykła:

- Patrz, patrz, tort dostała, widocznie Blikle jej przysłał! Faktycznie warta: naśpiewała się, natańczyła, natłomaczyła.

- To nie żaden tort, tylko głowa proroka, który został tymczasem ścięty - wtrącił się znowuż łysy.

- Jeżeli tak, to ładnie podana, w muślinie, ze wstążeczkamy, aż przyjemnie popatrzeć. Można powiedzieć...

- Ciiicho - przerwał mnie znowuż łysy - bo stracimy najpiękniejsze akordy muzyki Straussa. - Przestałem mówić, ale i tak straciliśmy, bo Helcia jak się dowiedziała, że to głowa, zemgłała i musiałem ją wynieść z teatru. W ten sposób nie wiem, jak się skończyło. Muszę się wybrać jeszcze raz osobiście.

„Salome” Ryszarda Straussa.
Opera Warszawska, 1961 r.

Oczywiście troszkę oryginalnie tłumaczy pan Piecyk znaczne zwiększenie orkiestry w tej operze. To nie sezon ogórkowy sprawił owe zagęszczenie w dole orkiestrowym. Wymagała tego niezwykle bogata, finezyjna muzyka Straussa.

Reszta na ogół by się zgadzała, łącznie z makietą głowy proroka wywołującą dreszczyk na widowni. Głowa wykonana była niezwykle precyzyjnie, ale to chyba nieprawda co mówi o niej pan Walery Wątróbka w sprawozdaniu z innej opery biblijnej.

HOLOFERNESIAK

No to byłem, proszę ja kogo, po raz pierwszy na operze pod tą nową derekcją. I muszę zaznaczyć - faktycznie miał rację jeden redaktor, jak napisał, że nowa derekcja chętnie przejęła po starej różne ładne rzeczy z artystyczną wartością. Na przykład te głowy na półmisku. Była tam w magazynie głowa proroka, odcięta mu na życzenie niejakiej Salomei w innej operze. Odrobiona z gipsu w naturalnych kolorach z prawdziwymi włosami, w celofanie, na cukierniczej serwetce spod tortu. Szkoda, żeby się taki wyrób poniewierał za kulisami.

Totyz jeden derektor mówi do drugiego:

- Zajrzyj pan do szuflady, jest tam może jakaś opera z obciętą głową.

Tamten zajrzał i odpowiada:

- Owszem, „Judyta i Holefernes”.

- Jak się nazywa?

- Holefernes.

- Co to za jeden?

- Wojskowy zdaje się.

- Dawać. Wojskowe marsze ładnie w operze wychodzą.

Rzecz jasna, nie byłem przy tem, ale czy było tak czy inaczej w każdym bądź razie otrzymaliśmy tak zwane uczte duchowe pod powyższem tytułem. W wielkiem poście specjalnie na czasie, bo rzecz się dzieje w staroświeckiej Palestynie. Niejakie Filistyni czy insze tam Asyryjczycy oblegli jakieś miasto na prowincji i nie wypuszczają ludności nawet po wodę, chociaż jak nam wiadomo, w tamtych stronach przez cały boży rok panują niemożliwe upały. Jedna ruda, twarzowa, facetka przy kości właśnie ta owa Judyta, dowiedziawszy się, że Hofoler... że Holefor, że Holerofor... a niech go cholera, nie mogie go wymówić... jednym słowem, że głównodowodzący nieprzyjacielskimi wojskami jest, jak się to mówi, pies na kobiety, postanawia się poświęcić. Poszła do fryzjera, założyła najlepszą balową kieckie i udaje się w tem celu do nieprzyjacielskiego obozu ze swoją pomocą domową, która w siatce do gospodarskich zakupów duży nóż kuchenny posiada.

Na miejscu przekonuję się, że ten Hlorofornes to nie jest starszy gienierał z ondulowaną po asyryjsku brodą do pasa, tylko gładko ogolony przystojny młodzieżowiec w poborowym wieku i kostiumie kąpielowym. Z tą brodą, to po mojemu, musiało być tak, że derekcja usiłowała mu ją z początku przylepić, ale się pokazało, że wygląda z tem do kitu. Do herodów by się nadawał, a nie na Holefornesa, niech już lepiej będzie bez brody - powiedzieli koniec końców. W ten deseń otrzymaliśmy Asyryjczyka na wyższym stanowisku wojskowym, z młodej kadry operowej. Judyta nie była zdaje się z tego specjalnie niezadowolniona i bez dłuższych ceregieli udała się z niem do czerwonej pałatki, czyli namiotu wodza.

Co się tam faktycznie działo, detalicznie nie wiadomo, ale po dłuższym czasie, który myśmy spędzili na muzyce religijnej, wyszła stamtąd z siatką gospodarczą wypełnioną, jak się to mówi, po brzegi. Na razie nie wiedzieliśmy, co się tam znajduje, myśleliśmy, że to jakieś produkty spożywcze i warzywa. Ale po bliższym obejrzeniu przez rolnetki okazało się, że jest to wyżej wymieniona głowa, przejęta od starej derekacji.

Jeżeli się jeszcze doda, że Holofernesiak pomimo młodego wieku okazuje się starym kiziosem, który bez przerwy uderza w gaz na scenie, używając jako zagrychy wyłącznie daktyli, musiem przyznać, że sztuka ta jest także samo pouczająca. A mianowicie poucza nasz, że przez kobiety, wino i śpiew na służbie, można łatwo stracić głowę. Tak czy siak przedstawienie jest takie więcej przepiękne i każdy powinien go zobaczyć.

Kto jednakowoż woli melodie wpadające w ucho, tańce żywsze, a zwłaszcza modniejsze, niech się przejadzie na Żalibórz do teatru Komedia. Odgrywają tam sztuki dwóch młodych Amerykanów Minkiewicza i Marianowicza pod tytułem „Zwariowana ulica”. Jest to sztuka mrożąca krew w żyłach, tak że zmuszone byliśmy z Gienią przesiąść się z pierwszego rzędu do połowy sali. Rozchodzi się o to, że artyści przebrane za amerykańskie policje rzucają w powietrze artystkami. Używają co prawda do tego niedużych facetek drobnej kompleksji i poważniejsze niebezpieczeństwo publice nawet w razie wypadku nie zagraża. Ale jakby się złapali za jedną podstawną, ubraną tylko w strusie pióra, gołą siłą artystyczną, już mogłoby być gorzej. A cóż tu dopiero mówić o puszczeniu w powietrze teściowej ciężkiej wagi, która również w tem dramacie figuruje. Tu już z pierwszego rzędu zostałaby się marmolada, a kto wie, czy i w drugim nie byłoby niewinnych ofiar. Ale publika nie zdaje sobie z tego sprawozdania, bije bis, krzyczy, tupie i w ogóle bawi się na sto dwa.

Proszę bardzo. Ale proszę pamiętać, że ja ostrzegałem.

Mniejsza zresztą o to, jaki był powód wystawienia „Judyty i Holofernesa” przez nową dyrekcję Opery Warszawskiej. Przedstawienie bardzo się podobało, choć nie brakuje takich, którzy dzielają opinie pana Walerego. Ale to są złośliwcy.

Każdy jednak się zgodzi, że świetną zabawą była amerykańska „Zwariowana ulica” w adaptacji Minkiewicza i Marianowicza, których pan Walery nazwał z tego powodu dwoma młodymi Amerykanami. No, młodzi jak młodzi, ale „zdolne chtopaki”.

Natomiast trudno podzielić opinię tegoż pana Wątróbki o znakomitych „Idach Marcowych,” w telewizji. To było świetne widowisko.

Że pan Walery woli „Kobrę”, to mu wolno, że jednak nazywa „Kobrą” „Pierścień wielkiej damy” Cypriana Kamila Norwida, wystawiony na Kameralnej scenie - trochę się za niego wstydzę.

Treść istotnie sensacyjna, Hrabiego Szeligę gra rzeczywiście Mariusz Dmochowski odtwarzający zwykle w „Kobrach”, rolę znakomitego genialnego detektywa Joe Alexa, to wszystko prawda, ale co Norwid, to Norwid.

Zresztą przeczytajcie sami, co ten pan Wątróbka nawygadywał.

KOBRA NORWIDA

Daje się słyszeć, że Kobra w telewizji ma być podobnież skasowana. Ogromnie nasz to z Gienią zmartwiło. Bo to faktycznie jeden z najlepszych telewizyjnych kawałków, jeżeli nie brać pod uwagę Wyścigu Pokoju, Wicherka i „Jak patrzeć na dzieło sztuki” oraz „Co gotować na obiad”. Kto ma nam Kobrę zastąpić? Może te „Idy Marcowe”, przesunięte na kwiecień z powodu nawalenia wąskiego kina?

Owszem jest to nielichy romans pocztowy niejakiego Cezarego z egipską cesarzową Kleopatrią. Ale telewizja chce w nasz wmówić, że ten ów Cezary za pomocą listów poleconych doczekał się z cesarzową dziecka w wieku lat trzy. Do kogo ta mowa? Do trzyletnich dzieci? Chyba. Bo dla nasz dorosłych trzeba wyekspensować się na Kobrę. Pewno, że te Idy tańsze. Nawet przesćieradeł dla artystów derekacja nie dostarczyła i kazała jem

staroświeckich Rzemian, a także samo faraonów w swoich cywilnych, świątecznych garniturkach odstawić. Dwa kawałki papieru za całą bogatą wystawę wystarczają. Na jednym Cezary pisze do Kleopatry: „Kochana Dzidziu, nie przywoź mnie tu czasem dziecka, bo żona wyleje nasz razem z niem na zbite twarz”. Na drugim Kleopatria nadmienia do Cezarego: „Kochany Dzidziusiu, masz rację, jeszcze poczekajmy, może ona temczasem kojfnie”. I tak się pieszczą na poste-restante, a my siedziemy i nie wiemy, o co się rozchodzi. Cudzych listów nie jesteśmy ciekawe.

A Kobra faktycznie kosztów wymaga. Trzeba artystów poduczyć obchodzenia się z bronią palną, wypożyczyć z Desy meble, firanki, zastawę stołową, a często gości papugę gdzieś wynająć. W Idach jeden Holubek wystarczy. A że sztuka na tem cierpi, kogo to dzisiaj obchodzi?

Toteż po mojemu, należy się bis Teatrowi Kameralnemu na Foksal, że u siebie Kobrę wprowadził. Zamówił treść u niejakiego Cypriana Kamila Norwida, kupił parę leworwerów, pożyczył lunetę, zgodził samego Joe Alexa i zasunął Kobrę pod tytułem „Pierścień wielkiej damy”, że telewizja wysiada. Do śmiechu, do płaczu i z dreszczykiem.

Rzecz jasna, że nie mogię tu detalicznie opisać całego przebiegu, nadmienię tylko, że Joe przebrany za hrabiego Szeligie pojawia się w domu niejakiej hrabiny Marii Harrys, gdzie podczas imienin zginął hrabini złoty pierścionek z brelantem. Porozumienie jest na wszystkich, dlatego że hrabina pożyczyła swojego pierścionka do zabawy w tak zwanego talara.

Jak żem na to patrzył, mówię do Gieni:

- Talar tu, talar tam, cacy cacy i pierścionek śledzia zji.

I faktycznie nie wytrzymało pięć minut, przylatują lokaje z drugiego pokoju, gdzie zabawa się toczyła, i krzyczą, że pierścionek dostał kamfory. Kto go przykaraulił, absolutnie nie było wiadomo, bo towarzystwo składało się przeważnie z samych hrabiów, księciów, ministrów oraz pensjonarek. Kto mógł rąbnąć, może jakiś minister, może któraś pensjonarka, może ktoś z lokai? Największa jednakowoż poruta dotyczyła się młodego poeciaka, niejakiego Maksia, bo widać było, że jest niemożliwie mortusowy, obciuchany, w garniturku z PDT-u i przez całą sztukę zimne zakąski ze stołu przywłaszczają i po kieszeniach upychają, kręci się między gośćmi, niby to guwernantkie hrabini poklepuje, ale cały czas kompinuje, kto może mieć przy sobie ten wyrób lubilerski. Byłby może nakrył złodzieja, żeby nie to, że hrabina kazała zawołać policję i zrewidować detalicznie wszystkich gości, hrabia nie hrabia, minister nie minister. Każdy musiał kieszenie wybebeszyć, tylko poeta Maksio się nie zgodził. Rzecz jasna, że rozchodziło mu się o kompremitacje. Jakby tak zaczął z kieszeni te kanapki, z pomidorkiem, z cielęcina, z tatarem, ze śledzikiem po japońsku, wyciągać, śmiechu by narobił, a kto wie, czy od gospodyni domu głębokim talerzem by nie dostał za wynoszenie zakąsek z lokalu. Faktycznie co na miejscu, to na miejscu, ale na wynos z imienin nikt produktów nie szykuje.

Policja już Maksia zabiera z tem, że w komisariacie już mu przetłomaczą, żeby się dał zrewidować, kiedy w tem trakcie pierścionek się znajduje. Na lampie! Kto go tam podrzucił, nie wiadomo. Ale z tego uśmiechu, jakim nasz żegnał Joe Alex, było jasne, że ta Kobra będzie w dwóch seriach. W drugiej Joe fetniaka, co ten skok skutecznił, bezapelacyjnie nakryje. Żeby tylko derekcja Kameralnego nie kazała nam na to za długo czekać, to nie martwmy się, że telewizja skasuje Kobrę, w teatrze też niewąsko wychodzi.

Streszczenie „Króla Leara” dokonane przez pana Wątróbkę nie wymaga żadnych komentarzy i nie może budzić żadnego sprzeciwu.

A jednak taki protest złożyła na moje ręce jedna z artystek, wykonawczyni roli córki królewskiej Generil. Szło o to, że pan Walery powiedział o niej w recenzji „broneta przy kości”.

- Czyż ja jestem przy kości? Niech pan sam powie?

Ponieważ działo się to na ulicy, w Alejach Ujazdowskich, przy wejściu do „Spatifu”, trudno było mi zdobyć się na jakąś uzasadnioną odpowiedź, wybąkałem tylko:

- Widocznie taką wydała mu się pani na scenie, w bogatym, sutym szekspirowskim kostiumie. Zresztą w ustach pana Walerego „przy kości” oznacza najwyższy komplement i uznanie dla urody.

W moich zresztą też.

A teraz ta recenzja.

KRÓLEWSKA FERAJNA

I znowuż królewskie sztuki do płaczu odegrali nam artyści w Polskim Teatrze. Tą razą rozchodziło się o to, że staroświecki król angielski, niejaki Lear, bez numeru (bo króle są przeważnie numerowane), miał dosyć tego rządu Anglikami i postanowienie zrobił, podzielić te całe swoje królestwo pomiędzy trzy córki. Jedna była brunetka przy kości, druga blondynka tyż sama w sobie, trzecia mała bikiniarka z umalowanymi na czerwono, jak pomidor, włosami.

- Nie chce już dłużej po całych dniach na tronie siedzieć, z ministrami się używać i królewskie urzędowe menu opychać. Mam życzenie na starość z koleżkami troszkie porozrabiać, sawoir wiwer pochromolić, w gaz przyzwoicie uderzyć, po bigosik czy kiełbase z wolnej ręki - powiedział król.

W tem celu brunecie odpalił jedne część Anglii, na lewo od Londynu, blondynce na prawo, a trzecią miał dać najmłodszej Kordelci. Ale nie doszło do tego, bo bikiniara sprzeczkie z ojcem zaczęła. Starsze siostry w bajer go brały, jedna mówi, że z miłości dla niego oczy by sobie dała wydłubać, drugą rękę obciąć i w ogóle, co się da.

- A ty, Kordelcia, co mnie powiesz? - pyta się ojciec.

- Nic.

- Jak to nic? Dlaczego.

- Bo mnie się nie spodoba.

- W tej chwili masz powiedzieć, szczeniaku, że mnie kochasz.

- Tata da spokój. Tata się odczepi od dziecka, dobrze? - i odwróciła się na pięcie.

Rzecz jasna, że króla szlak o mały figiel nie trafił. Starszem córkom nie tylko gronta przepisał, ale jeszcze złote korony z głowy sobie ściągnął, na dwie połowy przełamał i do posagu jem dorzucił, jako złom dentystyczny. A niezależnie za księciów powydawał. Najmłodszej nawet wyprawy nie dał. Jak stała w czarnym bikiniarskim trykocie i czerwonym biusthalterze (bo tak po mieście chodziła) za mąż poszła za starszego wdowca. Insza rzecz, że wdowiec był francuskim królem i Kordelcia wychodząc za niego mogła sobie pomyśleć:

- Kto wie, czy nie jestem wygrana? Wdowiec niedługo kojfnie, ja za francuskie królowe się zostanę i przyzwoicie sobie w Paryżu porekontrolę. Londyn to wiocha - w niedzielę wszystko zamknięte. Faktycznie nie wiem, czy tak myślała, ale mogła. Zresztą jak się później pokazało, ona najlepszym dzieckiem była i naprawdę tatusia kochała, tylko nie chciało jej się mówić. Może była niewyspana?

A król niemożebnie się naciął. Lokalowe umowy zrobił ze swojimi starszemi córkami, że każda jedna z nich na zmianę co pół roku mieszkania, wikt i opieronku będzie dostarczać jemu i stu koleżkom. Ale już po roku, a może nawet i prędzej, zaczęli się z tego wykręcać. Że nie było mowy, o stu, tylko o pięćdziesięciu, a później nawet jednego nie chcieli mu przyznać. - Patrz - mówię do Gieni, bo z żoną ma się rozumieć byłem w teatrze - patrz, jakie cholery, samiśmy słyszeli, że o setce kolegów była mowa. A teraz w żywe oczy się zapierają. Za świadków możemy być. Dobre córki, co?

- Dobrze niedobre - odzywa się na to Gienia. - Insza rzecz, że troszkie racji mają. Stary dziad zaczem w łóżku się wyleżyć, rumianek i cholagogie na wątrobę popijać, po nocach się bradziaży i w gaz uderza. I jeszcze halastre - stu kiziorów do domu sprowadza i kogo tam jeszcze, detalicznie nie wiemy. Bywszy na miejscu tych córek, sama nie wiem, czy bym lepsza była.

- Gieniuchna, ty chyba nie mówisz poważnie?

- A ty znowuż co go tak bronisz, starego moczymordy? Wszyscy jesteście dobre ancymonki razem z tem waszem królem. I ja rozumie te bronetkie i te blondynkie.

- Rozumiesz, Gieniuchna, co ty mówi:sz, zastanów się?

- A ty może zapomniałeś, co było wtenczas, jak do ciotki Skubiszewskiej do Radomia wyjechałam? To ja ci w domu przypomnę.

Z miejsca żem się przymknął, bo faktycznie dwa lata temu w tył jak Gienia wyjechała, zaprosiliśmy ze szwagrem pare osób do mnie do domu. Nic tam faktycznie takiego nie było, ale Gieni wystarczyło na ładne pare wieczorów, jak się potem dowiedziała. Totyż siedziałem jak struty i nic mnie już nie bawiło, chociaż król chisia dostał i z drugim wariatem w perelinach z podartych ścierek od podłogi latali.

Nie mogli mnie już rozśmieszyć, pomimo że krew się lała i do końca przedstawienia z całej królewskiej ferajny z ledwością pare osób przy życiu się zostało.

W każdym razie przysięgłem sobie więcej nie prowadzić z Gienią tak zwanej dyskusji o sztuce pięknej. Można się nadziać.

A oto rozmowa dwóch nieznanym warszawiaków na temat wpływu grypy na rozwój sztuki dramatycznej w Polsce Ludowej.

Wszystko na tle „Medei” Eurypidesa - Dygata.

Przed przeczytaniem poznajmy obsadę tragedii

Osoby:

Medea - Halina Mikołajska

Jazon - Gustaw Lutkiewicz

Kreon - Józef Para

Egeusz - Jerzy Adamczak

Niespokojna dziewczyna - Elżbieta Czyżewska

Chór - Wojciech Siemion

Ten jednoosobowy chór recytował Eurypidesa w oryginale, po grecku.

NA GRYPĘ - MEDEA

- Patrz pan, jak ta grypa dała Warszawie w kość. Co dziesiąty obywatel choruje. Nawet połowa doktorów i aptekarzy na grypę leży. A co się dzieje w teatrach. Na przykład w Dramatycznym byłem parę dni temu nazad na greckiej sztuce pod tytułem „Medea”. Na cały chór jeden tylko zdrowy członek się został, niejaki Wojciech Siemion.

- No i sam za wszystkich śpiewa?

- Nie, on mówi.

- Widocznie tyż z powodu chrypki nie może jak się należy arii wyciągać i woli żywym słowem się posłużyć.

- Nie o to się rozchodzi. Widzisz pan, to jest salonowa sztuka z życia królewskiego, przez jednego starszego Greka w swoim czasie streszczona. Ale teraz niejaki Dygat Stanisław tak ją przerobił, że Grecy zupełnie nie mogą jej poznać i ambasada pretensje wniosła. No to derekcja teatru zawołała Dygata i kazała mu nazad na grecki te sztuki przetłumaczyć. Zrobił to częściowo i uważasz pan ten jednoosobowy chór Siemiona po grecku od czasu do czasu do sztuki się wtrąca. Greci są zadowolnione, publice to nie przeszkadza, a insze artyści przez ten czas odpoczywają.

- No a sama sztuka ładna?

- Owszem życiowa. O jednym wojskowym, sierżant sztabowy to zdaje się był chłop sam w sobie, któren żył na kocią łapę z rudą blondynką przy kości, niejaką Mikołajską.

- Ona znaczy się nasza katoliczka?

- Nie, to artystka tak się nazywa w paszporcie, na scenie podgrywa właśnie te Medeje. Otóż więc dochował się on z nią dwóch czy trzech nieślubnych chłopaczków. Trzeba trafu, że córka miejscowego króla zamazała się w tem sierżancie na cacy i w krótkich abugach wzięli ślub cywilny. Rzecz jasna, że jak się król dowiedział, że zięć żonaty i dzieciaty, postanowił rudą blondynę wysiedlić za granice. Wtenczas ona obmyśliła krwawą zemstę za pomocą łatwopalnych ciuchów.

W tem celu wysłała swoich synów do młodej małżonki swojego kochanka z prezentem w charakterze ślubnej sukni, zagranicznego pochodzenia.

- Czego jak czego nie weźmie zgaga ode mnie - myśli sobie - ale taką kieckie przyjmie i musi przymierzyć. Szkoda mrugać.

Faktycznie tak się stało. Królowna towar przyjęła, ale jak tylko założyła na siebie i zaczęła się przed lustrem kręcić, welon się na niej zapalił, a od niego cała reszta i królowna się spaliła. Wtenczas król widząc, co się święci, chciał córki ratować, sam się od niej zajął i odniósł poparzenia trzeciego stopnia.

- No dobrze, ale jak się to stało, Mikołajska na pannie młodej ciuchy podpała.

- Skąd, była nieobecna. Synowie suknie wręczali.

- No to w taki sposób te szczeniaki welon podpalili. Mamusia jem widocznie kazała.

- Nic podobnego pożar powstał samoczynnie.

- Panie, cudów nie ma. U nasz na Grochowie był podobny wypadek. Welon się na pannie młodej zajął, bo bywsza kochanka młodego pchnęła ją na choinkę, gdyż wesele jak raz w drugi dzień świąt się odbywało. Samo nic się zrobić nie mogło i całą przyczyną musiała być sercowa zazdrość.

- No, rzecz jasna, że była, o zemście się rozchodziło i ruda cały ten pożar wywołała, tylko jakim sposobem, do dzisiaj nikt nie wie. I musisz pan wiedzieć, że nie zaograniczyła się na tem. Na złość kochankowi w dziesięć minut po ugaszeniu ognia swoje nieślubne dzieci stołowem nożem pozarzynała i w worku na scene wniosła.

- Co pan mówisz, to musiał być widok taki więcej mrozący krew w żyłach.

- Owszem, coś niecoś, ale worek za mały. Tak, że żona trąciła mnie w bok i mówi: - To chyba nie wszystko? - Możliwe, że ona częściowo zamiaruje te swoje dzieci workiem z pałacu powynosić i gdzieś zakopać, ala Mazurkiewicz w Krakowie. - Albo może do przechowalni gdzie nadać kolejowej, jak Hipek - Wariat ze służącą z ulicy Foksal zrobił. - Coś ty, kolei w Grecji nie było - mówi do mnie żona. - No, czems ludzie jeździli i jak widziem, się mordowali, to musieli być jakieś przechowalnie.

Tak żeśmy się sprzecali, że nawet nie zauważyliśmy, jak się skończyło, zwłaszcza że na zakończenie znowu chór Siemiona przemawiał po grecku. Domyśliliśmy się tylko, że sztorcować musiał zazdrosne kochanki. I miał

rację. Owszem elementów na dzieci żądać trzeba, nawet przez komornika. Nawet z garnkiem gorącego popiołu na rywalkie wyskoczyć, ludzka rzecz. Ale welon popalić, teścia poważnie poparzyć, młodzież w pień wyrzynać - wstyd.

W każdym bądź razie Medea na grypowy sezon sztuka senne marzenie - sześciu zdrowych artystów w każdym teatrze się znajdzie.

Trzeba tylko mieć chór Siemiona, żeby tak udawał Greka.

KRÓLOWA DZIUNIA

Parę dni temu w tył mówi do mnie Gienia:

- Dawno już nie byliśmy w teatrze, może się wybierzemy do Kameralnego na „Jaskółki”?

- Na jaskółki? Gieniuchna, przecież ty wiesz, że ciut-ciut nie dosłyszę, jakżeż mogię na galerii w teatrze siedzieć?

- Na dół, do krzeseł pójdzim. „Jaskółka” to sztuka pod takim tytułem jest odgrywana, o królowej Jadwidze, co nie chciała Niemca:

- Mylisz się, królowo swojej piękności, to Wanda nie chciała. Jadwiga i owszem.

- Ty zawsze musisz się sprzeczać. Jaki to poprzeczny charakter człowieka. Zresztą pójdzim, to zobaczem. Poszliśmy razem ze szwagrem. Sztuka faktycznie była historyczna z tych czasów, kiedy za królową u nasz była panienska na wydaniu, niejaka Jadwiga. Ponieważ że posag miała niewąski, a także samo osobiście dała się lubić i bardzo jej było twarzowo w koronie, starających miała do nagłej krwi i trochę. Ale najmocniej uderzali do niej Władek Jagiełło rodem z Wilna i jeden szkopiak z Wiednia, niejaki Wiluś, bo oni cholery przeważnie Wilusie. Na razie Jagiełło był u Jadwigi fatalnie przegrany. Wiluś ładnie się nosił, łeb miał stale i wciąż zaondolowany, walczyka wiedeńskiego ładnie odstawał. „Usta milczą” i „Nad mądrym Dunajem” cienkim głosem Jadwidze śpiewał i różne prezenta jej odpalał, po większej części bukietu z samych róż i kolońskie wodę z potrójnym zapachem. A Jagiełło mężczyzna poważny w średnim wieku, jak już przytargał coś z sobą, to albo dwa kila litewskiej kiełbasy, albo literek żubrówki z trawką w środku. My oba ze szwagrem wiedzielibyśmy, co z tem zrobić, ale Jadwiga wołała kolońskie wodę. I niemożliwego balona z Jagiełły robiła. Stale i wciąż ksiuty z Wilusiem skutecznie na dancingach w mieście, a nawet na Wawelu.

Jednym słowem, w teatrze na moje wychodziło, ale nic ztem Gieni nie mówił, bo i tak od początku rzewnymi łzami się zalewała. Rozchodziło jej się o mieszkalne waronki, jakie miała Jadwiga. W Kameralnym żeśmy się przekonali, że całe życie w nie otynkowanej piwnicy przebywała. Grzyb na ścianach, zapleśniałe cegły bez okna, nawet w stołowym pokoju i w tronowej sali, no wszędzie.

- Jak ta dziewczynina mogła żyć w takiej wilgoci, przecież tam myszy i pająki tyż być musieli.

- Gieniuchna, nie przejmuj się. Nie widzisz, że to Morstin odgrywa się na Jadwidze.

- Co za Morstin?

- Poeta, który te sztuki ułożył.

- A jaką pretensje do Jadzi wnosi, o co?

- Nie płacz, tylko słuchaj całego przebiegu, to się przekonasz. Przecież Wiluś wyraźnie zaznaczył, że jak przyjeżdża do Krakowa, to się zatrzymuje u Morstinów w charakterze suplikatora w pokoju z niekrępującym wejściem.



- No to co?

- No to, że u jakichś pradziadków tego poety zamieszkiwał. Taki suplikator to majątek. Jakby się ożenił z Jadwigą i za króla się został, masz pojęcie, jakie chody mieliby jego gospodarze, jakie majątki ziemskie by jem podpalał pod Krakowem. A tak Dziunia koniec końców za Jagiełłę wyszła, o czym się niedługo przekonasz. Dlatego Morstin na Jadwidze się odgrywa, zagrybiony Wawel nam pokazuje i tron z żelaznych flachajz uskuteczniony. A królowa razem z całym dworem jajecznicze z jednej miski drewnianemu warząchwiamy wiosłuje.

Jagiełło też dostał za swoje. Wiluś w drugim akcie o nim mówi, że w butach do pościeli się kładzie i szpik z kości wysysa podczas proszonych obiadów królewskich.

Na to wtrącił się szwagier i zaczyna:

- A co? Szpik zły? Widziałeś lepszą zagryche jak tuk na razowym chleбку letko posolony?

- No tak, ale Niemcy się na tem nie znają.

- Ale Morstin się powinien znać.

- On się zna, ale jeszcze raz ci mówię. że się odgrywa na Jadźce i Jagielle.

- O co mu się rozchodzi, jak pragne szczęścia, i tak by go upaństwowili. To jaka że jemu różnica, czy pod Krakowem większy, czy mniejszy PGR by powstał? Dziwny człowiek.

Totyz pod koniec sztuki Morstin się zastanowił, że faktycznie i dawaj królewskie parę blatować. Że Jadzia politycznie uświadomiona, że przemawia jak po XXII zjeździe, że Jagiełło także samo przytomny, bo pierwszy blok bratnich demokracji założył i temuż podobnie. A Szkopiak znowuż drań do królowej w konkury uderza niezależnie od tego, a blond pamoc domową po kątach szczypie hitlerowiec. Wszystko się wyjaśniło w taki sposób i zadowolnione poszliśmy do domu, bo było nie było sztuka jest na medal.

O jedno tylko mam nieduże prośbę. Owszem pierwszy akt na dancingu może odbywać się w piwnicy, młodziaki nawet z królewskiej branży to lubięją. Ale sale tronowe trzeba koniecznie otynkować i drewniane warząchwie zamienić na platory. Dzisiaj już nawet w WZG takie nakrycia się podaje. Artystów tembardziej można chyba upilnować?

Oczywiste, że znakomitemu autorowi „Jaskółki”, Ludwikowi Hieronimowi Morstinowi, ani postalo w głowie załatwianie za pomocą tej sztuki jaichś familijnych porachunków. Krzywdzące inwektywy pana Wątróbki były wywołane przede wszystkim scenografią przedstawienia.

Surowe piwniczne dekoracje wnętrz wawelskich średniowieczna prostota życia dworu królewskiego posługującego się dajmy na to drewnianymi łyżkami zaszokowała i poirytowała pana Walerego. Boję się, że nie tylko jego.

Zwłaszcza te łyżki. Minęły już na szczęście nie tak dawne zresztą czasy, kiedy to w niektórych naszych zakładach gastronomicznych nóż był jeden na cały lokal i wisiał na łańcuchu przy kasie. A to z powodu nagminnego wynoszenia nakryć przez klientów.

W teatrze chodziło o wierność historyczną, nie zaś o brak zaufania do aktorów, a jednak to drażniące. Ale patriotyczny ton sztuki, doskonała gra artystów złagodziły nieco nastrój pana Walerego i recenzja w całości ma charakter raczej pozytywny.

Cechuje to zresztą znakomitą większość zawartych w tym tomie opinii krytycznych zebranych przeze mnie wśród widzów. Jednym zdaniem dałoby się to określić, że teatry warszawskie pracowały w okresie sprawozdawczym - „na dużych obrotach i w deseczkie”. Albo „w cycuś” jak mówią najnowszą gwara warszawską.